

KAZIMIERZ ORŁOŚ (ur. 1935) opublikował dotychczas:

Między brzegami, opowiadania, PIW, Warszawa 1961; Koniec zabawy, opowiadania, „Czytelnik”, Warszawa 1965; Ciemne drzewa, opowiadania, „Czytelnik”, Warszawa 1970; Cudowna melina, powieść, Instytut Literacki, Paryż 1973

(po wydaniu tej książki we Francji autor został objęty całkowitym zakazem druku w PRL; „zapis” cenzury obowiązywał jeszcze w drugiej połowie lat osiemdziesiątych);

Trzecie kłamstwo, powieść, Instytut Literacki, Paryż 1980; Pustynia Gobi, opowiadania, „Puls”, Londyn 1983, NOWA, Warszawa 1983; Przechowalnia, powieść, „Puls”, Londyn 1985, „Przedświt”, Warszawa 1985; Historia „Cudownej meliny”, autobiografia, Instytut Literacki, Paryż 1987, NOWA, Warszawa 1988.

W ostatnich latach ukazały się w kraju:

Cudowna melina, „Iskry”, Warszawa 1989; Przechowalnia, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1990; Trzecie kłamstwo, „Iskry”, Warszawa 1990; Historia „Cudownej meliny” Zakłady Wydawnicze „Versus”, Białystok 1990; Drugie wrota w las, wybór opowiadań tego autora — od debiutu (Dziewczyna z łódki) do pisanych ostatnio i nigdzie jeszcze nie publikowanych.

Drugie wrota w las

Kazimierz Orłoś

Iskry

Drugie wrota w las

Dziewczyna z łódki

Wy płynęli zawsze w małej łódce. Płynęli wolno wzdłuż brzegu jeziora, na tle jasnozielonych trzciny i ciemnego lasu. Jezioro w tym miejscu skręcało tworząc zatokę. Nad zatoką była wioska, ale nie widzieliśmy jej, bo las zasłaniał domy. Wiezorami słyszeliśmy szczekanie psów.

Z pewnością mieszkali w tej wiosce, bo codziennie wy płynęli z zatoki na jezioro.

Dziewczyna siedziała na dziobie, on wiosłował, i stąd wydawało się, że robi to niezdarnie. Mieli z sobą psa. Siedział z tyłu i patrzył, jak jego pan wiosłuje.

Wydawało się, że nie obchodzi ich nic poza powolną wędrówką wzdłuż brzegów. Nie dostrzeżeliśmy nigdy żadnego zainteresowania nami. Choć z daleka mogli pomachać ręką.

Dziewczyna z pewnością była ładna. Miała niebieską sukienkę. Jej włosy były złote i tworzyły hełm. Słońce migotało na nim niemal tak samo jak na wodzie. Nigdy nie zauważyliśmy, żeby patrzyła w naszą stronę, chociaż robiliśmy dużo hałasu. Jak tylko widzieliśmy, że płyną, Władek nastawiał płytę, a Małpa biegł na dół myć blaszane naczynia. Głosy leciały nad wodą i musieli nas słyszeć.

Powiedz, jak mnie kochasz? O, Kocham ciebie ponad świat!

- ryczał patefon, a my bieглиśmy za Małpą w dół, gdzie stał nasz jacht. Potem zwijaliśmy wszystko, na brzegu zostawały puste namioty i wypływaliśmy na wielkie jezioro. Żagiel huczał, kiedy był wiatr, i „Jaskółka” rozbijała fale. Wrzeszczeliśmy, klęliśmy i śpiewaliśmy. Czuliśmy, że żyjemy naprawdę, że to jest to, co ludzie nazywają pełnią życia. Słońce kładło swoje wielkie ramiona na wodzie i jezioro wyglądało jak srebrna taca. Wiatr przynosił zapach lasów i brzegu, wysoko nad nimi krążyły jastrzębie. Mała czarna łódka zostawała daleko za nami. W końcu traciliśmy ją z oczu, jakby nie było jej nigdzie.

Jezioro było wielkie jak morze. Pływaliśmy, ćwiczyliśmy zwroty, skręty. Słyszeliśmy ciągle huk żagla. Potem przychodził wieczór, woda czerwieniała od zachodzącego słońca. Wracaliśmy do obozu, z daleka widzieliśmy dwa białe namioty na wysokim brzegu. Wodą niesło się szczekanie psów z wioski. Niebo ciemniało, gwiazdy zaczynały spadać. Jedliśmy kartofle pieczone w popiele, smażyliśmy ryby, które Małpa złapał na wędkę. Już w namiocie opowiadaliśmy sobie sprośne kawały, wspominaliśmy dziewczyny, z którymi chodziliśmy, znajomych, i zasypialiśmy. Rano budził nas chłód, potem wstawało słońce, woda zaczynała znowu drzeć jak srebro. Myliśmy się, wrzeszczeliśmy oblewając się zimną wodą. Biegaliśmy po polanie, pod drzewami, wokół namiotów. Dzień budził się, ptaki śpiewały jak oszalałe. Szykowaliśmy się do codziennej wyprawy na wielkie jezioro. Jedliśmy śniadanie. Potem, około dziesiątej, patrzyliśmy, jak zawsze, na małą czarną łódkę. Podziwialiśmy złote włosy dziewczyny.

- Musi być ładna - mówił Małpa i biegł na dół szorować blaszane naczynia.
- Niemrawo wiosłuje ten facet - mówił Władek - to jakiś cherlak, mówię wam! -
Wybierał płytę ze starym szlagierem Powiedz, jak mnie kochasz? i nastawiał patefon. Patefon ryczał i śmieliśmy się z hałasu, jaki robił.

Kiedyś Małpa krzyknął:

- Hej, wy z łódki, chodźcie tutaj!

Nie wiem, czy słyszeli - chyba nie, bo byli dość daleko. Zreszta, kto wie? Nad wodą dobrze słycać. Władek powiedział:

- Ten facet mógłby wysiąść po drodze; zaprosź dziewczynę.

Piotr uśmiechnął się. - Słowo daję, to musi być piękna dziewczyna. Z takimi włosami kobieta musi być piękna.

Tego ranka zobaczyliśmy ich; jak zawsze. Wypłynęli powoli z zatoki i posuwali się wzdłuż brzegu, na tle czarnej smugi lasu

- Ciekawe, dokąd tak płyną - powiedział Władek. - Zawsze odpływamy i nie wiemy, co oni robią na wodzie.

- Może łowią ryby? - spytał Piotr.

Małpa ukazał się na brzegu. Jak zawsze, mył na dole naczynia i trzymał w ręku blaszany kubek. - Panowie, mam myśl, musimy to zrobić. Niech skonam, jeśli tego nie zrobimy.

- O co chodzi? - spytał Władek przekrzykując ryk patefonu. Słowa leciały nad wodą:
O, kochani ciebie ponad świat

I wyspę Tahiti, bo tyś jest jak kwiat,

O!...

- Udamy, że chcemy ich przewrócić, a kiedy będziemy blisko, obrócimy „Jaskółkę” i tylko zakołysze ich fala.

- To jest myśl - powiedział Piotr. - Interesują mnie bardzo włosy tej kobiety.

- Brawo, Małpa! - krzyknął Władek. - Świetna myśl!

- Prędzej, panowie, szkoda czasu. Po co ich gonić gdzieś aż po tamten brzeg. Kto wie, dokąd płyną!

Zwinęliśmy się szybko. W ciągu kilku minut wymyliśmy naczynia i złożyliśmy posłania. Małpa zalał tłące się ognisko wodą. Wypływaliśmy powoli obok trzciny pochyłonych jak zboże, kiedy jest wiatr.

- To dziwna trójka - powiedział Piotr - dziewczyna, ten facet i pies. Nie mają znajomych. Zawsze są sami. Powinni śmiać się, ruszać na tej łódce, a oni tylko siedzą. Czy słyszałeś, stary, żeby ten facet kiedy śpiewał?

- Nie. On w ogóle wydaje się niemrawy. To dziwne, że taka dziewczyna go chce - odrzekł Małpa.

- Co ty wiesz, czego dziewczyna może chcieć? - spytał Władek. - Może facet ma forszę?

- Może ma forszę - zgodził się Małpa.

Nabieraliśmy szybkości. Wiatr wiał od brzegu i żagiel napęczniał jak grzbiet wora. Czasem trzepotał jak wielkie skrzydło. „Jaskółka” pędziła przechylona. Brzeg i nasze dwa namioty zostały w tyle. Z lewej strony widzieliśmy otwartą przestrzeń jeziora. Lśniło w słońcu, znad brzegu leciały w tamtą stronę rybitwy. Z prawej strony zaczynała się zatoka. Zobaczyliśmy daleko po drugiej stronie biały dom. Przed sobą widzieliśmy ciemny pas lasu i w smudze, jaką tworzyło jego odbicie, małą łódź. Włosy dziewczyny wyglądały, jak zawsze, jak złoty kask. Miała tę samą niebieską sukienkę. Facet wiosłował. Im bliżej byliśmy, tym lepiej widzieliśmy, że robi to źle. Wiosła uderzały nierówno w wodę i łódka posuwała się zygzakiem.

- To musi być dobry skręt, położymy się na wodę prawie przy nich. Gość wyleci ze strachu - powiedział Małpa.

- Wtedy my złapiemy dziewczynę, a on niech tonie. Jeszcze mu dołożę wiosłem - mówił Władek.

Roześmieliśmy się. Żagiel łomotał o maszt, linki skrzypiały, spod dziobu ciągle leciał pył wodny i osiadał na twarzach.

- To musi ładnie wyglądać - powiedział Piotr. - Kiedy ktoś patrzy z brzegu, widzi biały żagiel, jak ptaka lecącego nad wodą. Powinniśmy spodobać się dziewczynie...

- Na pewno będzie wołała nas od tego zdechlaka. Spójrzcie, jak on wiosłuje! - kpił Małpa. Stał na dziobie „Jaskółki”. Widzieliśmy jego brązowe plecy na tle ciemnego lasu na tamtym brzegu.

- Interesują mnie włosy tej kobiety - powtórzył Piotr - nigdy nie widziałem takich włosów: pewno świecą w nocy. Byliśmy coraz bliżej małej łódki.

- Czy opowiadałem wam kawał o prostytutce i starym Chińczyku? - spytał Małpa po chwili. Odwrócił się i stał tyłem do brzegu i łódki. Milczeliśmy i Małpa zaczął mówić: - Stary Chińczyk spotkał prostytutkę...

- Wygląda na to, że nas nie widzą - przerwał mu Władek.

- Albo udają, że nie widzą - powiedział Piotr. - To jest denerwujące. Przecież musimy

ładnie wyglądać. „Jaskółka” ma żagiel biały jak mleko.

- Zobaczą nas za chwilę - powiedział Małpa. - Będą musieli. Słuchajcie o tym Chińczyku: spotkał prostytutkę...

- Czekaj - powiedział Piotr - opowiesz potem, jesteśmy już za blisko, trzeba uważać. Patrzyliśmy wszyscy na łódź. Była stara, słyszeliśmy skrzyp wiosel w dulkach. Dziewczyna siedziała nieruchomo na dziobie, facet ciągle wiosłował. Tylko pies podniósł się i patrzył na nas.

- Ładny wilczur - powiedział Władek. Ciągłe płynęliśmy tak, jakbyśmy chcieli najechać na nich. Teraz } widzieliśmy ich dobrze. Młody mężczyzna miał twarz bladą i szczupłą. Nie patrzył na nas. Kiedy uderzał wiosłami w wodę, krzywił się, jakby sprawiało mu to ból. Miał na sobie starą marynarkę, chociaż był upał. Dziewczyna była piękna.

- Co za dziewczyna! - powiedział szeptem Małpa. Hełm złotych włosów otaczał jej twarz. Wielkie niebieskie oczy były jak woda i wysokie niebo.

- Jakie piękne ma oczy! - westchnął Piotr.

Skęciliśmy tuż przy małej łodzi i fala spod dziobu „Jaskółki” podrzuciła ją. Wtedy mężczyzna w starej marynarce odwrócił się. Zobaczyliśmy oczodoły - duże, ciemne oczodoły. Jego twarz była martwa. Przelecieliśmy koło nich. Trwało to kilka sekund, ale usłyszeliśmy rozmowę.

- Co to? - zapytał odwracając się w stronę dziewczyny. - Kto tam jest?

- Nic takiego, żaglówka - odpowiedziała dziewczyna. Nie patrzyła na nas. Ani razu nie spojrzała w naszą stronę, choć byliśmy tuż, tuż.

- Ach tak, żaglówka - powiedział młody człowiek. Odwrócił się i zaczął wiosłować.

- Mocniej prawym - powiedziała dziewczyna - skęciliśmy za bardzo na lewo. Mocniej prawym.

Jeszcze chwilę łódka kołysała się, potem przestała. Pies znów położył się, słyszeliśmy tylko cichy skrzyp wiosel w dulkach. Płynęliśmy na otwartą przestrzeń. Żagiel huczał nad nami, woda uciekała za burtą.

- On był ślepy - powiedział Piotr. - Skąd mogliśmy wiedzieć, że on jest ślepy? Milczeliśmy. Patrzyliśmy, jak łódka znika na tle ciemnego lasu. Woda naokoło migotała jak srebro, nad nami leciały rybitwy.

Małpa położył się na dziobie. Wiatr, jak ciepłe ręce, dotykał jego nagich pleców.

- Boskie życie - powiedział - boskie życie...

Piotr odwrócił się i popatrzył na niego. - Mógłbyś choć przez chwilę nie być zadowolony. Do cholery, choć przez chwilę mógłbyś nie być zadowolony!

1957

Narzeczony Rozalii

Siedzieliśmy w kuchni, w tej gorącej kuchni, gdzie piec dymi, a czerwone węgle leżą na podłodze. Obierałem kartofle i wrzucałem do białej miednicy, która stała przede mną na podłodze. Po drugiej stronie stołu siedział narzeczony Rozalii, a ona stała między nami przed stołem i wałkowała ciasto. Za drzwiami, w małym pokoju, spała Ciotka i słyszeliśmy, jak chrapie. Nikogo więcej nie było w domu: goście byli na plaży, a Wuj na wodzie.

Był upał. Był nieznośny upał. Przez otwarte okno widziałem niebo bez żadnej chmurki i nieruchome sosny. Drzwi z kuchni na podwórze były otwarte i te po

drugiej stronie, na werandę także, ale nie czuliśmy najmniejszego powiewu. Rozalia przestała wałkować ciasto. Wzięła z półki blaszany ron-delek i chciała nalać do niego wody z kubelka. Kubelek był pusty. Rozalia powiedziała do mnie:

- Skocz po wodę. Tylko prędko, bo nie ma ani kropli.

- Piekarnia? - spytałem.

- Smarkaczu! - powiedziała Rozalia. - Ciotka o wszystkim się dowie. Nie mam stu rąk. Woda jest potrzebna do zupy, a jeszcze muszę wałkować ciasto i doglądać pieca.

- Ja także nie mam stu rąk.

- Smarkaczu! - powtórzyła Rozalia. Jej narzeczony wstał, wziął wiadro i wyszedł. Słyszeliśmy, jak pompuje wodę.

- Dobry człowiek - westchnęła Rozalia. - Oj, jaki dobry!

Nie odezwał się. Co mnie obchodził jej narzeczony. Przychodził w południe albo wieczorem, kiedy nie był na wodzie. Nie odzywał się. Mówił tylko „tak” albo „nie”, jeżeli spytało się go o coś. Rozalia krzyczała na niego, że nigdy nic nie mówi, ale on i wtedy nie odpowiadał. Siedział na krześle i patrzył na Rozalię i na to, co ona robiła

10
w kuchni. Kiedy goście wracali, wychodził. Nie lubił, jak w kuchni było dużo ludzi. Obierałem kartofle, aż obrałem wszystkie, a narzeczony Rozalii wrócił z wiadrem wody.

- Ciotka o wszystkim się dowie - powtórzyła Rozalia. Schyliła się nad piecem i dorzuciła drzewa, a ogień oświetlił jej twarz na czerwono. Była spocona. Wszyscy byliśmy spoceni. Za oknem widziałem nieruchome sosny.

Zaśmiałem się. - Możesz powiedzieć, proszę bardzo.

Narzeczony Rozalii usiadł i słuchał, jak Ciotka chrapie i jak my się kłócimy.

- Smarkaczu! - powiedziała Rozalia. - Tylko tak nie mów. Nie pasłam z tobą świń.

- Jak mam nie mówić? Czy powiedziałem coś złego?

- Cicho! - powiedziała Rozalia.

Ciotka za drzwiami małego pokoju przewróciła się na łóżku. Łóżko zatrzeszczało, a potem znowu usłyszeliśmy chrapanie.

- To dziś są imieniny? - spytał narzeczony Rozalii. Zdziwiłem się, bo nie słyszałem, żeby o cokolwiek pytał.

- A tak - powiedziała Rozalia. - Dziś są imieniny pani Marty. Skąd wiesz?

- Wuj musiał mu powiedzieć - odezwał się. - Przecież rozmawia tylko z Wujem.

- Nie pytałam ciebie - powiedziała Rozalia.

Wyszedłem przed dom. Słyszałem ciągle, jak Rozalia coś mówi do narzeczonego i jak Ciotka chrapie. Zaraz za domem był las i ciągnął się aż do plaży. Blisko, między drzewami suszyła się na sznurach bielizna.

„Dlaczego nie mogę pójść na plażę” - pomyślałem. Wyobraziłem sobie jasny piasek, tak gorący, że trudno iść po nim, i spokojne morze za piaskiem. Pomyślałem o ludziach w kostiumach, o czerwonych bojach, plecionych koszach i łódkach przed bazą na wydmie. Co roku, jak przyjeżdżali goście, musiałem pomagać w domu i nie mogłem tam pójść. Rozalia skarżyła na mnie przed Ciotką, a Ciotka powtarzała to Wujowi i Wuj bił mnie. Chciałem tam pójść, ale nie mogłem.

„Ciągle czegoś nie można robić, na co ma się ochotę” - pomyślałem jeszcze.

Rozalia zawołała mnie.

- Brakuje drzewa. Dwie bułki są w piecu, a ogień zaraz wygaśnie.

11

- Dobrze, dobrze, już idę.

Podniosłem drucianą siatkę z podłogi. Rozalia mówiła do swego narzeczonego: - Rano pan Rysio i pan Włodek chodzili do gospody. Widziałam, jak nieśli butelki.

- Znów zarzycją werandę - powiedziałem.

- Smarkaczu! - krzyknęła Rozalia. - Przynieś prędko drzewo. Żebyś potem nie żałował!

Ciotka chrapała za ścianą. Narzeczony Rozalii oparł głowę na rękach. Wyszedłem. Znowu zobaczyłem nieruchome sosny i pomyślałem o morzu. A potem, kiedy rąbałem drzewo, pomyślałem o imieninach pani Marty.

O szóstej Wuj, pan Włodek i ja ustawiliśmy na werandzie długi stół z trzech mniejszych. Potem znosiliśmy krzesła, a Ciotka i Rozalia ustawiały na stole naczynia. O wpół do siódmej siedzieliśmy naokoło stołu, i ja także, chociaż Ciotka nie chciała, żebym był, ale pani Marta powiedziała, że to jej imieniny i ona chce, żebym został. Więc siedziałem na samym końcu, w rogu, i nie widziałem krzaków akacji w dole, bo zasłaniały je liście dzikiego wina, tylko stół.

A kiedy tak siedzieliśmy nad stołem, zastawionym półmiskami sałatek, sosów, ryb i mięsa, butelkami wina, wódki i piwa, szklankami, kieliszkami i talerzami, pan Włodek powiedział, że musimy zaśpiewać Sto lat dla pani Marty. A pani Marta powiedziała, że ona nie chce, żebyśmy śpiewali, ale pan Włodek huknął: Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!, i wszyscy wstaliśmy z kieliszkami wina w rękach, i śpiewaliśmy razem z nim.

A potem Ciotka opowiedziała o tym, jak w czasie wojny handlowała mięsem i jak jechała pociągiem, a żandarmi łapali handlarzy, ale Ciotka schowała mięso pod spódnicę i żandarmi nie poznali się na tym. Wszyscy słuchali, a przez ten czas pan Włodek dolewał wina i wódki do pełna. Potem pan Rysiek opowiedział dwa kawały i wszyscy bardzo się śmieli. A jak pan Rysiek skończył, to już każdy chciał opowiadać kawały, a ja tylko śmiałem się. Najwięcej z kawału, który opowiedział pan Włodek o jednym Mu» /ynie. I wszyscy coraz więcej śmieli się i krzyczeli, bo pan Włodek nie przestawał dolewać do pełna.

A potem Wuj wstał i uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały naczynia. Goście przestali mówić i w tej ciszy Wuj powiedział stojąc nad

12

stołem i chwiejąc się: - My, Polacy, to tylko lubimy gadać i pić, ale do roboty to żaden się nie pali. Tak jest! Do roboty to żadnego nie ma! V Uderzył jeszcze raz pięścią i usiadł. Chwilę było cicho, nikt nic nie mówił, dopiero pan Rysiek czknął, bo męczyła go czkawka, i wszyscy znów zaczęli się śmiać, jakby Wuj nic takiego nie powiedział. Później pan Włodek spytał, czy czegoś byśmy nie zaśpiewali, więc zaczęliśmy śpiewać Hej. tam pod lasem... i Góralu, czy ci nie żal..., i Kukułeczkę. A potem ciotka zaśpiewała sama Ramonę i wszyscy bili jej brawo. A kiedy tak śpiewaliśmy siedząc naokoło stołu i pani Marta nakładała wszystkim na talerze, a pan Włodek dolewał do pełna, to na drodze, za krzakami akacji, stawali ludzie i słuchali, jak śpiewamy.

Kiedy się ściemniło, zapaliliśmy lampę i koło niej zaraz zaczęły latać ćmy. Wtedy już

wszyscy mieli dość i widziałem, jak pan Jaś obejmuje żonę pana Filipa, a pan Rysiek przyciska Rozalię. Wuj położył głowę na rękach i spał. Wyszedłem, bo chciało mi się bardzo, i stanąłem koło krzaków akacji nad drogą. Kiedy tam stałem, zobaczyłem, że obok mnie stoi narzeczony Rozalii i patrzy na werandę.

- Nie jesteś na wodzie? - spytałem. Nie odpowiedział.

- Co tu robisz?

- Stoję - powiedział.

- Chodź do nas - zaprosiłem go. - Napijesz się.

- Dziękuję. Nie chce mi się pić.

- Jak chcesz.

Wróciłem na werandę. Pan Rysiek ciągle przyciskał Rozalię i coś jej szeptał do ucha, a ona śmiała się i odpychała go. Pan Jaś obejmował żonę pana Filipa. Ciotka piła wino ze szklanki, a Wuj chrapał.

Usiadłem w kącie, tam gdzie siedziałem przedtem, i patrzyłem na to. Pomyślałem, że to nie jest ciekawe i że mógłbym teraz pójść nad morze, ale że już ściemniło się, więc bałbym się iść. A potem pomyślałem o morzu, które znika w ciemności, i blisko pod nogami uderzają tylko o piasek małe fale, jakby morze oddychało.

Wyjrzałem przez liście dzikiego wina i zobaczyłem, że narzeczony Rozalii ciągle stoi w tym miejscu co wtedy i patrzy na werandę. Cmy iataiy naokoło lampy, a pan Rysiek wciąż przyciskał Rozalię. Zdrzemnąłem się, bo było ciszej, tylko Ciotka śpiewała Ramonę i Wuj chrapał. Kiedy zbudziłem się, pomyślałem, że przejdę się naokoło domu, więc wstałem i zszedłem po kamiennych schodkach z werandy.

13

Rozejrzałem się. Pan Włodek z panią Martą tańczyli na drjodze, pod latarnią, a naokoło nich stali ludzie i patrzyli, jak oni tańczą. Narzeczonego Rozalii nie było w tym miejscu, gdzie stał wtedy.; Podniosłem głowę i zobaczyłem dużo gwiazd na niebie nad naszym domem i werandą. Pomyślałem znów o morzu.

Żeby się rozruszać, poszedłem naokoło domu na skraj lasu po drugiej stronie. Kiedy stałem pod drzewem, ktoś mnie zawołał. To był narzeczony Rozalii.

- Musisz pójść po nią - powiedział. Zrozumiałem, że mówi o Rozalii.

- Czemu nie? - powiedziałem. - Mogę ją zawołać, już lecę.

Kiedy wróciłem na werandę, wszystko było tak jak przedtem. Ciotka piła wino ze szklanki, Wuj chrapał, a pan Rysiek przyciskał Rozalię, tylko że przenieśli się w inne miejsce, gdzie ja siedziałem przedtem, skąd nie widać krzaków akacji, bo zasłaniają je liście dzikiego wina. Stanąłem nad nimi i powiedziałem do Rozalii:

- Twój narzeczony chciałby z tobą pogadać. Rozalia chyba nie rozumiała. W słabym świetle naftowej lampy widziałem jej oczy, jakby zamglone i obce.

- Umiesz pływać? - spytał pan Rysiek.

- Jasne, że umiem. Pieskiem i trochę zabką.

- To spłyn - powiedział pan Rysiek i zaśmiał się. Rozalia przytuliła się do pana Ryśka mocniej.

- Nie wygłupiaj się - powiedziałem do niej. - Twój narzeczony czeka na ciebie.

- Spłyn - powtórzył pan Rysiek. - Nie rozumiesz po polsku?

Pomyślałem, że nie warto z nimi rozmawiać, i odwróciłem się. Poszedłem przez kuchnię do drzwi na podwórze, a potem do miejsca, gdzie czekał narzeczony Rozalii.

- Ona nie chce przyjść. Mówiłem, że chcesz z nią pogadać, a ona tylko przycisnęła się do pana Ryśka. Oboje tak przyciskają się do siebie.

- Przyciskają się? - spytał.

- Tak. Jak w kinie. Lepiej pójdź sam po nią.

Narzeczony Rozalii nic nie powiedział. Odwrócił się i poszedł ścieżką między drzewami w ^ironę drogi nad morze Dogoniłem go i przez chwilę szedłem za nim, patrząc na jego plecy, a potem, jak wyszliśmy na drogę, gdzie było jaśniej, bo gałęzie nie zasłaniały gwiazd, spytałem: - Dokąd idziesz?

14

Do łódek - powiedział. Pójdę z tobą. Jak chcesz.

Weźmiesz mnie z sobą na wodę? - spytałem jeszcze. Milczał. Szliśmy obok siebie i ani on, ani ja nic nie powiedzieliśmy więcej) a kiedy na górze, za drogą z sosnowych pni, wyszliśmy z lasu, a niżej był tylko zagajnik, zobaczyliśmy w dole ciemną plażę i pas wody jak światło z witraża na kamiennej podłodze w kościele.

Potem doszliśmy do bazy i zesliśmy w dół po miękkim, zimnym piasku, który we dnie nagrzewa się i pali stopy. Pomogłem narzeczonemu Rozalii zepchnąć łódź do morza, które uderzało małymi falami o brzeg, jakby oddychając, tak jak to sobie wyobrażałem.

Wypłynęliśmy potem za łachy piasku, gdzie było płytko i łódź szorowała po dnie, na wodę, która z góry połyskiwała jak ciemne światło, i jeszcze dalej, gdzie morze styka się z niebem. Narzeczony Rozalii wiosłował, a ja siedziałem na dziobie i patrzyłem, jak on wiosłuje i jak brzeg znika w ciemności, a w końcu nie widziałem nic, tylko spokojną wodę, po której płynęły płaskie, długie fale, które tam, przy brzegu, uderzały ciągle, jakby morze oddychało.

- Dokąd płyniemy? - spytałem, ale narzeczony Rozalii nie odpowiedział.

Przestał wiosłować chyba po godzinie, kiedy zrobiło się jaśniej i gwiazdy gasły, a nad wodą była mgła. Położył wiosła na dnie łódki, a sam wstał i usiadł w drugim końcu, twarzą do mnie, a plecami do rufy.

Patrzyłem na wodę i na mgłę, która powoli rozplątywała się, jakby tonęła w morzu, a potem patrzyłem, jak z tej mgły wstaje słońce, daleko, za mierzeją i Zalewem, i na brzeg, jak tylko go było widać, z lasem nad wydmi, co mogłem sobie wyobrazić.

Usiadłem tak jak narzeczony Rozalii na dnie, oparłem się o burtę i oddychałem głęboko. Nie chciało mi się spać, byłem zadowolony, że narzeczony Rozalii zabrał mnie na wodę, bo Wuj nigdy nie chciał mnie zabrać, a teraz mogłem to wszystko zobaczyć: słońce wstające z mgły i daleki brzeg, gdzie był mój dom.

Ziewnąłem i spytałem narzeczonego Rozalii: - Długo tu będziemy?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na niebo nad moją głową i mrużył oczy.

- Ty! - krzyknąłem. - Myślałem, że płyniemy ciągnąć sieci!

15

Znowu nie powiedział nic, tylko patrzył w to jedno miejsce, jakby tam było coś ciekawego, ale jak odwróciłem się, zobaczyłem tylko blade niebo.

Mogłem nie wracać. Było mi dobrze. Oparłem głowę o burtę i słuchałem, jak krzyczą mewy, przelatujące blisko łódki. Zasnąłem i obudziłem się w południe, a jak tylko otworzyłem oczy, zobaczyłem, że on siedzi, tak jak wtedy, w drugim końcu łódki oparty plecami o burtę, i patrzy ciągle w niebo nad moją głową.

1959

Polowanie

Wracaliśmy z mięsem w wiklinowym koszu i chlebem w dwóch lnianych workach. Był zmierzch - długo czekaliśmy na chleb przed piekarnią, a potem w rzeźni jak zwykle: te nie kończące się rozmowy, przekomarzania i na wpół zartobliwe kłótnie pana Czesława z grubym rzeźnikiem (miał szramę na prawym policzku). W końcu wyruszyliśmy z miasta i teraz jechaliśmy drogą w stronę morza, do wsi, gdzie była kolonia. Siedziałem koło ratownika, z tyłu - kosz z mięsem gniótł nas w plecy, zwłaszcza na zakrętach. Intendent siedział obok pana Czesława. Jechaliśmy już dobre pół godziny, a oni cały czas rozmawiali o jakimś piłkarzu, którego obaj znali. Pan Czesław mówił:

- Panie Janku, był pan na tym meczu w pięćdziesiątym siódmym, kiedy strzelał pięć razy i pięć razy trafił w poprzeczkę?

- Wtedy jak go sfaulował Baran? - spytał intendent.

- Tak. Tylko nie Baran go sfaulował, a Bąk.

Wjechaliśmy w las i wtedy wyprzedził nas osobowy wóz - zdaje się, opel. Przy kierownicy siedziała kobieta. Pan Czesław wychylił się i pomachał ręką. Nawet dodał gazu, ale gdzież tam nasz stary gazik mógłby mierzyć się z takim wozem. W ubiegłym tygodniu jeździłem z panem Czesławem regulować sprzęgło. Ciagle nam coś nawalało.

- Panie Czešku - odezwał się ratownik - pan jest cholernie cięty na kobiety!

- Nie każdy jest taki sflaczały jak pan - powiedział pan Czesław, a my roześmieliśmy się.

- Panie Władysławie, niech się pan broni! - powiedział intendent.

- Przed kim mam się bronić? Nie latam za każdą, tak jak pan Czesław.

- Która by go chciała? - spytał pan Czesław i popatrzył na intendenta. Intendent i ja roześmieliśmy siejnowu.

- Drugie wrota w las

17

- Bardzo przepraszam - powiedział ratownik. - Mam narzeczoną. To chyba do czegoś zobowiązuje, tak?

- Niech się pan nie złości, panie Władku - powiedział intendent.

Wyjechaliśmy z lasu. Tego opla już nie zobaczyliśmy. Do morza było niedaleko.

Około pięciu kilometrów. Wydało mi się, że czuję na twarzy wiatr stamtąd. Po obu stronach drogi ciągnęły się podmokłe łąki. Na czystym niebie nad drogą świecił księżyc, trochę zamglony, jakby zasnuty obłokiem mgły. Pan Czesław zapalił światła.

- Nie lubię takiego gadania - powiedział ratownik. - Każdemu, kto nie wierzy, mogę pokazać listy narzeczonej. Perłowska Krystyna nazywa się.

- Póki nie zobaczę, nie uwierzę - powiedział pan Czesław.

- Zając! - zawołał intendent. - Panie Czesławie, niech pan doda gazu!

Rzeczywiście - na drodze, o jakieś sto metrów od nas, stał słupkiem zając. Kiedy zbliżyliśmy się, jego oczy na chwilę zabłyśły zielonym światłem. Potem podskoczył, zrobił w tył zwrot i zaczął uciekać.

- Gaz, gaz, panie Czesławie! - gorączkował się intendent.

Goniliśmy tego zająca, ale odległość między nim a nami nie zmniejszała się.

Widziałem, jak pędził o kilka metrów przed wozem, jakby zaczarowany, prosto przed siebie, w jasnej smudze światła. Tylko białe skoki migwały w oczach. Pan Czesław pochylił się nad kierownicą.

- Siedemdziesiąt - powiedział. - Więcej, przy tym obciążeniu, nie da rady.

Potem zając jakby się zmęczył. Zwolnił raz i drugi - zbliżyliśmy się nieco. W końcu musiał zupełnie opaść z sił i znikł nam z oczu pod kołami. Wyczuliśmy słabe uderzenie, jakby wóz zawadził o coś. Pan Czesław przyhamował gwałtownie. Poczulem ciężkie uderzenie koszem w plecy. Wskoczyliśmy na drogę. Zając leżał może dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie stanęliśmy. Na skraju drogi.

Pobiegliśmy tam wszyscy czterej - ratownik pierwszy: chudy, w swojej czarnej koszuli (włosy miał jasne, jak piach na plaży spalony przez słońce), pan Czesław: gruby, spocony, w swojej skórzanej kurtce, intendent i ja - ale kiedy ratownik już miał go chwycić, zając poderwał się i niezdarnie zaczął uciekać. Wydawało się, że kuśtyka.

- Trzymaj go! - krzyknął pan Czesław.

W chwili, kiedy był na krawędzi rowu, ratownik chciał go złapać za skoki, ale tylko musnął palcami jego krótki ogon. Przeskoczyliśmy

18

rów i znaleźliśmy się w polu. To była podmokła łąka - poczułem wodę w butach. Zając uciekał niezdarnie - ciągle zdawało się, że kuśtyka, przystawał co chwila i jakby się chwiały.

- Okrążyć go, chłopcy! - krzyczał pan Czesław. - Panie Józku, leć pan na prawo, Władek na lewo, ja z intendentem na wprost!

Rozbiegliśmy się i po chwili podchodziliśmy do zająca z czterech stron, a on chwiały się ciągle, jakby warował na mokrej trawie pośrodku łąki. Ale kiedy byliśmy blisko, znów poderwał się i przebiegł dosłownie pod nogami pana Czesława, który zamachnął się na niego, ale spóźnił się o sekundę i z rozpędu klęknął. Zając zatoczył półkole i znowu pokuśtykał w stronę otwartego pola. Pobiegliśmy za nim. Wpadłem na krzaki jeżyn - pokłułem sobie ręce o kolce. Dobiegliśmy do jakiegoś jaru, w którym płynęła mała struga. On pokuśtykał wzdłuż brzegu strumienia.

- Kamieniami go, chłopcy! - dyszał pan Czesław. - Inaczej ucieknie...

Chwyciliśmy za kamienie. Biegliśmy i rzucaliśmy nie widząc już prawie nic.

Niektóre kamienie wpadały w wodę. Wtedy słyszeliśmy plusk.

- Dostał! - krzyknął w pewnej chwili ratownik. - Trafiłem go! Zając zatrzymał się. Stanęliśmy także.

- Trzeba go okrążyć - powiedział intendent. - Tak jak wtedy. - Oddychał z trudem. Wszyscy mieliśmy dość.

Kierowca wszedł do strugi. Zamoczył sobie nogawki powyżej kolan. Ostrożnie przeszedł na drugi brzeg. Na wprost zająca znów skreślił do wody. Ręce trzymał rozłożone.

- Panie Józku! - powiedział intendent. - Niech mu pan zabiegnie drogę z tamtej strony...

Zrobiłem duże koło. Potem powoli zacząłem wracać. W butach miałem pełno wody i ręce zawałane gliną. Zając siedział o dwa kroki od strugi, jakby nagle zmorzył go sen. Wyglądał jak rzucony na ziemię pusty worek. Intendent i ratownik szli także w

jego stronę. Słyszałem chrapliwy oddech pana Czesława. Pierwszy był ratownik. Zając i tym razem poderwał się, ale jakoś ospale, i ratownik zdążył go kopnąć. To uyt taki głuchy odgłos, jakby kopnął w źle napompowaną piłkę. Zając jeszcze skoczył w stronę wody, pod nogami pana Czesława, który z wielkim impetem rzucił się na niego. Przygniótł go sobą - nie słyszeliśmy nic, żadnego pisku, tylko to, jak pan Czesław z chrapliwym

19

sapnięciem upadł na ziemię. Po chwili wstał i podniósł zająca. Trzymał go za skoki.

- No i co? - zapytał. - No i co? Intendent położył rękę na moim ramieniu.

- Będzie pieczeń! - powiedział. Roześmieliśmy się.

Potem powoli poszliśmy w stronę drogi, gdzie stał nasz gazik z zapalonymi światłami. Ciągłe śmieliśmy się. Czulem wodę w butach. Te zadrapania na rękach zaczęły piec. Dwa razy plułem gęstą śliną.

- Myślałem, że już koniec - mówił ratownik. - Dłużej nie dałbym rady. Przywaliłem mu takiego kopa, że czuję w nodze!

- Po tym wcale nie miał dość, panie Władku - mówił pan Czesław. - Gdybym go nie przygniótł, zdążyłby uciec na tamten brzeg. I byłoby po nim!

Słyszeliśmy kumkanie żab i widzieliśmy księżyc, zamglony, jakby za obłokiem mgły. Gdzieś tam było morze - zdawało mi się, że stale wieje stamtąd chłodny wiatr.

Wyszliśmy na drogę. Pan Czesław stanął naprzeciw światła, koło maski. Otoczyliśmy go i przez chwilę oglądaliśmy zająca.

Był bardzo marny. Krew z jego rozbitej głowy kapiała na asfalt. Sierść miał brudnoszarą, miejscami wyleniała. Widać było gołą skórę pokrytą krostami. Cuchnął nieprzyjemnie.

- Szmata! - powiedział ratownik i strzyknął śliną na bok. Włożył ręce do kieszeni.

- Panie Czesławie - powiedział intendent. - To bardzo marny zając.

Pan Czesław popatrzył na nas. Był spocony. Koszulę na piersiach miał zawaloną krwią i gliną.

- Ten zając cuchnie - powiedział intendent. - Moglibyśmy się potruć albo co...

Milczeliśmy. Ratownik odezwał się po chwili:

- Nigdy nie widziałem takiego zająca. Chudy jak szczapa.

- Pewno jeszcze młody - powiedziałem.

Pan Czesław wytarł czoło rękawem. Potem odszedł na bok, zamachnął się i odrzucił zająca zr. rów, na łąkę. Kucnął i długo, starannie wycierał ręce o wilgotną tra\vo. Nie mówiliśmy nic więcej. Wsiedliśmy do naszego gazika z koszem, w którym było mięso i dwa lniane worki z chlebem. Odjechaliśmy - motor zagłuszył kumkanie żab.

Patrzyłem na księżyc nad drogą. Świecił mocniej, jakby mgła ustąpiła. Blisko wsi

20

(już widzieliśmy światła) ratownik jakby coś sobie przypomniał i zaczął się śmiać.

- Z czego się pan śmieje, panie Władku? - spytał kierowca i splunął na bok. - Jest tu z czego się śmiać?

- Niech się pan nie denerwuje, panie Czešku! - powiedział ratownik. - Ja tylko tak.

Tylko tak.

1963

Pokój

Matka zachorowała w sobotę. Wracalem do domu i spotkalem ja na polu. Stala schylona nad bruzda, jakby zastanawiala sie nad czyms. Zwrócilem uwage na porzucona motyke i worek z kartoflami, ktore chciala sadzic. Popatrzyla na mnie i nie powiedziala nic.

A potem wrócila do domu bez motyki i bez kartofli - uslyszeliśmy jej niepewne kroki w sieni i skrzyp drzwi. Powiedzialem do Wieś-ki: - Matka musiala zachorowac.

Robota w polu jej nie szla i cos za wczesnie wrócila.

Wieśka nie odezwała sie. Z matka klóciliśmy sie o pokój. Niby dom był jej, ale uważaliśmy, ze powinna nam oddac swój pokój i przeniesc sie do tego, który zajmowaliśmy. Ostatecznie ona była sama i mieszkała w duzym, jasnym pokoju, a my z dwojgiem dzieci w klitce za kuchnia. To chyba nie było sprawiedliwe, ale matka nie chciala ustapic. Rozmawialem z nią kilka razy na ten temat - ostatni raz po przyjsciu na świat drugiego dziecka - ale ona nawet slyszeć nie chciala o zamianie. I dlatego powiedzieliśmy sobie, ze nie będziemy z nią gadać. Jak chce żyć sama - proszę bardzo, ale na nas niech nie liczy. Sama sobie wzięła ten los, bo jakaś sprawiedliwosc musi być - ona nie pomyslała o tym, jak my żyjemy i ze dzieciom, jej wnukom, może być źle. I dlatego żyła sama w tym pustym, wielkim pokoju z oknami, ktore wychodzą na ogródek - czasem tylko jakaś kobieta ją odwiedzila, tak samo jak ona stara, my do niej nie zachodziliśmy, choć dzielila nas tylko sień, i dzieciom także zabroniliśmy do niej isc.

Aż w końcu tej soboty zachorowala, nad zagonem kartofli, ktore chciala sadzic, o dwa kilometry od domu, i widzialem, jak tam stala, schylona nad bruzda, a potem slyszeliśmy jej niepewne kroki w sieni, skrzyp drzwi. Pewno zaszkoźila sobie dzwigajac worek z kartoflami - niosła go ze dwa kilometry) polna droga, w dzień gorący jak ten.

Wieczorem powiedzialem Wieśce, zeby zajrzala do niej. Wieśka wzruszyła ramionami, ale poszła. Nie było jej chwile. Kiedy wrócila, powiedziala:

- Matka leży. Pytalam, co jej jest, ale nie chciala powiedziec. Ona chyba nigdy nie wietrzy tego pokoju.

Odczekałem pół godziny i sam poszedłem do matki. Lezala na duzym drewnianym lozku, w brudnej koszuli i trzymala swoja sucha, pomarszczona reke na piersiach. Popatrzyłem na jej twarz i siwe włosy rozrzucone na poduszce. Nie odezwała sie, jakby nie doslyszala, ze wszedłem.

Rozejrzałem sie po pokoju. „Tu, pod oknem, można by postawic tapczan - pomyslałem - a w kacie komódkę. Łozko dzieci może stac za piecem. W zimie można w nim palic, a na lato przykryc papierem i serwetą". - Nie chce sie wam jesć ani pic? - spytałem.

Matka potrzasnęła głowa. Oczy miała zamknięte albo patrzyła w sufit.

- Nie jest wam duszno? - spytałem jeszcze, bo nawet lufcik nie był otwarty.

Matka nie odpowiedziala. Chwile postalem przy drzwiach, zastanawiajac sie, czy tapczan przez nie przejdzie, potem wyszedłem.

- Źle z nią jest - powiedzialem do Wieśki. - Wieczorem trzeba jej zanieś cos gorącego.

Wieśka wzruszyła ramionami i czy cos zanioslą, czy nie, nie wiem, bo akurat wypadła mi zmiana na noc i o siódmej wyszedłem z domu.

Kiedy rano wróciłem, matka nie żyła. Musiała umrzeć w nocy albo wieczorem, albo nad ranem - w każdym razie, kiedy Wieśka zajrzała do niej po szóstej, matka nie żyła. Wieśka przestraszyła się, kiedy zobaczyła, że matka nie żyje.

- Zaraz otworzyłam okna - powiedziała.

Stałem nad matką i chwilę przyglądałem się jej. Była spokojna, oczy miała zamknięte i obie ręce trzymała na piersiach. Położyłem na oczach matki pięćdziesięciogroszówki. Potem powiedziałem do Wieśki:

- Poślij dziecko po Władka. Pomoże mi przenieść tapczan.

- Już dziś tu wniesiemy się? - spytała Wieśka.

- A dlaczego by nie? Matkę na noc przeniesiemy do naszej klitki. Dziś niedziela, z pogrzebem i tak nic nie załatwię. Trzeba zamówić trumnę.

22

23

- Znalazłam jej pieniądze - powiedziała Wieśka. - Dwa tysiące sto pięć złotych i sześćdziesiąt groszy.

- Dobrze - powiedziałem. - Będzie można postawić dębowy krzyż.

Stałem pośrodku pokoju. Był jasny i przestronny - pełen słońca. Wdychałem świeże powietrze, które wpadało z dworu, i patrzyłem na gałęzie jabłonek i wiśni, którymi poruszał wiatr. „Skończyło się to siedzenie w dusznej norze - pomyślałem. - Ten pokój to zupełnie co innego, tu można żyć!" A potem pomyślałem o motyce i o kartoflach, które matka zostawiła na polu, i że trzeba będzie pójść i wziąć je. Kiedy Wieśka wróciła, zaczęliśmy zastanawiać się, co gdzie postawić. Ona nie chciała, żeby tapczan stał pod oknem, tylko w kącie.

- Będzie wiało - powiedziała - Lepiej postawić komódkę między oknami.

- Boisz się świeżego powietrza? - spytałem. Wieśka chodziła zadowolona po pokoju.

Stała pod ścianą, przejechała palcem po tapecie.

- Brudna - westchnęła. - Warto by pomalować!

- Ty byś chciała wszystko mieć naraz! - powiedziałem. - Z malowaniem możemy poczekać. Te najbrudniejsze miejsca będzie można zasłonić makatkami.

Przyszedł Władek i stanął w progu. Był w garniturze i w nowych butach.

- Zmarło się jej - powiedział. Pokiwał głową. - Taki nasz los.

- Władziu - wziąłem go za ramię - pomożesz mi przenieść tapczan? Chcemy się zaraz przenieść. Władek popatrzył na mnie.

- Oczywiście - powiedział. - Jak chcecie się przenosić, to wam pomogę.

Potem podszedł do łóżka i stanął nad matką. Stałem przy nim i poprawiłem kołdrę na piersiach matki. Wieśka wyniosła rondle i naczynia do kuchni. Za oknem hałasowały dzieci.

- Była uparta - powiedziałem. - Chciała sadzić kartofle i to jej musiało zaszkodzić. To była za --ięzka praca na jej lata.

Władek nie odpowiedział. Zdjął marynarkę i powiesił na krześle.

Potem przenosiliśmy tapczan, dzieciaki nam przeszkadzały - musiałem dwa razy krzyknąć na nic. Najwięcej kłopotu mieliśmy w sionce, trzeba było tapczan tak ustawić, żeby mógł przejść przez drzwi. Władek stękał, czułem pot na szyi i gorzki smak w ustach.

- W lewo! - krzyczałem. - Bardziej w lewo! Teraz jest dobrze. Uważaj!

W końcu udało się nam przepchać tapczan przez drzwi, ale zaraz za progiem jakoś umknął nam z rąk i dno ciężko stuknęło o podłogę. Z oka matki spadła pięćdziesięciogroszówka i potoczyła się w kąt. Ostrożnie położyliśmy ramę z obiciem na podstawie. Władek zaraz usiadł i zaczął ścierać pot z czoła, a ja poszedłem w kąt i podniosłem te pięćdziesiąt groszy. Choć pół złotego, ale także pieniądz i szkoda byłoby zostawić.

Przyszła Wieśka ze szczotką i ścierką, obejrzała tapczan, czy czasem nie zabrudziliśmy obicia, a potem wygoniła nas z pokoju i zaczęła sprzątać. I cała ta niedziela była taka - bolały mnie ramiona od noszenia i czułem ból w krzyżu. Ale już tej nocy spaliliśmy w pokoju matki, dzieci w jej łóżku pod piecem, my na tapczanie, a ona leżała w naszej klitce za kuchnią, po tamtej stronie sieni, i tak chyba było sprawiedliwie, choć ona tej sprawiedliwości nie chciała i póki żyła, nie obchodziło ją, że my tam gnieździmy się, a ona sama mieszka w tym dużym, jasnym pokoju.

1962

24

Koniec zabawy

Nie znoszę podróży nocą. Nigdy nie potrafię usnąć, źle działa na mnie atmosfera pociągu - ten stały łoskot kół, kołysanie, zapach powietrza na korytarzu. Rano jestem wykończony. Kiedy odjeżdżaliśmy, wyszedłem z przedziału. Żał mi było także morza (wczoraj upłynął ostatni dzień naszego turnusu) - piasku, chłodnego wiatru znad wody, kiedy wcześniej rano wychodziłem na brzeg. Zresztą niewiele tego było. Lepiej będę pamiętał dym na oszklonej werandzie, gdzie tańczyliśmy, kurz z desek, orkiestrę - tych czterech chłopaczków, z których jeden przystawiał się do Zośki i z którym miałem ostrą rozmowę, nawet pchnąłem go w pewnej chwili, ale w końcu do niczego nie doszło, bo Doktor z panem Zygmuntem rozdzielili nas. Popołudnia spędziliśmy grając w brydża (dość często graliśmy na plaży) - i to także lepiej będę pamiętał: grube palce pana Zygmunta, jak rozdaje karty, kamienną twarz Doktora, który nigdy nie okazywał wzruszenia, tego tłustego faceta (jakiegoś dyrektora) wyklócającego się o każdy drobiazg i Zośkę zaciągającą się dymem z papierosa tkwiącego w kąciку warg. I jeszcze te wyglupy z panem Jasiem. Teraz, kiedy stałem przy oknie na korytarzu i patrzyłem na przesuwane się w dole domy - jechaliśmy po wysokim nasypie - białe dachy autobusów, latarnie (w pewnej chwili zobaczyłem, jak zapalono kilka naraz wzdłuż brukowanej ulicy i jak światło spłynęło na kamienie i rozbłysło między drzewami), byłem nieswój jeszcze dlatego, że nie lubię powrotów, tym bardziej powrotów z urlopu, ze wspomnieniem tych kilku zupełnie innych dni, <io tego samego domu, biura i brudnego powietrza nad miastem. Powiedziałem o tym Doktorowi, kiedy wyszedł z przedziału i stanął obok. Za oknem już nie było miasta, tylko ogrody, małe drewniane domki między drzewami i jeszcze ostatni raz mogliśmy

rzucić okiem na morze, kiedy pociąg skręcał po łagodnym łuku torów i za szerokim pasem zieleni zobaczyliśmy jego skrawek, jakiś wyblakły, jak kawałek emaliowanej blachy, pod zaczerwienionym niebem.

- Wiesz, stary - powiedziałem do Doktora (wczoraj, na pożegnanie, wypiliśmy bruderszaft) - to wszystko nie jest wesołe: czy nie żal ci czegoś?

- Nie rozumiem - powiedział Doktor.

- No, nie żal ci, że to już skończyło się i przez cały rok nie wyjdiesz o świcie na brzeg i nie poczujesz chłodnego wiatru znad wody? Ani tego, że przez cały rok nie będziesz grał na werandzie w brydża, przeklinając komary? I w końcu nie żal ci Celinki, Zośki i nawet naszego głupiego Jasia? - zaśmiałem się.

Doktor nie odpowiedział. Wiedziałem, że nie odpowie, i zaraz pożałowałem swojej wylewności, bo on nigdy nie okazywał wzruszenia i nie lubił sentymentalnych bab, a ja pytając go o to zachowałem się jak sentymentalna baba. Staliśmy wsparci łokciami o metalową poręcz i znowu podziwiałem tego człowieka - dużego i masywnego, o niebieskich wypukłych oczach, krótko przystrzyżonych włosach, ubranego tak, jak nigdy nie potrafiłem ubrać się (choć było to moim skrytym marzeniem) - w płócienne spodnie, nie za szerokie i nie za wąskie, koloru zgniłej zieleni, i w półbluzę-półsweter w czarne i czerwone paski. Palił wydmuchując dym za szybę - przypominało to rozchodzącą się kolistą falę - czułem zapach mentolu i od czasu do czasu cienki zapach wódki.

Wino i wódkę kupiliśmy przed odjazdem pociągu - litr wódki (zwykłej z czerwoną kartką) w monopolowym sklepie obok dworca, a wino w bufecie, tylko to, co tam było: sikacz z jabłek i miód, bo jak na złość żadnej winiarni w okolicy nie znaleźliśmy. To tam, przy bufecie, kiedy już odchodziliśmy (miałem trudności z umieszczeniem pękatej butelki z miodem w kieszeni), pan Zygmunt wpadł na pomysł urznięcia pana Jasia. - Na do widzenia, chłopcy, niezła myśl, co? Panie Doktorze, widział go pan kiedy pijanego? A ty, Józiu?

Przeciskaliśmy się do wyjścia na peron, szukałem biletu i jednocześnie usiłowałem sobie przypomnieć, czy widziałem pana Jasia pijanego.

Z tym panem Jasiem to mieliśmy niezły ubaw! Zjawił się po otwarciu turnusu, w południe następnego dnia, kiedy siedzieliśmy przy obiedzie. Wszystkie stoliki zajęte, zapachy z kuchni, brzęk noży i widel-cy, dziewczyny z talerzami (jedna wpadła mi w oko, ale okazało się, że ma narzeczonego - marynarza; sprawa była zbyt ryzykowna i wymaga-

26

27

ła zachodu, wobec czego dałem spokój). Ten cały pan Jaś stanął jęczałem, póki nie przyszła Zośka, także ocierając łzy z oczu, i nie w drzwiach - mały z rozbieranymi oczkami (Zośka powiedziała potem; pomogła mi wstać. Pani Jadzi udało się w końcu namówić Zygmunta „Panie Jasiu, pan ma wiecznie zatroskane oczy!”), zdjął słomkowyj Doktora i odebrać te rzeczy, które położyła na brzegu, jak już kapelusz i przedstawił się. Wszyscy odwrócili głowy, chwilę było cicho, odchodziliśmy.

a potem Doktor coś powiedział, co wszystkich rozbawiło. Wybuchnęliśmy. Ale pijanego nie widziałem go, choć przecież często popijaliśmy śmiechem (pamiętam, że położyłem głowę na serwecie, długo niemy _ on wymykał się, a swoją drogą, nie zmuszaliśmy go do picia, mogłem uspokoić się, choć źle dosłyszałem, co Doktor powiedział, ale - Nie, panie Zygmuncie - powiedziałem. - Nigdy nie widziałem na pewno coś zabawnego - on już jest taki), a pan Jaś stał w drzwiach, pijanego Jasia. Pamiętam, jak tańczył z Celinką i jak nago biegał po półgębkiem uśmiechając się - nie bardzo wiedział, jak zachować się, p\ażył ale żebyśmy pijanego widział, to nie.

nim, przewyższając go dwukrotnie wzrostem i tuszą, biegaltermosu i wypił odchylając głowę do tyłu, a pan Jaś wypił po chwili, Doktor naśladowując jego ruchy (tak jak on trzymał dłonie złożone ns^ostr^ożnie pociągając drobnymi łykami i w końcu, kiedy wypił do dna, podbrzuszu) i krzyczał: „Kto zabrał panu Jasiowi ubranie? Gdzie jeslwszyscy roześmieli się, a pan Zygmunt powiedział: ubranie pana Jasia?”. Dawno tak nie uśmiałem się, bolał mnie brzud ~ Brawo, panie Jasiu! Ho, ho, pan Jaś może jeszcze zakasować co i oczy zaszyły łzami - musiaⁿ w końcu położyć się na piasku, leżałeirePszych pijaków! - Potem zwrócił się do nas: - A szanowni panowie

28

29

co? Panie Józku, panie Doktorze, prosimy do stołu, po jednym głęb. wielki biust (pamiętam, że rozmawiałem na ten temat z Doktorem, szym - raz dwa! który powiedział, że kobiety z takim biustem mogą być niepłodne, co Doktor zatrzaskał drzwi i zasunął firankę. Obawialiśmy się wizyt) mnie zdziwiło, bo byłem przekonany, że to raczej świadczy o wyjątkowej konduktora, tym bardziej że był to przedział pierwszy z brzegu, cc płodności), jej grube uda i fałdy tłuszczu na brzuchu. Zaraz pierwszego złościło mnie, bo obok jest wychodek, od którego zalatuje, ale był tłols jnia spaliła sobie skórę i przez tydzień leczyła się okładami z kwaśnego i Doktor, kiedy wskoczył zająć przedział (był pierwszy - zapamiętałen mleka. Zalecała się po kolei do wszystkich mężczyzn, ale nie miała jego szerokie plecy i łokcie nad głowami ludzi stłoczonych przy szczęścia (ja w ogóle nie lubię takich grubych bab, a inni albo byli drzwiami), zajął ten, bo następne były już zajęte. zajęci, albo zrazili się gadaniem pana Zygmunta, który opowiadał Wypilem ze szklaneczki - niewiele, bo pan Zygmunt oszczędzał dla niestworzone historie) - w końcu został tylko pan Jaś i ku ogólnej pana Jasia - starając się wlać wszystko do gardła, żeby nie poczuć radości nie rozstawali się przez ostatnie dni. Ale chyba do niczego nie smaku wódki, ale nie udało mi się - poczułem, jak rozlewa się pcdoszło _ nie mogło dojść, bo trzymali się cały czas na widoku, pan języku i pali w dziaśła. Z bakelitowej zakrętki od termosu wypięła tera; Zygmunt i Doktor na pewno by wysledzili, gdyby do czegoś doszło, ale Celinka, potem pan Zygmunt nalał Zośce, która nie chciała wypić nie _ ten cały pan jaL za(}nej inicjatywy nie przejawiał, podejrzewam, że denerwowało mnie to - ona zawsze może wszystko popsuć - powie to impotent, bo takie „kruszyny" jak on to najczęściej impotenci, działem: „Wypij!" i Zośka wypięła. Pani Jadzia nie chciała wypić, ale onsZfesztą to ona przystawiała si? do niego, a nie on do niej - był przecież ma dobre serce i jest nauczycielką, więc nie zmuszaliśmy jej. W końcizbyt ^miały, mało co mówił, tylko uśmiechał się bezradnie. Śmieliśmy piliśmy tylko we trzech: pan Jaś, Zygmunt i ja, a od czasu do czasisję na ich widokj jak ^ trzymając się za ręce, do wody: ona duża, dawaliśmy się napić Celine. W pewnej chwili pan Zygmunt zwierzył m z wielkjm b[ustem { grubymi nogami, a on wąty, niski, z łysą czaszką się ze swoich planów (już zapalono światło i zaraz okno, na kton okoloną kępkami siwych włosów, wąską klatką piersiową, na cienkich, patrzyłem, bo był tam profil Zośki na tle nieba, stało się szarą, a Potenowjosjonych nóżkach czarną płytą, jakby ze szlifowanego marmuru i tylko od czasu do czas; ^ ^ Q do

sz]daneczki miodu (wódka ^ przemykały po niej jasne punkciki - światła wsi i miasteczek, kton ^ m^.

mijaliśmy) - on zawsze coś wymyśli, tak jak z tym urznięciem pani XT- 'u

• /-• i- i T - * • n • l Ł i i - i

mijaliśmy; uu j t -u -A tn^-a r\»K,,i,, ~ Niech pani uważa, pani Celmko. Jaś to wielki kat na kobiety!

Jasia, teraz znowu przyszło mu do głowy, zęby upić także Celinki ^ „ . ' ? ..

• ' „ , * , * Wypiłem dość dużo, złe już widziałem profil Zośki na tle okna, od

i zostawić ich w przedziale sam na sam. J.r ..' :J , . j

- Co z tego wyniknie, panie Józku, jak pan myśli? - spytał pa, Cfsu do TM* °8arniał mnie śmiech potem znowu zmęczenie, kiedy Zygmunt szeptem, trzymając swoje wilgotne usta przy moim uchuTMadamiałem sobie to kołysanie łoskot kół i jak przez szpary i obejmując spoconą ręką za szyję. W f2wiach wciska «* ""^ z wychodka. Kiedy pociąg zatrzymał się,

Już byłem na wpół pijany, kręciło mi się w głowie i kiedy pa, us'łowałem odczytać nazwy stacji, stawałem przy oknie, przez chwilę Zygmunt skończył mówić, tak samo objąłem go za szyję i powiedziałem wdychałem chłodne powietrze nocy i czułem się lepiej, ale zaraz pociąg

- Ona go zgwałci, panie Zygmuncie! ruszał l zmęczenie ogarniało mnie znowu - wracałem na swoje miejsce

Ale to był dobry pomysł i potem słyszałem, jak Doktor powiedziałPotykając się o nogi pana Zygmunta i Doktora i jeszcze mając w oczach

„zgoda" i jak pani Jadzia i Zośka śmiały się. Jasno oświetlone budynki, peron, czapkę dyżurnego i przejazd za stacją,

Z tą Celinka to mieliśmy także różne numery: nie wiadomo było2 Jasnym kręgiem światła na wilgotnym bruku.

kim jest (tak jak powiedziałem, od pana Zygmunta wiedzieliśmy, że Ciągłe zgrywaliśmy się z pana Jasia, który wypił dużo i siedział puszcza się, ale głowy bym za to nie dał), była gruba, używała wyjątkami złożonymi na kolanach, bezradnie uśmiechając się, kiwając kowo jaskrawej kredki do ust, czerwonego lakieru do paznokci i mocn<8ł°wa. w takt mocniejszych uderzeń kół, powstrzymując ślinę napływającą-czerniła sobie brwi. Kiedy rozbierała się na plaży, podziwialiśmy jfc^ do ust. spocony, z czerwonymi plamami na łysej czaszce.

30

31

- Pani Celinka może być spokojna o swoją cnotę - mówił Doktoj Nie wiem czemu, ale zacząłem się śmiać, to było silniejsze ode (wypukłe oczy, nieznaczny grymas ust).

- Pan Janek nie jest pełnowar. fflnie - może dlatego, że ciągle słyszałem zaraźliwy śmiech Zośki i pani teściowym mężczyzną... Jadzi, a pan Zygmunt także zaczął się śmiać, powtarzając co pewien

Zośka i pani Jadzia bez przerwy śmiały się. czas: „Trzeba być ludzkim! Trzeba być ludzkim!". I tak staliśmy przy

- Panie Janku niech pan coś odpowie na te oszczerstwa! - powie- oknie, za którym przesuwaly się łaki, drzewa i domy, których nie dziala pani Jadzia. Zośka otarła łzy. widzieliśmy bo była noc, zanosząc się od śmiechu - wspierając ramio-

- Jasio?! - udawał oburzenie pan Zygmunt. - To stuprocentowj nami, poklepując, krztusząc się śliną i dławiając powietrzem.

.A, j' . . ., Potem usłyszeliśmy, ze drzwi od naszego przedziału otworzyły się

mężczyzna! Żadnej kobiecie me przepuści! gwałtownie, i kiedy (jeszcze owładnięci tym niepowstrzymanym śmie-

Ktos szarpnął za rączkę przy drzwiach - o był konduktor - spr. & odwróciliśmy si?> zobaczyiism; Celinę, gmbą babę z czerwoną wdzał bilety stojąc w progu, znowu poczułem smród z wychodka twafzą> w nylonowej bluzce nie dopi?tej na piersiach, i usłyszeliśmy, jak i ogarnęła mnie senność - jak przez mgłę widziałem Doktora, ktorj krzyczy. _ świnia! Cały przedział zarzygał!

szukał biletu pana Jasia, i ledwie usłyszałem, jak konduktor wychodząi przestaliśmy się śmiać. Doktor otworzył drzwi, które Celinka wy-spytał: „Coście zrobili z tym człowiekiem?”. Prawdopodobnie mrugną ch(xjąc zatrzasnęła, i wszedł do przedziału, za nim pan Zygmunt, a ja do pana Zygmunta, któremu to spodobało się i który po jego wyjściu wsunąłem głowę na końcu. Palila się tylko jedna lampa dając nieco powtarzał jakiś czas: „Ten konduktor to swój chłop! Swój chłop!”.

przyćmionego światła i w tym przyćmionym świetle zobaczyłem pana

A potem zasnąłem. Zbudził mnie pan Zygmunt. Potrząsając z; Jasia leżącego na podłodze w kałuży wymiocin - jeszcze dwa razy ramie powiedział: wstrząsały nim skurcze i za każdym razem z chrapliwym kasznięciem

- Panie Józiu, wstawaj pan! Wynosimy się z przedziału. Trzeba byipluł pod siebie, poruszając przy tym rękami, jakby usiłował podnieść się. ludzkim, tak? Doktor i pan Zygmunt wzięli go pod pachy i posadzili na ław-

Zobaczyłem, że drzwi są otwarte - na korytarzu przy oknie stalce - Doktor przytrzymał spodnie pana Jasia, bo były rozpięte i kiedy Zośka Doktor i pani Jadzia, a pan Zygmunt stał nade mną, a potem go podnieśli, osunęły się na uda odsłaniając poły zmiętej koszuli i białe kiedy zobaczył, że zbudziłem się, zgasił światło.

Wyszedłem na kory kr<f f kalesony z wyciętym rozporkiem. Zapaliłem światło, a potem tarz-jeszcze kątem oka zobaczyłem Celinę-grubą babę w nylonozat.ka.łem L« ' Podszedłem do okna uważając żeby nie wdepnąć

7 „„ , , • , ' • , -i t i' :„iw kałużę. Otworzyłem je i do przedziału wpadło chłodne, czyste powie-wej bluzce, przez którą przesyczał różowy stanik, usłyszałem jal _ ^ J P P • J P zaśmiała się, kiedy pan Zygmunt nachyla się i cos szepnął jej do ucha^^. kwadratem okna ^ Swastów, biało pomalowane kamie-a obok - pana Jasia, ciągle z bezwładnie złożonymi rękami na kolanie) { usiłując śledzić Jot .^.^ te długie czerwone kreskij { m ich

nach, w rozpiętej koszuli, w szerokich płóciennych spodniach, ze spocoupadek na twarzą, zamglonymi zatroskanymi oczkami i czerwonymi plamam Pan Zygmunt starł z podłogi kałużę - wyciągnął plik gazet z torby na czaszce. Potem pan Zygmunt zatrzasnął drzwi, oparłem się o ściaDpani Jadzi i zużył te wszystkie gazety - wynosił

je do wychodka i za przy oknie, pod fotografią jakiegoś uzdrowiska, i słuchałem, jak Zośka każdym razem słyszałem okrzyki obrzydzenia Celinki i Zośki. Potem i pani Jadzia zanoszą się od śmiechu (był to śmiech histeryczny) jeszcze jakiś czas wietrzyliśmy przedział, w końcu siedliśmy na swoich przyglądałem się kamiennej twarzy Doktora, ożywieniu pana Zygmunta i znowu śmieliśmy się, choć już nie był to ten śmiech z koryta-i wdychałem powietrze przemycone smrodem z wychodka. Ciągłe taflrza_ (kurcze, przysiadanie, wpieranie czoła w szybę), było to coś spokojny-ktoś szedł i trącał mnie, w ~ońcu zły odwróciłem się i stanąłem przemejszego, jak powtarzające się przyływy i odpływy, drugim oknie, a obok stanął pan Zygmunt. , ~ ~winia! - mówiła Celinka. - Przeraziłam się, kiedy zaczął rzy-- Ale numer co panie Józiu? - powiedział pan Zygmunt i położył*8?' wPierw myślałam, że kaszle, a potem poczułam coś ciepłego na rękę na moim ramieniu. - Tnrba być ludzkim, tak? °lame'to ^Y Je8° wymioty, i spódnica przemokła.

32

3 -

Drugie wrota w las

33

- Powinna była pani okazać matczyną troskliwość, pani Celin ko - powiedział Doktor.

- To nieładnie porzucać ukochanego w takie ciężkiej chwili.

- Jaki tam ukochany! - powiedziała Celinka, a pan Zygmunt mó wił śmiejąc się:

- Nie ma pani szczęścia do chłopów, pani Celinko! Za grosz nie m* pani szczęścia!

Już rozjaśniło się za oknem, znowu na tle nieba zobaczyłem profi Zośki, ale nie miałem nawet ochoty na nią patrzeć, bolała mnie głó\vj i czułem się nieswój, bo znowu pomyślałem, że oto wracam do tyci swoich codziennych spraw w biurze i w domu, do tego brudnego powietrza nad miastem i że nic nie da się zmienić.

Przyglądałem sii jeszcze jakiś czas panu Jasiowi, który spał z otwartymi ustami, kiwają głową w takt mocniejszych uderzeń kół, błądy, z sińcami wokół oczu w zmiętych spodniach i zabrudzonej na piersi koszuli. Potem zdrzem nałem się, a kiedy otworzyłem oczy, zorientowałem się, że już dojeżdżamy, wszyscy wstali i ubierali się, z wyjątkiem pana Jasia, który ciągle spał szeroko otwierając usta.

Kiedy już jechaliśmy przez miasto (domy na wysokich nasypach niżej szeroki pas torów, czerwone i fioletowe światła) i kiedy już stałec z walizką na korytarzu, pan Zygmunt i Doktor zbudzili pana Jasia pomogli ubrać się, a Doktor wcisnął mu słomkowy kapelusz głęboko tak że spadał na uszy, które śmiesznie zagięły się. Zośka i pani Jadzi: znowu śmiały się, tylko Celinka nie mogła zapomnieć o tej spódnicy i powtarzała w kółko:

- Świnia! Cały przedział zarzygał!

Potem wjechaliśmy na dworzec, stałem przy drzwiach i przygląda łem się, jak prędko przesuwa się w dole płaszczyzna peronu, w kona pociąg przyhamował i stanął.

Wysiadłem pierwszy, podałem rękę pat Jadzi, a potem przyglądałem się jak Doktor i pan Zygmunt wypychaj: pana Jasia podtrzymując za ramiona, i usłyszałem śmiech Zośki.

A kiedy już wszyscy staliśmy na peronie i szykowaliśmy się do odejścia (obok szli ludzie, stałem nieco ogłuszony gwarem i powie trzem), zobaczyłem chłopca który podbiegł do pana Jasia i trzymają go za poję marynarki, krzyknął:

- Mamo, tu jest tatuś!

Staliśmy naokoło, jeszcze powstrzymując śmiech, ten śmiech z kc rycarza i z przedziału, który towarzyszył nam przez całą drogę, a Dokt i pan Zygmunt puścili pana Jasia, ale bali się odejść, żeby nie upadł, bo pan Jaś stał niepewnie, chwiejąc się - blady, w brudnej koszuli, zmiętych spodniach i w kapeluszu spadającym na oczy. Potem przysłała ta kobieta z dziewczynką i stanęli wszyscy troje przed panem Jasiem: ona, ta mała i chłopiec - mała z dwoma gałązkami jaśminu (zwróciłem uwagę na opadające płatki w chwili, kiedy poruszyła się - ten ruch do przodu, jakby chciała rzucić się ojcu na szyję - i na strzępki kory w miejscach, gdzie ułamano gałązki) i chłopiec w białej koszuli, z kołnierzykiem wyłożonym na kłapy marynarki i ze zmoczonymi i przyczesanymi starannie włosami.

Potem poszliśmy, ja pierwszy, jeszcze kątem oka zobaczyłem to wszystko i to, jak ta kobieta położyła ręce na twarzy Jasia (przedtem zdjęła kapelusz i przyglądała okalające gołą czaszkę kosmyki), i usłyszałem, jak powiedziała:

- Jak ty wyglądasz, Jasiu? Na litość boską!

Nie obejrzałem się więcej. Znowu spadło na mnie zmęczenie, senność, jakbym na nowo przeżywał podróż - kołysanie, łoskot kół, ból ramion, ciężar powiek - przyglądałem się plecocom ludzi, którzy szli przede mną, i niebu nad naszymi głowami.

1961

34

Dziecko Ojca i Matki

przez koła i kłęby niebieskich spalin. Ojciec coś już śpiewał, a Matka rozmawiała z panią Pietruchową - oboje nawet nie spojrzeli na dzieciaki. Policzyłam je. Wojtek i Józek siedzieli po tamtej stronie - Wojtek ciągle wysuwał głowę za pręty i patrzył do przodu, bliźniaczki, piszcząc z uciechy, kucnęły pod ławką, a Michałek kulił się przy moich nogach.

„Tyle uciechy mają dzieciaki - pomyślałam - a Ojciec i Matka wcale nie palili się,

żeby nas wziąć. Wstydzą się czy co?”

Musiałam prosić chyba pół dnia Matkę - Matka jest ważniejsza i jak coś postanowi, to Ojciec także musi tak postanowić. Zgodziła się, .ale znowu nie chciała się zgodzić, żeby Michałek pojechał, i drugie pół Na platformę wchodziło się po metalowej drabince wiszącej na dnia prosiłam Matkę Q tQ Dwa

fazy dostałam t dzieciaki

klapie. Olszewski, kierownik wycieczki denerwował się, ze ludzie= spo, & ona że weźmiemy, zostanie niają się - było już kwadrans po, a odjazd miał być o dziewiątej.

Matka J od ^ ^ ^ »» * dozorczyń W końcu wspięła się po drabince pierwsza - chuda, w granatowej sukience w bi, ^ ^ się ^ ^ ^ ^ J^ . ^ ^ *°TM

halkę i suche nogi. Za nią Ojciec, z -^ * ^ TM, ariała ^k, ————— kolorowe sukienki> Józka i Wojtka w długie granatowe

się za obcisły kołnierzyk białej koszuli. Potem podsadziłam dzieciaki Matka wfydzila J P™* ludźmi, że ma takiego głupiego syna, i dlate-rzuciłam przez kłapę torbę z jedzeniem, na końcu wzięłam Michałka ni go musiałam tak długo przekonywać ją i prosić, zanim zgodziła się, żeby ręce, a Józek i Wojtek wciągnęli go. Siedliśmy na ostatniej ławce zara; P^6™211 z nanu- przy kłapie dalsze ławki były zajęte - Olszewski sadzał ludzi na kolej Uczy zaboląły

mnie od patrzenia ciągle przed siebie, załzawiły się nych ławkach, jak kto przyszedł. od wiatru> który C1 {*8le ^^ na twarzy jak strumień ciepłej wody, Brakowało jeszcze Antka - windziarza z fabryki, w której Ojcie wysunęłam się spomiędzy prętów i siadłam na ławce. Wjechaliśmy w las, pracuje, czekaliśmy pięć minut, póki nie nadbiegł zdyszany, z harmonii słońce schowało się za drzewa, zrobiło się chłodniej, tylko zapach przewieszoną przez ramię i butelką wina sterczącą z kieszeni. drzew ~ kory i igieł - był mocny.

jechali;

i polami - „„„_..__ ———_ 0— . , .

i wysunęłam głowę nad pręty. Widziałam długą prostą drogę, niebieski ścisnął kurczowo łopatkę, którą dałam mu rano.

niebo nad ciemną liną lasu, do którego zbliżaliśmy się (dzień zapowiada - Czekaj, Michałek! - powiedziałam. - Niedługo przyjedziemy, się piękny), i czułam na twarzy wiatr jak strumień ciepłej wody. Jam będziesz mógł zrobić si-si! - Wytarłam mu nos i starłam ślinę Ojciec wyciągnął pół litra czystej i napił się z panem Pietruchą psdekającą po brodzie. Chustkę zawsze musiałam mieć pod ręką, żeby łyku. Antek windziarz, już p-ał na harmonii, przepchał się do przodmóc go doprowad/ić do porządku.

i siedział między dziewczynami na pierwszej ławce. Słyszałam śmieć - Si-si! - powtórzył Michałek i zaczął wiercić się niespokojnie, dziewczyn, pisk dzieciaków i monotonny warkot motoru. Od czasu d - Mamo! - powiedziałam. - Michałek chce się załatwić, trzeba czasu odwracałam głowę i widziałam z góry szarą drogę, kurz wzniecaflzatrzymać samochód.

36

37

Matka plotkowała z panią Pietruchową. Antek śpiewał z dzie\ v. i zaraz wróciliśmy. Olszewski czekał przy klapie, póki nie usadowiliśmy czynami: Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą, a ja doliną... - hałas byj sj? z Michałkiem z powrotem na ławce. porządny, jeszcze motor huczał bez przerwy, i Matka nie usłyszała - Gotowe? - zapytał. - Panie Pietrucha, może pan jeszcze namy-Położyłam rękę na jej ramieniu i powtórzyłam: śli się? Prędziej, ludzie! Komu się chce? Raz-dwa!

- Michałek chce się załatwić. Dziewczyny zapiszczały, Antek, tupiąc głośno nogą do taktu, zagrał

- Niech zrobi przez klapę - powiedziała Matka. oberka, a pan Pietrucha wyciągnął do Olszewskiego rękę z butelką.

Spojrzałam na Ojca i zobaczyłam, że znowu pije z półlitrowki, - Panie Olszewski, napij się pan. Nic pan sobie nie żałuj i kierowcy którą przyniósł w kieszeni, i dlatego, kiedy wspinał się po metalowe daj pan łyknąć, co się będziem martwić. drabince, zdawało się, że ma sztywną nogę. Staliśmy jeszcze chwilę, póki Olszewski z kierowcą nie napili się,

„Ten Ojciec - pomyślałam - ten Ojciec...” potem butelka wróciła do pana Pietruchy pusta, bo Olszewski podał ją

Podniosłam Michałka i ustawiłam przy klapie. Wyjęłam tę jegc przez ^no Antkowi, Antek napił się, dał się napić dziewczynom, i tak małą rzecz i potrząsnęłam. butelka przeszła z rąk do rąk. Śmieliśmy się z pana Pietruchy, a jeszcze

- Si-si! - powiedziałam. - No, si-si! bardziej śmieliśmy się, kiedy wyciągnął spod ławki drugą pełną butelkę,
 Ale Michałek nie chciał się załatwić, tylko uderzył mnie łopatką pc a pustą (to chyba była butelka Ojca) cisnął do rowu. Kiedy jeszcze nie
 ręce. nabraliśmy gazu, minęła nas jakaś wycieczka - usłyszeliśmy krzyk
 - Ee, nic ci się nie chce! - powiedziałam. Chciałam znowu stanąć ; ^^ { poczuliśmy
 ciepły podmuch - zapach potu, benzyny kurzu na ławce - akurat skręciliśmy, za
 zakrętem był zagajnik i słońce wy który na chwilę zabił} tamten mocny zapach
 nasłoneczni • ^^j skoczyło zza drzew oślepiając nas, a wiatr przywiał z nad
 zagajnik: j drzew zapach rozgrzanych igieł, piasku i żywicy. Michałek złapał mnie v
 Nabraliśmy szybkości> Antek bił pi?śdą po budzie szoferki { krzy_
 n°Le- czał, żeby gonić tamtych, ale pewno mieli silniejszy motor i mniej ludzi
 - Si-si, si-si! , . . p. na platformie, bo tylko dwa razy jeszcze zobaczyliśmy ich, kiedy
 wyjeżd-
 nachyliła się i krzyknęła: T ,
 -Panie kierowco! Niech pan zatrzyma wóz. Dziecko musi się Jechaliśmy jeszcze
 godzinę, minęliśmy miasteczko, dwie wsie (śmie-
 załatwić y S1?.' y J'akaś kura wPadła Pod koło 'l Potem uciekła wlokąc za
 Kierowca przyhamował i zjechał na bok, wiatr zaraz przycich!^ zmiażdżone
 skrzydło), wjechaliśmy znowu w las i jechaliśmy już do
 tylko mocniej zapachniało rozgrzaną korą, igłami i piaskiem. Olszewsk*0^ w cieniu
 drzew, aż skręciliśmy przed pierwszymi chałupami
 wyskoczył z budki i stanął pod klapą. rybackiej wioski na piaszczystą drogę, którą
 jechaliśmy podskakując na
 - Co się stało? - zapytał. - Komu się chce? Kamieniach, wpierv w górę, potem w dół.
 Z góry już było widać
 - Temu małemu, panie kierowniku! - powiedziałam. - Już nimorze - trzymałam się
 prętów czując pod palcami ich drżenie, a pod moze wytrzymać. stopami kołyszącą
 się platformę, i zdawało mi się, że to morze podniesie
 - Dawaj go! f*? \ przewróci na nas jak olbrzymia granatowa ściana. Na dole za-
 Podałam Olszewskiemu Michałka, który ciągle kurczowo ścisk^ęciliśmy na małym
 placyku, bliżej wydm stał biały barak, a między
 łopatkę, a potem sama zsunęłam się w dół, mocno chwytając za zimn^arlałymi
 sosenkami zaparkowane samochody osobowe i ciężarówki,
 pręty. Stałam nad Michałkiem w rowie, teraz już poszło raz-dukt°rymi przyjechały
 inne wycieczki.

39

•<; Pobiegliśmy w dół, pod barakiem zdjęłam sandały i czułam pod stopami gorący
 piasek, kiedy biegłam trzymając Michałka za rękę - piasek szczególnie gorący
 wyżej, w przejściu koło baraku i obok drewnianego kołowrotu z zardzewiałą liną
 rzuconą w dół, nad brzeg gdzie leżały łodzie. Wbiegłam do wody podnosząc
 sukienkę, Michałek został na br/egu, w miejscu, gdzie na gładkim piasku załamywały
 się fale. Pierwszy raz widziałam morze, nie wyobrażałam sobie, że piasek jest taki
 gładki i woda czysta - w rzece przepływającej przez nasze miasto dno jest

kamieniste, pokryte szarym mułem, a woda brudna. Odwróciłam się - śmiałam się i wyciągnęłam ręce do Michałka, ale on bał się wody i nie chciał przyjść do mnie. Rozejrzałam się. Nasza wycieczka rozłożyła się pod wydumą, obok dziurawej łodzi przewróconej do góry dnem - zobaczyłam, jak Ojciec rozkłada szary koc, a Matka zdejmuje sukienkę.

Było południe, zjechało się dużo wycieczek i dalej nie było jui wolnych miejsc, tylko tu, blisko przejścia, gdzie piasek palił stopy, pachniało rdzą i roztopioną smołą. Wzięłam Michałka za rękę, podniosłam z piasku torbę i poszliśmy w stronę dziurawej łodzi. Wszyscy usadowili się dookoła niej, na kocach, brezentowych płachtach i rozłożonych ubraniach. Przyszli kierowca i Olszewski, który powiedział: - Słuchajcie, ludzie! Odpowiadam za was - nie rozchodźcie się, o godzinie ósmej wieczorem odjazd, żeby mi żadnego nie brakowało.

Matka siedziała oparta plecami o burtę przewróconej łodzi, w różo wej halce podwiniętej na udach. Twarz posmarowała tłuszczem. Kiedj stawiałam torbę na piasku przy niej, powiedziała:

- Odejdź! Nie zasłaniaj słońca. Nie widzisz, że opalam się? Śleps jesteś?

Miałam w torbie olejek, bo wiedziałam, że słońce jest niebezpieczne teraz wyjęłam olejek z torby i posmarowałam ramiona i twarz Michałki (przedtem utarłam mu nos i wytarłam ślinę na brodzie), potem sami posmarowałam się i krzyknęłam na Wojtka, Józka i bliźniaczki, że; przyszli także posmarować się. Wojtek i Józek przybiegli z krzykiem, ju; mokrzy, w spodniach podwiniętych do "pól łydki, a bliźniaczki w zmoczonych sukienkach.

Obok Ojca i Matki rozłożyli się Pietruchowie, pan Pietrucha tai samo jak Ojciec pijany. Obaj nie rozebrali się, tylko zdjęli buty i mary narki. Ojciec swoje brązowe buty, szyte żółtą nicią, zdjął zaraz po zejści' z platformy i potem schodził lekko zataczając się, ostrożnie niosąc j

w garści, a w drugiej - teczkę z wystającą nad klapą brązową szyjką butelki z jabłecznym winem. Siedzieli teraz obok siebie ze sztywno wyCiągniętymi nogami, w białych koszulach, źle pewno widząc plażę j morze, słysząc tylko gwar, śmiech (blisko nas odbijano piłkę), rytmiczny plusk załamujących się na gładkim piasku fal, potem zasnęli i spali do piąteJ> a kiedy zbudzili się, pili znowu wino z brązowej butelki. Teraz pomyślałam znowu: „Ten Ojciec, ten Ojciec...”

Antek rzucił harmonię na piasek, przykrył koszulą i pobiegł z dziewczynami do wody. Trzymali się za ręce, nad samym brzegiem dziewczyny przestraszyły się - Antek ochlapał je, a potem gonił po plaży i wciągał przeraźliwie piszczące do wody. Matka i pani Pietruchowa śmiały się.

- Niech pani patrzy, co ten chłop wyprawia! - powiedziała Pietruchowa.

Przyglądałam się, jak Antek goni dziewczyny, wszystkie niezgrabne, ciężko biegnące po sypkim piachu, z sińcami na białych nogach, w różowych majtkach i stanikach - tylko jedna miała porządny żółty kostium, za to była najbrzydsza.

- Panie kierowco - odezwała się Matka - a pan co? Nie pobiegnie pan za nimi do wody?

- Lecę, lecę! - powiedział kierowca. Zdjął koszulę, rzucił na piasek, potem ściągnął spodnie. Kucnął w długich, granatowych kąpielówkach, związanych białą tasiemką, i

starannie złożył koszulę i spodnie w kostkę.

- Ga-ga! - powiedział Michałek. Już posmarowałam go i teraz siedział na brzegu koca z podkurczonymi nogami, dużą głową na cienkiej szyi, a ślina znowu zaczęła mu ciec po brodzie.

- Chcesz ga-ga? Dobrze, dostaniesz ga-ga.

Wyjęłam z torby chleb, nożyk, smalec, zawinięty w pergaminowy papier, kubek i butelkę z herbatą. Nalałam do kubka herbaty zaprawionej malinowym sokiem i dałam Michałkowi napić się. Kierowca zachichotał. Podniosłam głowę.

- Co się pan śmieje? Nie widział pan dziecka?

- Taki duży ; trzeba go karmić?

- Jest za duży na swój wiek - powiedziałam. - Nie podoba się komu, może nie patrzeć.

- Nie złość się, mała - powiedział kierowca.

- Mamo, chcesz chleba ze smalcem? - spytałam Matkę.

40

41

Matka nie odezwała się. Zamknęła oczy i położyła głowę na rozgrzanej burcie łodzi.

- On coś nie tego - powiedział kierowca. - To widać. Nie ma wszystkiego na miejscu tu - stuknął palcem w czoło.

- Za to pan ma! - powiedziałam ze złością. - Mamo, chcesz tego chleba?

Matka nie odezwała się.

- Ma bardzo dużą głowę - mówił kierowca. - Znałem już ludzi, co mieli takie dziecko. Lepiej, żeby takie coś nie żyło. Co komu przyjdzie z tego, że takie coś chodzi po świecie? Tak, pani Pietruchowa?

Pietruchowa wzruszyła ramionami. Matka nie odezwała się.

- Już lepiej niech pan sobie idzie do wody - powiedziałam.

Kierowca wstał. - Czy ja mu źle życzę? - spytał. - Mówię tylko, że takie stworzenia nie powinny żyć. Jemu źle, a rodzicom wstyd.

Nakarmiłam Michałka i zaprowadziłam na brzeg. Kazałam mu kopać w piasku, a sama weszłam do wody. Rudy chłopak Pietruchów ochlapał mnie. Pobiegłam za nim z garścią mokrego piasku, ale nie mogłam go dogonić i wbiegłam z powrotem do morza skacząc po płytkim dnie, a potem wyciągnęłam ręce i rzuciłam się na wodę. Wydało mi się, że jest zimna, przez chwilę nie mogłam złapać oddechu, wstałam, czując na piersiach piekący chłód. Zanurzyłam się znowu - teraz woda nie była już taka zimna, śmiałam się bijąc po powierzchni rękami, odbijając się piętami od dna, a rudy chłopak Pietruchów wbiegł za mną i starał się zalać mi oczy bijąc na płask w wodę rozłożoną dłonią. Pogoniłam za nim znowu, goniłam po plaży między porozkładanymi kocami i wygrzebanymi dołkami, w końcu śmiejąc się upadłam na gorący piach i poturlałam się po nim, czując jak przylepia się do ciała, jakbym owinęła się w ciepłe płótno.

Przypomniałam sobie o Michałku i wróciłam na brzeg - ciągle kręcił się w tym samym miejscu, kopiąc małe dołki, które natychmiast zalewały załamujące się fale.

- Chodź do wody, Michałku - powiedziałam. - Zobaczysz, jak te przyjemnie.

- Uuu! - powiedział Michałek i pokazał morze.

- Tak, duże - zgodziłam się. - Ogromne. Nie ma drugiego brzegu! - Wzięłam Michałka za rękę i pociągnęłam do wody. Zaparł si? nogami i wyrwał rękę. - Uuu! - krzyczał. - Uuu!

Puściłam go i sama weszłam do wody. Kucnęłam i powiedziałam:

42

- Zobacz, nic się nie boję. Morze jest wielkie, ale nie trzeba się bać. \Voda jest taka ciepła! Nie bój się, głuptasie!

Odwróciłam się i na czworakach popłynęłam głębiej, potem jakiś czas ubijałam nogami wodę, podpierając się o dno rękami. Zaczepiłam powietrza, zanurzyłam głowę i ostrożnie otworzyłam oczy - woda była przezroczysta, w jednym miejscu piasek wzbił się w małą, pękatą chmurkę, spod której czmychnęła fląderka.

Podniosłam głowę i krzyknęłam:

- Flądry są! Takie małe, nakrapiane flądry!

Rozejrzałam się przestraszona - dobrze, że blisko nie było nikogo, ktoś obcy mógłby się śmiać - zobaczyłam na brzegu Michałka, jak stał po kolana w płytkiej wodzie bijąc o powierzchnię łopatką i przysiadając przy każdym uderzeniu z głośnym piskiem.

- Chodź tu, Michałek! - ucieszyłam się. - Zobaczysz małe flądery.

Wzięłam go za rękę i brodziliśmy jakiś czas, ale wszystkie małe flądry uciekły, nie zobaczyliśmy już ani jednej.

O piątej słońce nie grzało tak mocno, jak w południe, przeszłam się po plaży, idąc po mokrym piasku, na którym załamywały się fale - minęłam łodzie i szłam jakiś czas, aż do pierwszych koszy obitych wypłowiałym czerwonym płótnem, w których pewno wygodnie siedziało się, ale nie mogłam sprawdzić, bo wszystkie były zajęte. Kiedy już miałam wracać, dogonili mnie Wojtek, Józek i rudy chłopak Pietruchów i powiedzieli, że mają piłkę - poznali jakiegoś chłopaka z innej wycieczki i chcieli, żebym szła z nimi grać.

Wróciliśmy biegiem. Odchodząc zostawiłam Michałka przy Matce, zaraz tam pobiegłam, pod tę przewróconą łódź, ale nie było go. Rozejrzałam się przestraszona i zobaczyłam jego dużą głowę i wąskie ramiona sterczące nad wysokim nawisem piasku, nieco w lewo, w miejscu, gdzie brzeg wrzynał się głębiej w morze, jak mały półwysep podmywany przez fale. Uspokojona przysiadłam, nalałam sobie herbaty do kubka i napiłam się. Zaraz z krzykiem przybiegły bliźniaczki, że też chcą pić - musiałam im jeszcze ukrajać chleba i dać po jabłku, które w tajemnicy przed Matką wzięłam z okna.

Ojciec już zbudził się i pił z panem Pietruchą to kwaśne jabłeczne '*ino, przysiadł się do nich kierowca z butelką wódki - te dwie butelki stały pośrodku, między nimi, duża, brązowa z winem i mniejsza, jasna z wódką, obok szklaneczka, do której co chwila kierowca nalewał i Podsuwał to Ojcu, to Pietruszce albo sam pił - ciskali przez te butelki

43

kartami, zmiętymi banknotami i świecącymi złotówkami, i pięćdziesiąt.

ciogroszówkami. Nie mogłam zrozumieć, jak mogą grać i pić na gorącej plaży, wprawdzie ojciec przykrył sobie głowę gazetą, a pan Pietrucha szarą, zmoczoną w

wodzie chustką, ale to niewiele chroniło przed słońcem.

- Bronka, chodź grać! - krzyczał rudy chłopak Pietruchów. Wstałam, jeszcze biegnąc rzuciłam okiem na Matkę, ciągle siedzącą plecami przy burcie przewróconej łodzi, z zaczerwienioną twarzą i suchymi nogami, w halce podwiniętej na udach.

Poszliśmy na prawo - mniej tu było ludzi i znaleźliśmy pusty kawałek piasku przy brzegu, wygładzony przez fale. Był jeszcze wilgotny i można było łatwo narysować na nim patykiem linie. Wojtek i ten nieznajomy chłopak rysowali linie, a ja jeszcze pobiegłam do Michałka, wzięłam go za rękę i odprowadziłam w bok, dalej od wysuniętego w morze cypla, który podmywały fale i piasek zwisał nad wodą, od czasu do czasu osypując się z szelestem.

- Tu baw się - powiedziałam - kop w piasku dołki i buduj zamki, a ja trochę pobawię się z chłopcami piłką.

Wróciłam na plac i graliśmy do zmierzchu w dwa ognie, potem część dzieciaków musiała odejść - te z innych wycieczek, które już odjeżdżały, zrobiło się chłodniej, a słońce już było nisko nad wodą, biegaliśmy po zimnym piasku, a kiedy patrzyliśmy na zachodzące słońce, twarze czerwieniały nam, tak samo jak piasek na wydmach i długie, ostre trawy, siwe jak włosy starych ludzi. W końcu odszedł i ten chłopak, którego piłką graliśmy, jeszcze jakiś czas goniliśmy się po plaży w berka - koniecznie chciałam dogonić chłopaka Pietruchów, ale on dobrze biegał, a potem wróciliśmy.

Jak przyszliśmy, Antek znowu grał na harmonii jakiegoś oberka, pan Olszewski chwycił mnie i zakręcił kilka razy, ale na piasku źle tańczyć - piszczałam i wyrywałam się. Potem Olszewski spojrział na zegarek i powiedział:

- No, ludzie, komu w drogę, temu czas!

Antek przestał grać i ?araz usłyszeliśmy, jak Ojciec i Pietrucha śpiewają coś - słów nie można było zrozumieć, coś bełkotali, obejmują/ się za ramiona, raz ciszej, raz głośniej, bijąc do taktu pięściami w piach

„Ten Ojciec - pomyślałam - ten Ojciec...”

A potem rozejrzałam się 7.3 Michalkiem. Nie było go na brzegu.

Pobiegłam tam, przeszłam się po cyplu tuż nad zwisającym nad i wodą piaskiem, osuwającym się z szelestem, zawróciłam, pobiegłam do

łodzi - zajrzałam do każdej, ale i tam go nie było. Wróciłam pod wydmę, obeszłam przewróconą łódź - wszyscy już wstali i ubierali się, nawet Ojciec i Pietrucha, podtrzymując się za ramiona i nie przestając śpiewać.

- Ubieraj się, mała! - powiedział do mnie kierowca. - Nie marudź, zaraz odjeżdżamy!

Nie odpowiedziałam. Policzyłam dzieciaki - Wojtek i Józek wciągali granatowe spodnie i koszule, bliźniaczki nakładały kolorowe sukienki. Szara koszula Michałka leżała na kocu obok torby, w miejscu gdzie położyłam ją, kiedy go rozbierałam, ale jego nie było. Jeszcze raz policzyłam dzieciaki, nasze i obce, przyjrzałam się wszystkim - na pewno zauważyłabym, gdyby był.

- Nie ma Michałka - powiedziałam do Matki. - Kiedy widziałas go ostatni raz? Matka nie odezwała się. Wciągnęła sukienkę, halka opadła za kolana, suche stopy przykrył piasek. Pobiegłam do Olszewskiego.

- Panie Olszewski - powiedziałam - zginęło dziecko. Nie ma Michałka. Jak poszliśmy grać, to był przy brzegu, a teraz nie ma.

- Nie opowiadaj - powiedział Olszewski. - Na pewno gdzieś jest. Źle szukałaś.
- Byłam w miejscu, gdzie zostawiłam go, jak szłam grać, i przy łodziach, liczyłam dzieciaki - nie ma nigdzie.

- Nie zginie! - powiedział Olszewski zaciągając pasek. - Nie bój się! Zaraz się odnajdzie. Co to za dziecko - duże, małe? Chłopiec, dziewczynka?

- Chłopczyk. Ten, którego wysadzałam, jak tu jechaliśmy. Ma taką dużą głowę.

- Słuchajcie, ludzie! - powiedział Olszewski głośno. - Dziewczyna mówi, że zginął chłopiec, trzeba poszukać. Rzeczywiście tu go nie ma. To ten, którego po drodze wysadzaliśmy.

Matka skoc/yla do mnie. - Jak go pilnowałaś, dziewczyno? Gdzieś podziała? Ile razy powtarzałam, żebyś nie spuszczała z oka?

- Chwileczkę, kochana pani - powiedział Olszewski. - Dziewczy-fla także dziecko, trzeba było samej pilnować chłopca.

- Dziewczyna miała pilnować i już! - rozkrzyczała się Matka. - Teraz wrócimy bez dziecka. W piłkę zachciało jej się

44

45

grać. - Podbiegła do Ojca i szarpnęła go za koszulę. - Ty stary pijaku, oprzytomnij - dziecko zginęło. Było sześcioro, jest pięcioro!

Ojciec opuścił buty, schylił się i podniósł je. - Było pięć! Jak Boga kocham, zawsze było pięć dzieciaków!

- Nie trzeba zaraz robić takiego krzyku - powiedział Olszewski. - Mały gdzieś mógł zawieruszyć się - może schował się w którejś łodzi albo w koszu, może zawędrował na wydmy? Trzeba poszukać! Dzieciaki, skoczcie na wydmy, a my, panie kierowco, chodźmy zajrzeć do łodzi i koszy.

- Do łodzi zaglądałam, nie ma - powiedziałam.

Kierowca wstał z piasku. - To ten głupi, zasmarkany z dużą głową?

Nikt nie odezwał się i kierowca poszedł za Olszewskim w stronę łodzi.

- Skocz na górę i rozejrzyj się koło baraku, może tam zawędrował! - zawołał do mnie Olszewski, kiedy odeszli kawałek.

- Zajrzyj na platformę i do szoferki! A wy, ludzie, nie gapcie się, tylko zbierajcie.

Późno zrobiło się, zaraz go znajdziemy i odjeżdżamy.

Matka skoczyła do mnie i chwyciła za ucho. - Ty głupia dziewczyno, jak pilnowałaś dziecka?

Ucho piekło, kiedy biegłam pod górę, po zimnym piasku - nie zdążyłam włożyć sukienki i teraz trzęsłam się z zimna, słońce już nie grzało, a kostium jeszcze był mokry, czułam, jak przykleja się do ciała na brzuchu i plecach, szorstki od ziarenek piasku.

Słyszałam, jak Antek gra na dole cicho jakąś skoczną melodię, obeszłam barak wkoło, potem zajrzałam na platformę i do szoferki. Wszystkie samochody odjechały, została tylko nasza ciężarówka między niskimi, skarłatymi sosnami na skraju placu. Michałka nie było nigdzie. Słyszałam harmonię i głosy nawołujących się dzieciaków na wydmach, wróciłam powoli, rozglądając się ciągle, bo miałam nadzieję, że gdzieś go zobaczę, ale na prawo i lewo plaża była pusta, wydmy i siwe trawy poc/erwieniały bardziej, jakby tlił się na nich ogień.

Olszewski i kierowca wrócili także, dzieciaki zbiegły z wydmy i staliśmy wszyscy wokół przewróconej łodzi. Antek ciągle grał cicho na harmonii.

- Było pięć - powtórzył Ojciec. - Dobrze pamiętam: przywieźliśmy ze sobą pięć.
- Cicho! - powiedział Olszewski do Antka i Antek przestał grać. - A ty, stary, weź Pietruchę pod ramię i idźcie na górę. Poczekajcie na nas na platformie - nic tu po was!

Pietrucha objął Ojca i poszli zataczając się. Koło drewnianego kołowrotu Ojciec upuścił but, przeszli jeszcze kilka kroków, potem wrócili, klękli, długo nie mogli wstać - Pietrucha czepiał się drewnianego kołowrotu, w końcu znikli za grzbietem wydmy.

- Może schował się pod tą łodzią? - spytał kierowca. - Taki mały głupi mógł tam wejść.

- Skąd! - zaśmiała się Matka. - Cały czas siedziałam plecami oparta o dno.

Poczułabym, jakby kto palcem ruszył łódź.

- Sprawdzimy - powiedział Olszewski. - Dla własnego spokoju.

Chwycili z kierowcą za krawędź burty i podnieśli łódź. Michałka nie było, tylko czysty, nie zdeptany piasek i duży, czarny pająk, który pobiegł prędko, zostawiając osypujące się lawiny z krawędzi śladów. Dziewczyny pisnęły i Antek przydeptał go.

- Nie mówiłam? - spytała Matka. - Palcem ktoś by ruszył - poczułabym. Cały czas przesiedziałam plecami oparta o dno.

- No, ludzie! - powiedział Antek. - Szukajcie prędzej, bo robi się już późno, człowiek zmarzł, zgłodniał - chce w końcu wrócić! Olszewski popatrzył na niego. Nie powiedział nic.

- Mógł utopić się, powędrować plażą albo zabłądzić w lesie - odezwał się kierowca. - Takich głupich z wielkimi głowami nie można spuścić z oka.

- Ma pan dziewczynę, panie kierowco! - powiedziała Matka. - Czternaście lat, dorosły człowiek - powiedziałam jej: opiekuj się małym, nie spuszczaaj z oka, i co? Wrócimy bez szóstego.

- Trudno! - powiedział Olszewski. - Trzeba było, kochana pani, samej od czasu do czasu rzucić okiem na dziecko! Tylko że z was taka matka...

Matka nie odezwała się. Schyliła się i zaczęła zwijać koc. Wszyscy już stali gotowi do odejścia. Ciągle trzęsłam się, mimo że włożyłam sukienkę, suche majtki i stanik.

- Czy wchodził do wody? - zapytał Olszewski.

Skinęłam głową. - Z początku bał się, a potem brodził przy brzegu.

- Ktoś go mógł potracić - powiedział kierowca. - Upadł, napił si? i gotowe.

Popatrzyliśmy na morze. Słońce już zaszło i woda poszarzała.

Olszewski machnął ręką. - Na drugi raz będziecie wiedzieli, jak Pilnować dziecka! - powiedział ze złością. Nic już nie zrobimy. Trzy godziny drogi przed nami i już noc!

46

47

Poszliśmy powoli do przejścia, minęliśmy kołowrót, barak i stanęliśmy na placu.

- Rano zadzwonię do tutejszej gminy - powiedział jeszcze Olszewski. - Może coś będą wiedzieli, nie, to powiem, żeby szukali.

Kierowca zapalił motor i powoli wyjechał spod skarłatych sosenek, wyglądając przez półotwarte drzwi. Poczułam zapach spalin. Ojciec i Pietrucha już byli na platformie.

Ojciec powiedział głośno, kiedy ciężarówka stanęła:

- Słowo honoru, panie Olszewski, było pięć dzieciaków, jak wyjeżdżaliśmy. Chyba szósty urodził się w drodze.

- Cicho, pijaku - krzyknęła Matka.

Dziewczyny wskoczyły na platformę, a Ojciec, kiedy Olszewski przechodził obok klapy, wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

- Jak Boga kocham, zabraliśmy tylko pięć dzieciaków. Szóstego nie było, panie Olszewski!

Olszewski stracił rękę Ojca z ramienia. - Najgorszy pijak wytrzeźwiałyby, jakby dowiedział się, że dziecko mu zginęło!

Pomyślałam, że to niemożliwe, żebyśmy wrócili bez Michałka, i pobiegłam z powrotem na plażę, słyszałam tylko, jak Matka krzyknęła: „Wracaj!” ale nie obejrzałam się i po chwili stałam nad wodą. W miejscu, gdzie słońce zaszło, został na niebie czerwony ślad, wyżej świeciło kilka gwiazd, woda ciągle była spokojna, małe fale załamywały się z szelestem. Rozejrzałam się. Pustą plażę pokryła szara mgła, kosze wyglądały jak czarni zakonnicy, zakłęci i nieruchomi, a dalej nie widać już było wydm, siwych traw, tylko mgłę, od której piasek i woda pachniały wilgocią. Wracałam powoli, przy kołowrocie spotkałam Olszewskiego, który objął mnie ramieniem, a potem podsadził na platformę.

Odjechaliśmy - w pierw wolno wspinaliśmy się pod górę, motor pracował z wysiłkiem (przytłumiony, wzbierający jęk), potem szybciej w dół do asfaltowej szosy, gdzie kierowca zapalił światła, i wjechaliśmy znowu w las za skrajem wsi, która pożegnała nas głośnym szczekaniem psów.

Ojciec coś śpiewał, a Ma<ka powiedziała do pani Pietruchowej:

- Spaliłam sobie twarz. Nie ma pani pojęcia, jak mnie piecze I tłuszcz nie pomógł.

Antek coś grał na harmonii i przyśpiewywał - przyjemnie było tak jechać po ciemku słuchając harmonii, słów piosenki i monotonnego

itu motoru. Dzieciaki śmiały się, rudy chłopak Pietruchów uszczypnął mnie w plecy, ale nie oddałam mu. Ciągle myślałam o Michałku, jak gdzieś tam wędruje po pustej plaży albo śpi na zimnym piasku pod jedną z tych skarłatych sosenek rosnących na wydmach, albo w koszu (może Olszewski i kierowca niedokładnie sprawdzili, czy w którymś z koszów nie ma go), i zdawało mi się, że słyszę jego głos, jak woła „si-si” albo „ga-ga!”, kurczowo ściskając łopatkę w rękę.

Potem wstałam (Antek śpiewał już na cały głos), wysunęłam głowę nad pręty, znowu czułam pod palcami chłodny metal, ławka usuwała się spod stóp, patrzyłam na ciemną drogę, bliżej jasną od światła, w których kręgu od czasu do czasu przelatywały ćmy, a wiatr uderzył mnie w twarz i spłynął w dół po ciele jak struga zimnej wody.

1961

48

Gałązki klonu

Dziewczyne zbudził szum drzew za oknem. Podkurczyła nogi i splotła palce nad kostkami. Leżała przyglądając się ledwo widocznym zarysom okna i słuchając, jak cicho brzęczą szyby. Wichura przyszła w nocy - wieczór był spokojny, tylko słońce zachodziło czerwone. Kiedy wracali ze spaceru, chłopiec powiedział: - W nocy

przyjdzie wiatr.

Teraz, kiedy wiatr przyszedł, chłopiec nie obudził się. Słyszała jego równy, spokojny oddech - bliski, wyraźniejszy od cichego dzwonienia szyb. Czasem i oddech chłopca, i brzęk okien nikły w ogromnym, przybierającym na sile, jak przyptyw morza, szumie wiatru.

Mieszkali w starym domu - w skrzydle pałacu na wpół zburzonego. Naokoło był rozległy park, a dalej, za wąskim pasmem pól - puszcza.

Tam jest teraz przerażająco - pomyślała dziewczyna i zamknęła oczy. Leżała z podkurczonymi nogami zaciskając splecione palce rąk na kostkach. Wtuliła głowę w poduszkę i szum nieco przycichł. Potem wyciągnęła rękę dotknęła ramienia chłopca.

- Zbudź się - powiedziała. - Słyszysz?

Chłopiec nie odpowiedział. Oddychał spokojnie. Dziewczyna potrząsnęła jego ramieniem.

- Zbudź się, zbudź się - powtórzyła. Chłopiec uniósł głowę. Zapytał przestraszony:

- Coś się stało? Mówiłaś coś?

- Tak - powiedziała szeptem. - Posłuchaj, jaki wiatr. Odwrócił się w stronę ->kna, potem położył na wznak. Łóżko zatrzeszczało.

- Tylko dlatego budzisz mnie w środku nocy? - zapytał po chwili. - Teraz nie będę mógł zasnąć.

Dziewczyna wsłuchiwała się w szum za oknami. Wyobraziła sobie, iak P°d naporem wiatru gną się konary starych klonów, dębów i buków r0snących w parku. I jak wichura przetacza się po drzewach rosnących w puszczy strącając liście, jak krople z gałęzi po deszczu.

- Boję się - powiedziała. - Ten wiatr jest przerażający. Przysunęła się pod kołdrą bliżej chłopca. Objęła go i przytuliła mocno.

- Obejmij mnie także - szepnęła. Czowała, jak chłopiec oddycha równo i spokojnie, tak samo, jak wtedy, kiedy spał. Nie poruszył się. Trzymał ręce złożone pod głową.

- Tylko wtedy potrafisz mnie przytulić, kiedy chcesz - powiedziała dziewczyna po chwili. - Za długo byliśmy razem.

Chłopiec nie odpowiedział. Zdawało mu się, że dziewczyna zasnęła, bo ucisk jej rąk zelżał. Szyby dzwoniły cienko, i to dzwonienie ginęło w szumie wiatru za oknami, jak dźwięki fortepianu, które głośzy wielka orkiestra symfoniczna. Kiedy był pewien, że dziewczyna zasnęła, spróbował zdjąć jej rękę z szyi. Wtedy znów odezwała się: - Wiesz, chciałabym dotknąć tych szumiących liści. Nie mógłbyś mi przynieść kilku gałązek?

- Co ci przyszło do głowy? - obruszył się. - Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że mam wstać, ubrać się i wyjść na dwór?

- Tak - powiedziała dziewczyna. I przyciskając twarz do jego twarzy szepnęła: - Wtedy będę pewna, że mnie kochasz.

Chłopiec milczał jakiś czas. Podmuch wiatru uderzył z siłą w okna i szyby zadzwoniły głośniejsz, jakby pianista zagrał kilka mocniejszych akordów. Gdzieś dalej, przy innym oknie, stuknęła nie domknięta okiennica.

- To wcale nie będzie dowód, że ciebie kocham - powiedział.

- Dla mnie tak. Nie zasnę bez tych gałązek.

- Przecież nie przyniosę ci szumu. Trochę liści i patyków. Nic więcej.

- Nie jesteś poetą - szepnęła dziewczyna. - Zupełnie nie masz fantazji. Ja na przykład potrafię sobie wyobrazić, że one szumią w rękach, jak muszla, do której przytknie się ucho. Musisz je tylko ułamać z wysokiego drzewa.

Chłopiec usiadł na łóżku. Spuścił nogi i wyczuł czubkami palców chłodne deski podłogi.

- Masz pomysły! - powiedział. - Ty i twoja fantazja. Wstał i zaczął się ubierać. Ze złości przewrócił krzesło. Wciągnął spodnie i sweter na pizamę. Zasznurował buty.

50

51

- Kochany - powiedziała dziewczyna w stronę okna - nie gniewaj się na mnie.

Nie odpowiedział. Usłyszała, jak otwiera i zamyka drzwi. Coś potracił idąc korytarzem. Dziewczyna wtuliła twarz w poduszkę i szun wiatru przycichł.

Chłopiec otworzył wejściowe drzwi i stanął na progu. Zachwiał się - wiatr wpychał go z powrotem do korytarza i wyrwał ciężkie drzwi, Zamknął je z wysiłkiem. Zszedł po schodkach i chwilę stał na ścieżce starając się cokolwiek zobaczyć w ciemnościach. Naokoło drzewa gięły się w podmuchach wiatru - mógł to sobie wyobrazić. Słyszał nieustanny wielki szum, jak szum morza w czasie sztormu. Czuł także przenikliwy chłodny wiatr na ramionach i na twarzy, jakby nagle otulił się całj zimnym płótnem.

Poszedł ścieżką w kierunku bramy, za którą była droga do puszczy, Minął zburzone skrzydło pałacu. Naokoło rosło dużo starych drzew i teraz wszystkie stały pochylone, zgięte, słyszał tylko ten wielki, nieustający szum, jakby przyplływający zewsząd. Od czasu do czasu czuł uderzenie liścia na twarzy lub na rękach, słyszał także szelest pod nogami i stale potykał się o gałęzie.

Doszedł do bramy i zatrzymał się. Przychodzili tu wieczorem słuchać, jak jelenie ryczą na rykowiskach. Dziewczyna tuliła się do niego słuchając dalekiego ryku.

- Boisz się, jakby to były lwy - mówił.

Teraz nie słyszeć było nic, prócz tego ogromnego szumu jesiennej wichury. Chłopiec stał jakiś czas bez ruchu. Głowę opierał o szorstką, chłodną belkę. Potem powoli zaczął rozpinać spodnie. Palce zdrętwiały mu z zimna i robił to niezręcznie.

Wracał tą samą ścieżką nie widząc prawie nic. W pewnej chwili potknął się o dużą gałąź, którą zrzucił wiatr. Schylił się i ułamał kilka gałązek. To był klon - wyczuł pod palcami kształt liści. Były duże i zupełnie suche.

Kiedy otworzył drzwi do pokoju, dziewczyna usiadła na łóżku Poszedł w tamtą stronę i położył gałązki przy niej.

- Masz - powiedział z złością. - Teraz słuchaj, jak będą szumieć.

- Przyniosłeś? - ucieszyła się. Wzięła gałązki i przytuliła do twarzy. Liście zaszeleściły. - Kochany - powiedziała. - Najmilszy. Teraz wiem, że mnie kochasz.

Chłopiec usiadł na łóżku pod oknem. Schylił się i zaczął ściągać buty. Zdrętwiałymi palcami rozwiązał sznurowadła.

- Gorzko pachną - powiedziała dziewczyna. - Czy zerwałeś je z wysokiego drzewa?

- Z najwyższego - odpowiedział jeszcze ze złością. - Omalże nie spadłem i nie zabiłem się.

- Jesteś najmilszy z wszystkich chłopców - powiedziała dziewczyna.

- Dziękuję. Raczej najgłupszym.

Cisnął buty pod krzesło i zaczął ściągać spodnie. Szyby dzwoniły cały czas, jak ginaący w dźwiękach symfonicznej orkiestry fortepian. Słysząc było także stuk okiennicy.

- Nie myśl, że poszedłem tylko po te gałęzie - odezwał się chłopiec po chwili. - Po prostu musiałem wyjść. Rozumiesz?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Okiennica zastukała mocniej i szyby zadzwoniły głośno, jak akord fortepianu. Chłopiec odwrócił się.

- Słyszysz, co do ciebie mówię?

Pochylił się, jakby chciał zajrzeć w oczy dziewczynie, ale poczuł tylko dotknięcie suchych liści, które zasłoniły jej twarz. Usłyszał równy, spokojny oddech i domyślił się, że dziewczyna śpi.

1967

52

ft

34; r,

Upał

Wracali z miasta wozem, na którym wieźli prosiaka w worku. Od czasu do czasu prosiak zaczynał kotłować się - kwiczał przeraźliwie, worek podskakiwał na deskach. Po chwili uspokajał się i znów leżał nieruchomo, jak nieżywy. Dwa razy stawali (brzęczenie bąków nad zadami koni stawało się natarczywe) - Jagodziński wyciągał spod siedzenia butelkę z winem, pił kilka łyków, potem oddawał zięciowi.

Był upał - przydrożne drzewa stały bez ruchu, niebo było czyste. Kiedy drogą przejeżdżał samochód, niknęli w tumanie kurzu. Dwa siwe konie wstrząsały łbami opędzając się od bąków. Mężczyźni siedzieli sztywno, jeden blisko drugiego, na desce przykrytej kocem - stary Jagodziński w wypłowiałej czapce zsuniętej nieco do tyłu, z twarzą pomarszczoną i bladymi, niebieskimi oczami i jego zięć - Władek Słowik, chudy, w czerwonej płóciennej koszuli, rozpiętej na piersiach i z niedopałkiem papierosa w kąciku warg. Na przegubie lewej ręki miał zegarek na złotym pasku.

Zjechali na boczną drogę, chwilę jechali w cieniu przydrożnych drzew, potem znów wyjechali na otwartą przestrzeń - z prawej strony zaczynał się las, a po lewej była polana podchodząca do stromego brzegu rzeki. Za rzeką widać było góry, jeszcze z płatami śniegu na szczytach, niebieskie, jakby niebo rzucało cień, i zastygłe wyżej białe obłoki.

Byli już trochę pijani - wyrzucili dwie puste butelki po jabłecznyrn winie. Od czasu do czasu prosiak zaczynał kotłować się w worku, uspokajał się po chwili i znów otaczała ich cisza - słyszeli tylko brzęczenie bąków, cykanie świerszczy w rowach, parskanie koni i skrzyp kół.

Kiedy byli blisko kapliczki, gdzie siedział drewniany Chrystus z głową wspartą na rękę, z dużymi bosymi stopami, zobaczyli Rafalskie-
eo - prezesa Gminnej Spółdzielni, który stał po drugiej stronie drogi pod pniem wielkiej lipy. Był tam także gajowy Mleczek. Rafalski miał na głowie biały kask. Jego WFM-ka stała na poboczu niedaleko drzewa, podniósł rękę, kiedy zbliżyli się.
- Panie Jagodziński! - zawołał. - Pozwólcie tutaj.

Stary zatrzymał konie. Zsiedli trochę niezdarnie, Jagodziński owinał lejce na kołku,

potem przeszli na drugą stronę drogi.

Pod pnem lipy leżał ranny mężczyzna. Przyciskał twarz do ziemi, na rękawach skórzanej kurtki widać było ślady krwi. Krew ciekła mu z nosa i skapywała małymi kroplami na trawę. Obok leżał pęknięty niebieski kask i przewrócona jawa z przednim kołem wciśniętym pod ramę.

Jagodziński i Władek stanęli obok tamtych. Chwilę nie mówili nic. Potem Jagodziński przywitał się z gajowym i z prezesem. Podał każdemu rękę. - Dzień dobry, panie prezesie, dzień dobry, panie gajowy - powiedział. Władek przywitał się także. Wypluł niedopałek papierosa. - Żyje?

- Żyje, żyje - powiedział prezes Rafalski. - Może go znacie? Nie wiemy, skąd jest. - Schylił się i potrząsnął ramieniem rannego. - Ty, ty! Skąd jesteś? Słyszysz?

Władek klęknął. Uniósł nieco głowę mężczyzny i przyjrzał się jego twarzy.

- Przecież to Olek Namysłowski - powiedział. - Zawsze jeździł jak wariat.

- Syn starego Namysłowskiego z Zagórza? - zapytał Rafalski.

- Ten sam - powiedział Władek. Trzymał ciągle głowę rannego nad ziemią. Dwie krople krwi spadły na jego rękę.

- Starego znam - powiedział Rafalski. - To bardzo porządny człowiek.

Władek zobaczył krew na swojej ręce, puścił głowę rannego (spadła bezwładnie) i wytarł starannie dłoń o trawę.

- Czekaście - odezwał się Jagodziński. - Olka Namysłowskiego znam dobrze. To ten, co chodził do Bronki?

- Tak jest - powiedział Władek. - Ten sam. - Klęczał i pocierał dłoń o spodnie.

Jagodziński schylił się i przyjrzał rannemu.

- Nie wygląda na Namysłowskiego.

54

55

Władek przerwał pocieranie dłoni. •?

- Co mi ojciec będzie mówić? Olka Namysłowskiego aie znam? - Potrząsnął ramieniem rannego. - Olek! Olek! Oleczku! f Ranny poruszył głowę. Jęknął cicho. K;

- Widzi ojciec? - ucieszył się Władek. - Odpowiada.

- Boli go i tyle - powiedział Jagodziński. - Każdego, który przychodził do Bronki, pamiętam. To nie jest Namysłowski. .;

- Jak Boga kocham! - zaperzył się Władek. - Panie Mleczko, pan chyba zna Olka?

- Nie znam - powiedział gajowy. - Dokumentów nie posiada.

Sprawdzaliśmy.

- Ten sam, ten sam - powtarzał Władek. Klepał rannego po policzku. - Olek, Olek! Słyszysz mnie?

Jagodziński odwrócił się do Rafalskiego:

- Długo tu leży?

- Jasiu go znalazł - powiedział Rafalski zdejmując hełm. Czoło miał pokryte drobnymi kropelkami potu. - Powiedz, Jasiu, jak było. Mleczko zakaszał.

- Będzie dziesięć minut. Szedłem krajem drogi, on wyjechał z za zakrętu. Walił środkiem jak wariat. Patrząc, a jego zaczyna nosić. Po całej drodze. Zjechał na pobocze, podskoczył kilka razy na kamieniach, potem buchnął o pień. Tylko kurz

poszedł.

Władek wstał i podszedł do jawy. Pomacał oponę przedniego koła.

- Flak - powiedział. - Prosta sprawa.

- Pijany był czy co? - westchnął Jagodziński.

- Gdzie tam pijany - wzruszył ramionami Władek. - Jak złapał przednią gumę, to koniec.

- Minał mnie, jakbym stał w miejscu - powiedział Rafalski. Dojeżdżam tu, patrzę, a Jasiu kiwa, żebym stanął. Jeszcze kurz nie opadł. Władek podniósł pęknięty kask.

- Trzysta pięćdziesiąt złotych. Do wyrzucenia. Musiał porządnie stuknąć.

- Co tam o kasku mówić - powiedział Rafalski. - Spójrzcie na motor. Na złom się nadaje.

- Tak, tak - pokiwał Władek głową. - Cylinder pęknięty, rama zgięta. - Spróbował podkręcić kołem, ale zaraz utknęło.

Stali jakiś czas, pocąc się i nie mówiąc nic. Potem Jagodziński położył rękę na ramieniu zięcia. - Chodź, Władziu, jedziemy.

56

- Czekajcie. Trzeba go jakoś zabrać - odezwał się Mleczek. Jagodziński zaczął ścierać pot z twarzy brudną chustką. Nie powiedział nic. Władek zakaszłał. <

- Panie gajowy, myśli pan, że w taki dzień będziemy jechać z powrotem te dziesięć kilometrów? Niech go prezes weźmie na motor i podwiezie.

- Pijany jest - dodał Jagodziński. - Poleży i wytrzeźwieje.

- Kto tu jest pijany, panie Jagodziński? - zapytał Mleczek.

- Dobrze, .dobrze, Jasiu. - Rafalski poklepał gajowego po ramieniu. - Chłopak zaraz przyjdzie do siebie. Jest trochę zamroczony. Trzeba go tylko inaczej położyć...

Jedziecie z miasta? - zwrócił się do Jagodzińskiego.

- Z targu, panie prezesie. Dziś powiatowe święto.

- Macie coś? - Rafalski mrugnął porozumiewawczo.

Władek podsunął mu paczkę sportów. - Prosiaka wieziemy, prezesie. Nic więcej. - Zaśmiał się krótko.

Prezes zapalił i odszedł kawałek. Władek podsunął sporty gajowemu. Mleczek przyjął niechętnie.

- Jezu, jaki upał - westchnął Rafalski. - Człowiek napiłby się czegoś. Na pewno nic nie macie?

Jagodziński zaśmiał się. Zmarszczki zbiegły się koło bladych oczu. - Coś się znajdzie, prezesie. Nie jest tak źle. - Mrugnął na zięcia: - Władziu, skocz no i przynieś.

Rafalski usiadł pod pniem lipy. Biały kask położył na trawie, rozpiął połę płaszcza. Na czole miał drobne krople potu. Jagodziński usiadł przy nim.

- Kiedy tak grzeje, człowiekowi odechciewa się żyć - powiedział.

- Nie narzekaj pan, panie Jagodziński. W zimie pewno narzeka pan na mróz.

- Wolę już mróz niż taki upał. Człowiek nie wie, gdzie się podziać.

- Kobiety panu trzeba, panie Jagodziński - powiedział prezes.

- Ja już nie do tego - zaśmiał się stary. - Już nie ten wiek.

- Nie opowiadaj pan, panie Jagodziński. Gdyby tu zamiast mnie usiadła młoda

kobieta, zaraz inaczej by pan gadał. No nie, Jasiu? - Ra-
popatrzył na gajowego. Mleczek stanął nad nimi. Ścisnął pas dubeltówki
przewieszanej
ramię. Miał ciemny zarost na policzkach, pod daszkiem czapki
było pas jaśniejszej skóry.

57

- Co z nim zrobimy? - zapytał.

- Co zrobimy, co zrobimy! - powtórzył Rafalski opryskliwie. Nic nie zrobimy. Co
możemy zrobić? Na plecach poniesiesz do miasta?

- Jagodziński ma wóz.

- Jasiu, nie bądź nudny. Zanim go dowiozą, umrze. W taki upał? Na motor też go nie
wezmę.

Mleczek zdjął czapkę i starł pot z czoła. Jasny pas skóry odcinał się wyraźnie. - Nie
można człowieka tak zostawić - powiedział z uporem. Zwilżył językiem spieczone
wargi.

- Kto go zostawia? - zapytał Rafalski. - Przecież siedzimy tu.

Gajowy zdjął dubeltówkę z ramienia i oparł o pień lipy. Usiadł obok tamtych. Chwilę
nie mówili nic. Widzieli, jak Władek zjechał wozem na łąkę. Postawił konie w cieniu
i odpiął uzdy. Potem wrócił z butelką wina pod lipę.

- Dawaj, dawaj, Władziu - powiedział Rafalski. Wziął butelkę, odbił korek i napił się
kilka łyków. - Zupełnie co innego - westchnął z ulgą. Otarł szyjkę o rękaw płaszcza.

Wyciągnął butelkę do gajowego: - Masz, Jasiu. Napij się.

- Nie chce mi się pić. - Mleczek niechętnie przyjął butelkę.

- Pij, pij. Dobre wino nie jest złe. Prawda, panie Jagodziński?

- Tak jest, panie prezesie. Tak jest. - Stary zatarł ręce.

Siedzieli pod pnem lipy i pili. Butelka przechodziła z rąk do rąk. Nad górami stały
nieruchome obłoki. W dole rzeka pobłyskiwała jak łuski ryby. Na czystym niebie
krążył jastrząb.

Mleczek wyjął z kieszeni kurtki śniadanie owinięte w przetłuszczony papier.

Ostrożnie zaczął rozwijać.

- Co tam masz? - zainteresował się Rafalski.

Mleczek odwinął dwie bułki i kaszanke. Dużym, srebrnym scyzorykiem pokrajał
kaszankę na plasterki. - Proszę, częstujcie się - powiedział. Podsunął papier
Rafalskiemu.

Prezes wziął plasterki, skosztował i skrzywił się.

- Dobra kaszanka powinna być z hreczki, a nie z kaszy jęczmiennej.

Jagodziński także skosztował.

- Dla mnie bez różnicy, może być nawet z prosa. Byle krwi było dużo.

Władek zaśmiał się krótko. - Ojciec ma rację: byle była krew.

- Nie wiecie, co dobre - powiedział Rafalski z przekonaniem.

Wypili resztę wina. Władek popatrzył na Jagodzińskiego. Stary mrugnął - Przynieś,
przynieś, Władziu!

- Całą skrzynkę wieziecie, co? - zaśmiał się Rafalski.

- Kto ma czas jeździć po każdą butelkę oddzielnie? - spytał stary.

- Racja, racja - śmiał się prezes.

Mleczek wstał. Podszedł do rannego i chwilę stał nad nim schylony. Ranny nie krwawił już. Przciskał policzek do ziemi - wydawało się, że śpi. Gajowy wziął go pod pachy i odciągnął kawałek dalej, w miejsce, gdzie słońce nie przeświecało przez gałęzie. Władek wracał z butelką wina.

- Panie Władku, pozwól pan na chwilę! - zawołał Mleczek.

Zięć Jagodzińskiego podszedł lekko chwiejąc się. Gajowy wziął od niego butelkę. Klęknął i przytknął butelkę do ust rannego. Szkło zadzwoniło o zaciśnięte zęby. Wino pociekło po policzkach i brodzie. Kilka kropel zostało w dołku na szyi, jak medalik z ciemnego szkła. Mleczek wstał i oddał butelkę Władkowi.

- Zasnął - powiedział Władek. - Śpij, Oleczku, śpij. Wrócili pod pień lipy zataczając się. Usiedli ciężko na trawie. Jagodziński opowiadał coś Rafalskiemu.

- Mówię o sklepowej - powiedział.

- I o Bolku - zaśmiał się Władek.

- Dwadzieścia lat różnicy, panie prezesie - mówił Jagodziński. - Taki porządny chłopak. Baba stara, brzydka, a on tańczy tak, jak ona zagra.

- Co od niej chcecie? - spytał Mleczek. - Ludzie wygadują niestworzone rzeczy.

- Dawała wszystkim - mówił Jagodziński. - Teraz, jak ma tego chłopaka, daje także.

On jej wszystkie pieniądze zanoszą. Władek z nim robił w POM-ie, to wie.

- Tak jest, tak jest - potwierdził Władek.

- Kurwa ma zawsze szczęście - powiedział Rafalski. Napił się wina i otarł usta rękawem.

- Co od niej chcecie? - powtórzył Mleczek. - Każdy chce jakoś żyć.

Rafalski zaśmiał się: - Jasiu chodził do niej, to mu teraz żal. Opowiedz, Jasiu, jak to było.

- Idź, idź! - powiedział Mleczek. - Lepiej dajcie wypić. - Władek podsunął mu butelkę.

58

59

Siedzieli ciągle pod pnem lipy słuchając monotonnego brzęczenia pszczoł. Patrzyli na obłoki piętrzące się nad górami za rzeką. Wydawało się, że są niebieskie, jakby niebo rzuciło tam cień. Droga za ich plecami była pusta. Raz tylko przejechał autobus wzniesając tuman kurzu. Nie zatrzymał się, choć Mleczek podniósł rękę, nawet wstał.

- Oj, Jasiu, Jasiu! - pokiwał głową Rafalski. - Czy ty masz dobrze w głowie? Myślisz, że on tak stanie byle gdzie, w polu?

Mleczek usiadł i nie powiedział nic. Niedaleko konie wstrząsały łbami odpędzając baki.

- Zależy, jaki kierowca - odezwał się Władek. - Jeden stanie, drugi nie.

- Pewno, pewno - zgodził się Rafalski. - Wszystko zależy od człowieka.

Ranny zajęczał znowu. Poruszył rękami, jakby chciał podeprzeć się i wstać.

Mężczyźni popatrzyli w tamtą stronę.

- Oleczku! - zwołał zięć Jagodzińskiego i podniósł butelkę z winem do góry. - Chodź tu do nas!

Ranny nie odpowiedział. Kilka razy poruszył głowę,* jakby odpędzał muchy, które siadały na jego twarzy. Potem uspokoił się - wydawało się, że zasnął.

- On tak, jak ten prosiak w worku - zaśmiał się Władek. - Po-skacze, poskacze i znów leży cicho. - Odstawił butelkę. Położył się na trawie i podłożył ręce pod głowę. Czerwona koszula pod pachami była mokra od potu.

Jagodzińskiemu głowa opadła na piersi. Zachrapał krótko. Mleczko wstał i odszedł kawałek. Wracając zatoczył się pod pień i przewrócił dubeltówkę. Niedaleko konie wstrząsały łbami opędzając się od bąków, w gałęziach lipy brzęczały pszczoły. Władek leżał z rękami skrzyżowanymi pod głową. Złoty pasek od zegarka na przegubie lewej dłoni błyszczał w słońcu.

Zbudzili się o zmierzchu. Pierwszy podniósł się Rafalski. Stał chwilę strzepując z płaszcza żdźbła trawy, potem podniósł biały kask i włożył na głowę. Rozejrzał się. Jagod/iński spał z szeroko otwartymi ustami, czapka zsunęła mu się z głowy. leżała na trawie obok. Chrapał głośno. Gajowy Mleczko spał na brzuctra. Obok Władka stała butelka z resztką wina na dnie. O kilka kroków dalej leżał ranny. Nogi miał rozrzucone szeroko, patrzył nieruchomo w niebo ciemniejące nad polaną, jakby wypatrywał pierwszej gwiazdy. Blisko pnia lipy leżał pęknięty niebieski kask. Konie Jagodzińskiego stały także bez ruchu, z opuszczonymi łbami. Rafalski stanął nad gajowym i dotknął lekko butem jego ręki.

- Jasiu! - powiedział cicho.

Gajowy poruszył się, potarł ręką czoło, potem usiadł i rozejrzał się. - To ty? - zapytał.

- Która godzina?

- Późno - powiedział Rafalski. - Jedziesz?

- Jasne. - Mleczko wstał szybko. Popatrzył na Jagodzińskiego i Władka. - Budzimy ich?

- Po co?

Mleczko poprawił pas, spod pnia lipy wziął dubeltówkę. Poszli na drogę i stanęli przy WFM-ce. Rafalski kopał kilka razy rozrusznik, zanim zapalił.

Władka obudził warkot motoru. Usiadł na trawie i zobaczył, jak tamci odjeżdżają. Nie obejrzel się nawet. Biały kask Rafalskiego znikł między drzewami. Na drogę opadło trochę kurzu. Władek podniósł się i stanął nad teściem. Szarpnął starego za ramię.

- Ojciec! - powiedział. - Wstawaj!

Jagodziński otworzył oczy. - Co ty, Władziu? Co chcesz?

- Wracamy - powiedział zięć. - Niech ojciec wstanie.

Stary splunął, potem zaczął podnosić się niezgrabnie. Poszli do koni. Kiedy Władek zakładał uzdy, prosiak zakotłował się w worku. Uspokoił się zaraz. Jagodziński ciężko wdrapał się na wóz. Usiadł na desce. Władek odwinął lejce z kołka i cmoknął na konie. Chwilę szedł obok, potem wskoczył na wóz i usiadł obok teścia. Musieli kawałek cofnąć się, żeby wyjechać na drogę. Kiedy wjechali na mały mostek, Jagodziński obejrzał się. Za rzeką widać było dalekie góry i obłoki spiętrzone wysoko, ciemniejsze teraz i tak samo nieruchome. Dojechali do kapliczki z drewnianym Chrystusem siedzącym na kamieniu, z dużymi, szeroko rozstawionymi stopami i głową wspartą na ręku. Po drugiej stronie, pod pniem lipy, leżała rozbita jawa i pęknięty niebieski kask. Zdjęli czapki i trzymali chwilę nad głowami, póki nie minęli kapliczki.

1967

Samotność mężczyzny

Kiedy chłopiec przyszedł, mężczyzna drzemał. Ręce trzymał na poręczach ławki, głowę przechylił na bok. Miał otwarte usta.

- Tato - powiedział chłopiec.

Mężczyzna zachrapał krótko. Mógł mieć czterdzieści lat. Chłopiec stał chwilę bez ruchu - patrzył na otwarte usta mężczyzny, na jego zarost, odpięty kołnierzyk koszuli i kropelki potu na szyi. Potem powiedział głośniej: - Tato!

Mężczyzna otworzył oczy. Uśmiechnął się i wyprostował.

- Siadaj, Stasiu - powiedział. Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć chłopca. Chłopiec stał za daleko i mężczyzna opuścił rękę. - Siadaj, Stasiu - powtórzył. - Czekam i czekam, w końcu zasnąłem. Wiesz, jak to jest: człowiek nie dosypia... - Uśmiechnął się i zamilkł.

Chłopiec usiadł na brzegu ławki. Wyglądał na czternaście lat. Był w kusym granatowym ubranku. Rękawy marynarki były za krótkie. Z nogawek wystawały chude łydki. Od czasu do czasu szybkim ruchem odgarniał włosy spadające na czoło.

- Co tam u ciebie? - zapytał mężczyzna. - Wszystko w porządku?

- W porządku, tato - powiedział chłopiec.

- Jak w szkole? Nauka idzie ci dobrze?

- Dobrze, tato.

- A w domu? Co robi mama?

- Pracuje - powiedział chłopiec. Schylił się, podniósł patyk i zaczął coś rysować na ścieżce.

Słońce przeświecało prze/ gałęzie kasztanu nad ławką. W miejscu, gdzie chłopiec kreślił patykiem,, przesuwwały się jasne plamy. Mężczyzna przyglądał się chłopcu.

- Matka nie mówiła nic o mnie? - zapytał po chwili.

Chłopiec przecząco pokręcił głową. Potem popatrzył na mężczyznę uśmiechnął się. - Opowiadała, jak tato upił się i pobił pana Dut-

Mężczyzna zamyślił się.

- Nic więcej nie mówiła?

- Nic - powiedział chłopiec. Znow zaczął rysować patykiem na ścieżce.

- Wujek dla ciebie dobry?

- A dlaczego miałby być zły? - odpowiedział chłopiec nie podnosząc głowy.

Mężczyzna nie powiedział nic. Patrzył na chude ramiona chłopca, na jego duże ręce i na włosy, które chłopak od czasu do czasu odgarniał szybkim ruchem na bok. Ścieżką przeszedł znajomy mężczyzny.

- Dzień dobry, panie Woźniak - powiedział.

Mężczyzna nie odezwał się. Chłopiec popatrzył za znajomym.

- Tato, ten pan mówił dzień dobry.

Mężczyzna uśmiechnął się. Sięgnął po teczkę schowaną pod ławką. Była to stara ceratowa teczka z metalowymi zamkami. Wyjął z niej słoik owinięty w gazetę.

- Masz. Napij się kompotu.

- Dziękuję, tato - powiedział chłopiec. - Nie chce mi się pić.

- Pij. Babka specjalnie dla ciebie gotowała. Tu są pierożki z jagodami - postawił na

ławce drugi słoik. - A tu śmietankowe babki z kremem - odwinął papier. - Wszystko, co lubisz.

- Dziękuję, tato - powtórzył chłopiec. Wziął jedną ze śmietankowych babek i zaczął jeść. Okruchy spadały na ścieżkę. Mężczyzna przyglądał się jak chłopiec je.

- Opowiedz coś — poprosił. - Nie chcesz nic powiedzieć?

- O czym mam mówić? - Chłopiec odgarnął włosy z czoła.

- O wszystkim. Mów, o czym chcesz.

- Wszystko jest w porządku - powiedział chłopiec z przekonaniem.

Ścieżką przeszła młoda kobieta z wózkiem, potem mężczyzna z psem. Pies miał obwisłe wargi, z których kapiała ślina. Chłopak patrzył za kobietą, potem przyglądał się psu.

- U mnie też wszystko w porządku - odezwał się mężczyzna po chwili. - Gdyby matka o to pytała, to tak powiedz. Zarabiam nieźle, babka prowadzi dom. Co więcej trzeba, tak?

63

- Tak - zgodził się chłopiec. - To jest najważniejsze.

Jakiś czas nie mówili nic. Potem chłopiec wstał. i

- Muszę już iść, tato. * J

- Czekaj - powiedział mężczyzna. - Wypij choć trochę kompotu.

- Nie chce mi się pić.

- Pierozki też ci nie smakują? Spróbuj, tu jest łyżka.

- Dziękuję - powiedział chłopiec. - Niedawno jadłem śniadanie. Mężczyzna patrzył na chłopca. Na jego czoło z opadającymi kosmykami włosów, wąskie ramiona w przykusej marynarce, duże ręce.

- Zostań jeszcze chwilę - poprosił.

- Nie mogę. Matka mówiła, że bym był o czternastej.

- Zdążysz. Jeszcze pięć minut możesz zostać. .

- Nie mogę - powtórzył chłopiec. Chciał odejść.

Mężczyzna powiedział prędko: - Za dwa tygodnie zobaczymy się w tym samym miejscu. Pamiętaj. Gdyby deszcz padał, będę czekał na dworcu.

- Dobrze. Będę pamiętał.

- Masz tu na drobne wydatki. - Mężczyzna wyjął z kieszeni zwinięte sto złotych.

- Dziękuję, tato. - Chłopiec schował banknot. - To do widzenia.

- Do widzenia, Stasięku - powiedział mężczyzna.

Chłopiec odszedł. Mężczyzna patrzył za nim, póki chłopak nie skręcił w boczną ścieżkę. Potem owinał słoik w gazetę i schował do teczki. Zatrzasnął metalowe zamki. Pod ławką, w miejscu gdzie siedział chłopiec, zostało trochę okruchów po śmietankowej babce i kilka kresek narysowanych patykiem.

1966

Staszek Nędza

Stary Nędza umarł na Wszystkich Świętych. Jego wnuk, Staszek, spóźnił się na pogrzeb o dwa dni. Musiał jechać ze swojej jednostki z drugiego końca Polski. Już było po wszystkim. Stał chwilę nad świeżym grobem, na którym jeszcze grudki gliny nie zdążyły stwardnieć. Patrzył na biały, brzozywy krzyż wbity w ziemię.

Na cmentarzu było pusto: tylko kilka kobiet w czarnych chustkach klęczało przy

grobach. Płonęły świece, wiatr szeleścił papierowymi wstążkami wieńców. Staszek zapamiętał szelest tych wstążek i zapach płonących świec. Poszedł do domu i do niedzieli nie widział go nikt.

Siedział teraz między nami, w gospodzie Duszy, przy stoliku zastawionym kuflami piwa. Za oknem świeciło słońce (dni były jeszcze pogodne) i liście pelargonii na parapecie pojaśniały jak posrebrzone.

Siedziało nas chyba z dziesięciu naokoło stołu: Rachujnamnie -księgowy z GS-u, w wojskowej kurtce z guzikami z orłem w koronie, Jasiu Grzech, Władek Gaska i jeszcze kilku chłopaków z budowy, kolegów Staszka. Jasiu Grzech wypił dużo i spał trzymając głowę na rękach wspartych o stół. Rachujnamnie opowiadał Staszce o ślubie jego dziadka. Dusza Zygmunt, właściciel restauracji, stał za bufetem. Pocił się (za plecami miał okienko od kuchni), ścierał pot z twarzy ścierką i od czasu do czasu dorzucał coś od siebie.

Właściwie tylko oni dwaj mówili. Staszek nie odzywał się - sączył piwo z kufla i widzieliśmy jak powoli czerwieniały mu szyja i twarz.

- Teraz już mało co zostało twoje - mówił Rachujnamnie. - Najwyżej ten mundur i te buty, choć i to, jak skończysz służbę będziesz musiał zdać.

- Z torbami możesz iść - kiwał głową Dusza.

- Nie mówię dlatego, żebym chciał się mieszać w nie swoje sprawy - mówił Rachujnamnie.

- Po prostu żał mi ciebie, Stasiu. Znałem go ojca, póki żył. To był uczciwy człowiek.

65

~ Drugie wioło w las

- Tak, tak - wzdychał Dusza. - Chłopak nie ma czego szukać | w domu. Z dniem ślubu połowa majątku przeszła na nią.

- I za co, za co, pytam? - Rachujnamnie patrzył na nas, jakby | spodziewał się, że ktoś mu odpowie. - Za te dwa lata życia przy| starym? Ten chłopak harował jak wół od dziecka! Może tak nie było?

- Racja, racja - przytakiwaliśmy zgodnie.

Wiadomo było wszystkim, że na dwa dni przed śmiercią starego | Nędzy kobieta, z którą mieszkał, wzięła z nim ślub i z tą chwilą połowa majątku przeszła na nią.

Staszek, jedyny wnuk (więcej między żywymi | stary nikogo nie miał), dziedziczył drugą połowę.

- A może i to przypadnie? - powiedział Rachujnamnie. - Jeżeli | zrobił zapis, a ona pójdzie do sądu, stracisz i to.

Patrzyliśmy wszyscy na Staszka: na jego czerwoną twarz, krople | potu na czole, mundur za ciasny trochę, jakby pękający w szwach na | szerokich barkach. Czapki Staszek nie zdjął, tylko zsunął do tyłu - mały orzełek błyszczał jak srebrny liść pelargonii.

- Chłopie! - mówił Rachujnamnie zaglądając Staszce w oczy. - Czy rozumiesz, co się stało? Dla kogo przez te wszystkie lata robiłeś? Dla niej czy dla siebie?

Staszek nie odpowiadał. Dopił piwo i postawił pusty kufel na stole. Dusza zaraz zabrał kufel i napełnił znów.

- Pij, Stasiu, pij - powiedział. - Nie żałuj sobie chociaż tego. W kuchni pobrzękiwały naczynia. Za oknem krzyczały dzieci. Staszek milczał. Trochę piany ze świeżego

piwa osiadło mu na wargach.

- Za co, za co miałbyś jej to oddać? - Pytał Rachujnamnie odwracając się od Staszka do nas, jakby znów spodziewał się, że ktoś mu odpowie. - Za te lata ciężkiej harówki może? Przecież każdy wie, że robiłeś od dziecka, jak tylko twój ojciec zginął przywalony deskami. Pamiętasz, Zygmus, jak go wyciągaliśmy? Miał słabą głowę i to go zgubiło. Ty, Stasiu, tylko trochę potłukłeś się - we dwóch wieźliście deski z tartaku. Siedziałeś przy nim, kiedy przyszliśmy, obok przewróconego wozu i powtarzałeś w kółko: „Tatusi śpi, tatusi śpi!” Nie miałeś więcej niż osiem lat. Tak, sierotko, tak - matki pewno wcale nie. pamiętasz. Zmarła, kiedy miałeś dwa lata, przy rodzeniu drugiego dziecka, które jej tatuś zafundował. I teraz tę ojcowiznę, to jedno, co cii zostało po matce i ojcu, i j-o świętej pamięci dziadku, to jedno, co jeszcze masz w życiu, chciałbyś oddać? Stasiu, Stasiu, opamiętaj się! - wołał Rachujnamnie unosząc w górę ręce, jakby chciał za trzymać | coś ciężkiego, co waliło się na głowę Staszka i na nasze głowy.

Skąd ona wzięła się, nie wiedział nikt. Będzie ze trzy lata, jak stary i przywiózł ją z miasta. Przyjechali pod wieczór, wozem (jeszcze miał i wtedy konia i wóz). Kiedy tylko stanęła na ziemi, zaraz zaczęła chodzić i po domu i po podwórzu, jakby były jej i jakby znała tam każdy kąt. Nie i była młoda ani ładna - stara, drobna kobieta w czarnej sukience. I - Co on w niej widzi? - dziwili się ludzie. Nie miała zębów i wargi i jej jakoś tak zapadały się, kiedy mówiła, póki nie wstawiła sobie całego i garnituru nowych ze złotych pięciorubłówek starego. Włosy upinała | w mały, twardy kok na tyle głowy.

Wzięła starego w garść - to jedno, co było wiadomo. Staszek {pobyl przy nich miesiąc, może dwa i poszedł służyć. I Najwięcej śmieli się ludzie z tych zębów. Stary miał złoto - trochę I pięciorubłówek, które chował na swoją śmierć (chciał mieć pomnik Iz granitu). Jeszcze przy Staszku często te pięciorubłówki liczył. Zwierzał się także Gołębiowskiemu, który do nich czasem zachodził. Podobno nawet rozmawiał z kamieniarzami - wybierał pomnik i uzgadniał cenę. Na jakieś dwa miesiące przed śmiercią pojechał z kobietą do miasta. Rano ludzie widzieli ich na przystanku.

Wracali ostatnim autobusem i ona miała jakąś zmienioną twarz.

- Jak nie ta sama - dziwiły się kobiety. - Odmłodziła czy co?

Dopiero następnego dnia, kiedy zaszła do sklepu i otworzyła usta, okazało się, że ma wstawione wszystkie zęby i wszystkie są złote. Pełny garnitur.

- Jakby mi kto latarką w oczy błysnął - śmiała się sklepowa.

Rachujnamnie opowiedział o tym Staszкови. - Czyje te zęby, Stasiu? - zapytał na koniec zaglądając mu w oczy i przybliżając twarz do jego twarzy.

Staszek milczał. Rozpiął kołnierz munduru, bo było gorąco.

- Jego. Jasne, że jego - westchnął Dusza. Jasiu Grzech zabełkotał coś przez sen.

- Te zęby to pomnik twego dziadka! - powiedział Rachujnamnie i popatrzył na nas. -

A może - zapytał po chwili - chcesz jej to wszystko podarować z wdzięczności? Za to, że spała z twoim dziadkiem Przez trzy lata bez ślubu?

Roześmieliśmy się, tylko Rachujnamnie nie. Ścisząc głos do szep-fu t jeszcze bliżej przysuwając twarz do twarzy Staszka zapytał: - Kim °aa jest, ta stara?

Chwilę nie odzywał się nikt, potem Dusza powiedział głośno za 'taszka: - Zwyczajną kurwą.

66

67

- Co ona zrobiła z twego domu? - zapytał jeszcze Rachujnamnie, także szeptem, a Dusza odpowiedział tym razem natychmiast:

- To jasne. Burdel. Ł k Stary chorował od dłuższego czasu. Miał siedemdziesiąt osiem lat i cierpiał na Burgera. Puchły mu stopy - ludzie czasem widzieli go boso na podwórzu przed domem, jak chodził z podwiniętymi nogawkami, ostrożnie stawiając duże, sine stopy. Na trzy dni przed świętami położył się do łóżka. Stara krzątała się niespokojnie po podwórzu, biegła podobno do Gromadzkiej Rady - coś załatwiała, jeszcze nie było wiadomo, co.

W południe następnego dnia ludzie zobaczyli, jak sadzała starego na drewnianym wózku, w którym Staszek woził trawę dla królików. Położyła mu poduszkę pod plecy, nogi owinęła kocem. Potem chwyciła za krótki dyszel i pociągnęła wózek przez wieś. Kółka turkotały po asfalcie, przy każdym wstrząsie siwa głowa starego chwiała się bezwładnie. Szły za nimi dzieci. Kiedy mijali sklep, gromada kobiet wyszła na drogę. Ona czasem przystawała - poprawiała staremu poduszkę i koc na nogach. Dzieci zatrzymywały się o kilka kroków z tyłu.

- Czego tu? - krzyczała. - Odejdźcie!

Zajechała wózkiem pod budynek urzędu. Dociągnęła pod same drzwi. Potem pomogła staremu zejść i ostrożnie wprowadziła do środka. Wtedy już było wiadomo, że biorą ślub. Dzieci i kobiety widziały wszystko przez okna. Podobno zaraz usiedli naprzeciw stołu zasłanego zielonym sukniem. Trzymała go za rękę.

Stary miał czystą koszulę i krawat niezdarnie zawiązany pod szyją w grubym supeł. Pewno wiązała ona. Siwe włosy przyczesła mu na bok. Trząsał głową przez cały czas. Ona narzuciła mu na ramiona biały szal. Uśmiechała się przymilnie do urzędnika.

Świadcami byli Gołębiowski (on jeden czasem do nich zachodził) i Gorzycowa. Podobno Nędza nie odpowiedział od razu na pytanie urzędnika, czy chce starą za żonę. Dopiero Gołębiowski trącił go i wtedy stary powiedział cicho: „Tak”. Ręce mu się trzęsły - nie mógł utrzymać pióra, kiedy podpisywali akt. Jak wychodzili, potknął się o próg. Byłby upadł pewno (nogi miał już zupełnie do niczego), gdyby stara nie podtrzymała go w p«rę. Wyszli przed dom, a cała gromada dzieci uciekła spod okien.

- Kochanica - powiedział Rachujnamnie. - Wiedziała, jak si? urządzić!

68

- Jak tylko moja opowiedziała o tych zębach, wiedziałem, że tak to się skończy - machnął ręką Dusza.

Później chodziła do księdza. Chcieli wziąć także kościelny ślub. Miały być zapalone wszystkie świece na ołtarzach (podobno specjalnie o to prosiła księdza) i mieli iść po czerwonym chodniku od drzwi. Z góry zapłacała organistów. I pewno wyobrażała sobie dokładnie, jak będzie: jasny kościół, cały w migotliwym świetle płonących świec i czerwony chodnik, po którym wolno mieli iść od drzwi, podczas gdy na chórze grałyby organy jak wiatr w gałęziach topól.

Nie zdążyli, bo stary na Wszystkich Świętych zmarł. I tylko to ludzie zapamiętali

dobrze: drewniany wózek, na którym go wiozła pod urząd, jego głowę chwiejącą się bezwładnie, turkot kółek po asfalcie i gromadę dzieci z tyłu. I śmieli się z tego wszyscy.

Rachujnamnie opowiedział dokładnie Staszкови, jak było. Śmieliśmy się i teraz - najwięcej z tego wózka. Któryś powiedział:

- Ciekawe, jaką mieli poślubną noc? Władek Gaska mrugnął do Staszka:

- Nic nie było. Dziadek już nosił na temblaku.

- Tak, tak - westchnął Rachujnamnie. - Wystawiła twego dziadka na ludzki śmiech.

Rano, na Wszystkich Świętych, ludzie szli na cmentarz koło ich domu. Zobaczyli jak ona wybiegła z izby lamentując. Była bez chustki - wiatr targał jej siwe, nie uczesane włosy.

- Nie żyje, nie żyje! - krzyczała.

Weszli do domu i stanęli przy łóżku, na którym leżał. Nie zmienił się: załzawione oczy miał otwarte, ręce leżały bezwładnie wzdłuż ciała, duże opuchnięte stopy sterczały spod kołdry. Było duszno i ciemno w tej izbie - trochę światła z okienka padało na jego nieruchomą, pomarszczoną twarz i odbijało się w oczach.

Miała kłopoty z pogrzebem. Ksiądz podobno nie chciał go chować.

- Żyliście w grzechu tak długo - mówił. - Nie wiem, czy Bóg go przyjmie.

Jakoś jednak uprosiła i zaraz po Zaduszkach był pogrzeb. Na cmentarzu jeszcze płonęły świece i szeleściły papierowe wstążki od W!eńców. Była milcząca - raz tylko zaszlochała głośno, kiedy pierwsze grudki ziemi spadły na trumnę. Uklęka wtedy i klęczała tak już do końca. Ci, co przyszedli na pogrzeb, zostawili ją nad grobem i odeszli.

Rachujnamnie położył rękę na ramieniu Staszka:

69

r

- No i co, Stasiu? Co każdy z nas zrobiłby na twoim miejscu?

Staszek milczał. Rachujnamnie odczekał chwilę. Patrzyliśmy wszyscy na niego, nie wiedząc dobrze, co powie. Siedział wyprostowany w swojej wojskowej kurtce z guzikami z orłem w koronie. Trzymał rękę na ramieniu Staszka.

- To jasne - powiedział. - Wziąłby babę za łeb, stuknął parę razy i wyrzucił z domu.

- O, to, to! - ucieszył się Dusza. - Tak właśnie każdy by zrobił!

- I jeszcze wybiłby zęby! - dokończył Rachujnamnie.

Kiwaliśmy głowami. Jasiu Grzech zabełkotał coś przez sen. Staszek milczał. Wypił dużo piwa (jak tylko opróżnił kufel, Dusza zaraz nalewał nowy) i miał już bardzo czerwoną twarz i szyję. Patrzył to na Duszę, to na nas i nie mówił nic. Krople potu błyszczały mu na czole. Rachujnamnie nie zdejmował ręki z jego ramienia.

- Zastanów się, chłopcze! Za miesiąc kończysz służbę i co? Wrócisz tu, a ona może przez ten czas odda sprawę do sądu. Stracisz wszystko.

I co wtedy?.

Staszek nie odpowiadał.

- Dlatego każdy z nas, jak tu siedzimy, zrobiłby na twoim miejscu właśnie tak, jak mówię. Za łeb babę i z chałupy! Niech sama ciebie skarży! Każdy tu będzie świadczył za tobą!

- Racja, racja - kiwaliśmy głowami.

- Klucz od domu możesz mnie zostawić - powiedział Dusza. - Już ja przypilnuję, żeby tam nie wróciła.

Roześmieliśmy się wszyscy, oprócz Staszka.

- Posłuchaj - mówił Rachujnamnie. - Jesteś młody, zdrowy. Wiadomo - minie rok, może nawet mniej, zechcesz się żenić. Która pójdzie za ciebie, jak stara będzie rządzić w chałupie?

- Żadna - powiedział Dusza. - To jasne.

- Nie masz się nad czym zastanawiać - mówił Rachujnamnie. - Zaraz możemy z tobą iść. Staszek milczał.

- Nic nie wymyślisz - powiedział któryś. - Rób, jak mądrzy ludzie radzą.

Patrzyliśmy wszyscy na niego: na ten mundur pękający w szwach, krople potu na czole, czerwona twarz, żyły na szyi. Zdziwiliśmy się, kiedy nagle wstał. Gwałtownie, aż krzesło upadło. Nikt się nie spodziewał, że on tak zaraz wstanie, i chwilę jeszcze siedzieliśmy zaskoczeni. Potem wstaliśmy także. Rachujnamnie poklepał Staszka po ramieniu.

- To rozumiem! - powiedział. - Teraz wiadomo, że jesteś chłop.

Jasiu Grzech obudził się - ktoś go potrząsnął za ramię. Wstał niepewnie i zaraz dwóch musiało go podtrzymać. Dusza szybko zrzucił fartuch. Pod spodem miał czarny garnitur. Wyszliśmy przed dom.

Jeszcze świeciło słońce, kiedy całą gromadą ruszyliśmy przez wieś. Staszek Nędza na przedzie - wyższy o głowę od nas, w czapce zsuniętej do tyłu, z czerwoną twarzą i szyją, jakby zaraz krew miała trysnąć spod skóry - za nim chudy Rachujnamnie i Dusza w czarnym garniturze obok - tęgi, z wypiętym brzuchem, kołysząc się lekko. Z tyłu szli chłopaki z budowy i od nas. Dwóch ciągnęło Jasia podtrzymując za łokcie. Słychać było tylko szuranie nóg na drodze i wiatr szeleszczący w liściach na poboczu. Była niedziela - ludzie oglądali się za nami, czasem ktoś pytał, dokąd idziemy. Niektórzy przyłączali się i szli razem. Gromada dzieci biegła obok.

- Pamiętaj o zębach - mówił Rachujnamnie. Szedł szybko, starając się nadażyć za Staszkiem. Wydawało się, że biegnie. - Wybij, jakby nie chciała oddać. A potem za łeb i z chałupy!

- Jak będzie krzyczeć, to uderz ze dwa razy - radził Dusza. - Nie za mocno, żeby nie było krwi, ale dwa razy nie zaszkodzi.

Jasiu Grzech coś bełkotał za ich plecami. Dzieci goniły się obok i śmiały. Czuliśmy dym z kominów, czasem powiew chłodnego wiatru. Na poboczach szeleściły suche liście.

- Zęby, zęby! - powtarzał Rachujnamnie.

Doszlśmy w końcu do ich domu i stanęli. Ten dom jest już za wsią. Latem od drogi zasłaniają go gałęzie jaśminów. Teraz liście opadły i dobrze widać było ganek, kilka stopni i uchylone drzwi. Jasiu Grzech oparł się o płot i zwiesił głowę. Staszek odwrócił się. Popatrzył na nas.

- No? - zapytał Dusza. - Na co czekasz? Rachujnamnie popchnął go lekko w stronę domu.

- Zęby! - powtórzył raz jeszcze. - Pamiętaj o zębach!

Staszek pchnął furtkę i stanął po drugiej stronie. Furtka zaskrzypiała cicho. Może ten

skrzyp usłyszała ona? Zobaczyliśmy jak stanęła w uchylonych drzwiach. Kolorowe szybki w oknach ganku odbijały słońce. Kilka kur podbiegło pod ganek, kiedy tylko pokazała się. Patrzyła na nas chwilę w milczeniu. Potem spojrzała na Staszka.

- Gdzie byłeś tak długo, Stasiu? - usłyszeliśmy jej głos. - Nie ę znaleźć cebrzyka. Staszek milczał.

70

71

- No? - powiedziała po chwili głośniej. - Gdzie postawiłeś cebrzyk? t Wtedy dopiero odezwał się. Usłyszeliśmy jego cichy głos: *'***

- Tam, gdzie zawsze, matko. fe: Staliśmy za jego plecami odgradzeni furtką i płotem. Suche gałązki jaśminów poruszały się na wietrze. Jasiu Grzech zabełkotał coś i niżej zwiesił głowę. Dzieci przyciskały twarze do sztachet. Dusza sapał. Wszyscy gapiliśmy się na starą. Popatrzyła na nas niechętnie.

- A wy czego tu? Idźcie sobie. Nic tu po was.

Milczeliśmy. Słysząc było tylko głośny, chrapliwy oddech Duszy.

- Chodź, Stasiu - powiedziała. - Trzeba nakarmić świnię.

Złote zęby błysnęły, kiedy to mówiła. Zeszła po schodkach z ganku i poszła przez podwórze w stronę chlewu. Staszek ruszył za nią. Nie obejrzał się na nas więcej.

Duże, czerwone ręce trzymał bezwładnie opuszczone.

Wracaliśmy nie mówiąc nic. Dwóch podtrzymywało Jasia, Dusza sapał wypinając brzuch. Rachujnamnie szedł trochę zgarbiony. Blisko gospody przystanął na chwilę.

Popatrzył na nas i zapytał:

- Słyszeliście? Powiedział do niej: matko.

Nikt mu nie odpowiedział. Rachujnamnie odczekał chwilę, potem zaczął się śmiać.

Nie mógł się uspokoić. W końcu zakaszłał i splunął.

Milczeliśmy. Znów zaczęliśmy iść. Słysząc było tylko szuranie nóg na drodze i szelest suchych liści, kiedy powiał wiatr.

1967

Ciemne drzewa

Szli drogą, nad rzeką, którą przesłaniały drzewa. Było południe - chłopiec rozpiął guziki koszuli na piersiach i podwinął rękawy. Szedł pochylony dźwigając duży plecak z brezentowego płótna. Mógł mieć piętnaście lat. Mężczyzna szedł kilka kroków za nim. Od czasu do czasu ścierał pot z karku i z czoła zmiętą chustką. Był w czarnym garniturze i w koszuli z krawatem. Niósł niedużą ceratową walizkę. Granatowy kapelusz zsunął na tył głowy. Miał opaloną twarz i siwe włosy na skroniach. Obaj mieli zakurzone buty.

- Daleko jeszcze? - zapytał chłopiec nie odwracając się.

- Możemy odpocząć - powiedział mężczyzna. - Jeszcze będzie z pięć kilometrów.

- Mam już dość! - zdenerwował się chłopiec. - Dwa dni jechać pociągiem, nie spać, mało jeść, a potem jeszcze iść piechotą pięćdziesiąt kilometrów. To za dużo, jak dla mnie!

- Nie pięćdziesiąt, najwyżej dwadzieścia.

- Wystarczy po dwóch nocach.

Naokoło, w trawach, grały świerszcze - słyszeli ich nie milknące głosy, jak muzykę. Za drzewami płynęła rzeka i czuli od czasu do czasu chłodny powiew. Na drodze

kamienie obrastały trawą. Nie było nikogo.

Doszli do strumienia przecinającego ścieżkę. Stary drewniany mostek zapadł się - woda wyłobila koryto między spróchniałymi deskami. Chłopiec rzucił plecak na ziemię. Usiadł nad wodą i zaczął rozsznurowywać buty.

- Zaziębisz się, synu - powiedział mężczyzna. - Woda tu zimna. Chłopiec zdjął buty i zanurzył bosc nogi w wodzie.

- Przyjemnie - westchnął. Położył się na wznak, mrużąc oczy przed słońcem.

73

Mężczyzna siedział na starej belce leżącej na brzegu. Ceratową walizkę postawił obok. Zapalił. Papieros wydawał się mały jak słomka w jego potężnych rękach.

- Najdalej za godzinę powinniśmy tam być - powiedział. - Zjemy coś i napijemy się na miejscu.

- Mówisz tak, jakby ktoś tam na nas czekał - zaśmiał się chłopiec. - A może naprawdę ktoś tam mieszka?

- Na pewno nie. Nikt tu nie chce wracać. Za dużo krwi wsiąkło w tę ziemię.

- Mówisz jak z książki - oświadczył chłopiec i ziewnął. Mężczyzna nie odpowiedział. Słuchali nie milknącego chóru świerszczy.

- Przynajmniej dobrze, że nie ma deszczu - odezwał się po chwili chłopiec.

Mężczyzna wstał. Odrzucił niedopałek, poprawił kapelusz i podniósł ceratową walizkę.

- Chodźmy! Nie warto tracić czasu.

- Idź - powiedział chłopiec. - Jeszcze chwilę mam ochotę pole-żeć.

Mężczyzna przeszedł po zwałonych deskach starego mostu. Odszedł pustą drogą między łąkami a rzędem drzew, za którymi płynęła rzeka.

Chłopiec dogonił go w miejscu, gdzie zaczynał się las. Minęli ruiny jakiegoś domu, porośnięte chwastami, i stary cmentarz. Rosły tu jodły i tuje. W ich cieniu, w kępach chwastów, widać było pochylone kamienie i żelazne krzyże. Chłopiec zrównał się z mężczyzną, który szeptał coś, jakby powtarzał wyuczoną lekcję.

- Mówisz do siebie? - zapytał chłopiec.

- Modliłem się - odpowiedział mężczyzna po chwili. - Za wieczny odpoczynek tych, którzy tu leżą.

- I po co my tam idziemy? Nie zobaczę meczu. W sobotę miała być zabawa. Jeszcze Franek Słomkiewicz mówił, żebym z nim szedł.

Wspinali się wolno kamienistą drogą na wysoki brzeg. W dole rzeka błyszczała w słońcu jak srebrna klinga szabli. Mężczyzna odezwał się, kiedy byli blisko szczytu:

- Mówiłem ci już, dlaczego. Chcę, żebyś to miejsce choć raz zobaczył. Nim umrę - dodał. Starł z czoła pot.

- Myślisz o śmierci?

74

- Jak każdy. To ludzka rzecz.

- Ja tam nie myślę - powiedział chłopiec i kopnął kamień.

Zatrzymali się na wysokim brzegu. Za plecami mieli las, w dole srebrzysty łuk rzeki płynącej po kamienistym dnie. Stali patrząc na rzekę.

- Tu były najlepsze pstrągi - odezwał się mężczyzna. - Takie jak ręka.

- U nas, na zachodzie - powiedział chłopiec - są takie szczupaki i karpie.

- Najlepsza ryba to pstrąg. Łowiliśmy je pod kamieniami. Kiedy byłem taki jak ty i młodszy jeszcze, przychodziliśmy tutaj łowić ryby.
- Ja tam uznaję tylko szczupaki. Wiesz, jakie ciągnęliśmy u nas? Jak dwie twoje ręce.
- Najlepszy jest pstrąg - powtórzył mężczyzna. - Nie ma lepszej ryby.
Ruszyli dalej. Droga wznosiła się i opadała. Minęli ruiny kapliczki z kopułą z zardzewiałej blachy. Na szczycie był mały, trójramienny krzyżyk, nieco przekrzywiony i zardzewiały tak samo.
- Nie zaglądam tam - powiedział mężczyzna. - Tu mogą być węże.
- Co tam węże! Mało to zmij nałapaliśmy z Frankiem Słomkiewi-czem?
- Będzie dwadzieścia lat - powiedział mężczyzna, kiedy ruszyli dalej - jak stąd wyjechałem. A jednak pamiętam i ten zakręt rzeki, i tę kapliczkę, i cmentarz. Tędy do nas się szło. Tu, niedaleko, spotykałem się z matką, kiedy była młoda.
- Żal ci? - zapytał chłopiec.
- Tak już jest w życiu, synu - powiedział mężczyzna. - Nie poradzisz nic.
Szli w cieniu drzew, rzeka płynęła znów blisko, widzieli srebrny odbłask słońca tuż obok, za drzewami. Wyszli na dużą polanę - las skończył się, dalej od brzegu rosło dużo dziczyńskich owocowych drzew. Poczuli zapach kwiatów, kiedy powiał wiatr. Ruszyli w tamtą stronę. Rzeka została z tyłu, jej szum przycichł. Chłopiec rozglądał się idąc. Po obu stronach rzeki wznosiły się wzgórza porośnięte lasem, tylko tu ta polana jakby odepchnęła zbocze góry dalej od wody.

75

Mężczyzna wszedł w cień owocowych drzew. Stał obok kępy kwiatów przypominających młode słoneczniki. Chwiały się lekko na długich łodygach, poruszane wiatrem.

- To chyba tu - powiedział cicho. Stał bez ruchu odwrócony do chłopca plecami, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, ściskając uchwyt ceratowej walizki. Chłopiec rzucił plecak pod pień dziczyńskiej gruszy i usiadł na nim. Na ziemi, w trawie, leżało dużo zielonych ulegalek. Skosztował jedną i szybko wypluł. Miała cierpki, prawie gorzki smak.

- Zmęczyłem się - powiedział. - Chce mi się pić. Nawet herbaty już nie ma. Mężczyzna przybliżył twarz do kwiatów na wysokich łodygach. Chłopiec zaśmiał się głośno.

- Wąchasz kwiaty?

Mężczyzna nie odpowiedział. Odszedł od kępy kwiatów i chwilę chodził między drzewami dziczyńskiego sadu. Oparł się o pień rozłożystej jabłoni. Chłopiec obserwował go. Odczekał chwilę.

- Tato! - zawołał. - Zasnąłeś?

Mężczyzna odwrócił się szybko. Wrócił pod pień gruszy, gdzie siedział chłopiec. Usiadł na kamieniu naprzeciw.

- Tu urodziłem się - powiedział. - Te kwiaty sadziła matka. Odstawił ceratową walizkę i zdjął kapelusz. Czoło miał pokryte kroplami potu.

- Ładne miejsce - zgodził się chłopiec. - Tylko trochę za daleko od ludzi.

Mężczyzna uśmiechnął się. - Synu, tu było dwieście numerów. Wszyscy musieli wyjechać. Mówiłem ci już: ta ziemia przesiąkła krwią.

Chłopiec znów ziewnął. Chwilę siedział w milczeniu. Słysząc byłe stłumiony szum

rzeki na drugim końcu polany. Powiał wiatr i pochyłu nisko łądygi wysokich kwiatów. Nad lasem zataczał koła jastrząb Mężczyzna trzymał ręce opuszczone. Strużki potu z czoła ściekały po jego skroniach.

- Pamiętam, jak wieczorem śpiewali - odezwał się. - Dziś tak pięknie ludzie nie umieją śpiewać.

Chłopiec wstał i klęknął obok alecaka. Wyjął bochenek chleba, nóż masło owinięte w kawałek białego płótna. Układał wszystko na trawie.

Mężczyzna podniósł się z wysiłkiem. Podszedł do sterty szarych kamieni porośniętych chwastami. Odwrócił się ucieszony do chłopca.

76

- Tu była piwnica! Poznaję! Zawsze stąd nosiłem matce ziemniaki i kapustę zimą.

- A dom? - zapytał chłopiec nie odwracając się. - Ważniejsze, gdzie stał dom.

Mężczyzna spochmurniał. Rozejrzał się dookoła.

- Był drewniany - powiedział. - Kiedy spalił się, nie zostało śła-

- Powinny choć fundamenty zostać - upierał się chłopiec.

Mężczyzna odszedł kilka kroków od sterty kamieni. Szedł schylony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zatrzymał się niedaleko rozłożystej jabłoni.

- Chyba tu - powiedział. Zrobił ruch ręką.

- Na którą stronę wychodziły okna?

- Stał frontem do rzeki. W zimie, kiedy na drzewach nie było liści, widzieliśmy brzeg.

- Chodź, tato - powiedział chłopiec. - Trzeba coś zjeść.

Mężczyzna wrócił wolno i usiadł na tym samym kamieniu. Podparł głowę rękami.

Chłopiec zabrał się do rozpalania ogniska. Przyniósł dwa kamienie. Ułożył przy nich stos z patyków, pod spód nawtykał suchej trawy. Z plecaka wyjął nieduży garnek.

- Idę po wodę - powiedział. Mężczyzna siedział bez ruchu.

- Idę po wodę - powtórzył chłopiec, ale mężczyzna i tym razem nie powiedział nic.

Jastrząb zataczał koła nad lasem, łądygi wysokich kwiatów chwiały się na wietrze.

Kiedy chłopiec wrócił, ostrożnie niosąc garnek z wodą, mężczyzna siedział, jak przedtem, z głową wspartą na dużych dłoniach.

Zjedli i siedzieli potem w tym samym miejscu - chłopiec pod pnem gruszy,

mężczyzna na kamieniu. Patrzyli na niebo, milczeli. Kiedy słońce schowało się za

zbocze góry, mężczyzna sięgnął po ceratową walizkę. Otworzył i wyjął butelkę

owiniętą w gazetę. Ostrożnie odwinął papier. Była to napoczęta półlitrowka. Odbił

korek i podniósł butelkę do ust. Wypił do połowy, skrzywił się i otarł usta dłonią.

Podał butelkę chłopcu.

- Czemu mi dajesz? - zdziwił się chłopiec. - Matka byłaby zła.

- Wolę, żebyś ode mnie dostał. Nie od chłopaków pod płotem. Chłopiec wypił duży łyk i zakrztusił się. Szybko odstawił butelkę. Sięgnął po chleb. Ukroił grubą kromkę.

77

- Dobrze - pochwalił mężczyzna. - Zagryzaj chlebem.

Chłopiec znów podniósł butelkę do ust. Pił teraz małymi łyżkami, aż do dna. Twarz mu poczerwieniała. Odrzucił pustą butelkę między drzewa w sadzie.

- Myślisz, że nigdy nie piłem? - zapytał.

Mężczyzna uśmiechnął się. - Dzieciaku - powiedział. Pokiwał głową.

Kiedy ściemniło się i na czystym niebie zapaliły się pierwsze gwiazdy, chłopiec wyjął z plecaka dwa szare koce. Podał jeden ojcu, drugi rozłożył pod pniem gruszy.

- Będziemy spać, co, tato?

- Tak jest - zgodził się mężczyzna. - Jutro skoro świt trzeba wstać.

- I znowu dwa dni mordegi - westchnął chłopiec. - Warto było jechać taki kawał, iść, spać tu na ziemi i wracać znów?

Mężczyzna nie odpowiedział. Wstał i odszedł *na chwilę. Chłopiec ułożył się na kocu - owinał nogi, pod głowę wsunął sweter. Patrzył w ciemność, w to miejsce, gdzie znikł mężczyzna. Usłyszał jego kroki. W górze, na tle gwiazd, przelatowały nietoperze. Słyszeli szum wiatru w gałęziach starej gruszy. Mężczyzna także położył się na kocu. Chwilę leżeli nie mówiąc nic.

- Tato, czy to prawda, co mówią o kobietach i mężczyznach? — zapytał chłopiec.

- Co?

- Że jest tak, jak mówią. I że z tego biorą się dzieci.

- Prawda.

Chłopak zaśmiał się cicho.

- Nie śmiej się. Tak i ty zostałeś poczęty. Zamilkli znów. Chłopiec patrzył na gwiazdy.

- Ile gwiazd - powiedział. - Myślisz, że jest Bóg?

- Matka mówi, że jest.

- Bo jej ksiądz mówił. Ale ty powiedz od siebie. Mężczyzna milczał. *

- Śpisz? - zapytał chłopiec po chwili.

- Nie.

- O czym myślisz?

- O tym, jak tu śpiewali. Gdybym potrafił śpiewać, zaśpiewałbym ci te piosenki.

78

- Jeszcze kręci mi się w głowie - poskarżył się chłopiec. - Wydaje mi się, że niebo z gwiazdami spada na nas.

- Przejdzie. Śpij.

- Za dużo dałeś mi wypić.

- Śpij.

- Te drzewa naokoło takie ciemne. Nic nam tu nie grozi?

- A co by nam miało grozić? Tu był nasz dom.

Mężczyzna usłyszał znowu cichy śmiech chłopca, a potem jego głos:

- To będę spał, tato.

- Śpij, synu - powiedział.

Chłopiec zamknął oczy. Czuł jeszcze zawroty głowy - wydawało mu się, że ziemia pod nim kołysze się jak łódka. Kilka razy odbiło mu się nieprzyjemnie. Leżał bez ruchu zaciskając powieki.

Słyszeli tylko głosy świerszczy w trawach i szum wiatru w gałęziach gruszy, jakby tam, nad nimi, płynęła rzeka.

1968

1

Między ludźmi

Niejaki Gorczyca od nas robił na budowie. Kiedy wypadła mu pierwsza zmiana,

wracał dopiero o czwartej. Tak było tego dnia, kiedy przyszli robić przepust koło jego domu. Była tylko żona Gorzycy i dwoje dzieci. Przesiedzieli do południa u niej i dopiero potem ludzie widzieli ich, jak coś robili koło przepustu. Jeden, najmłodszy, dwa razy chodził do spółdzielni po wino.

Gorzycyca przyjechał o czwartej. Wsiadł na drodze z ciężarówki, która zawsze zatrzymywała się na chwilę na wzgórzu naprzeciw jego domu, i poszedł ścieżką w dół od drogi, gdzie między olchami nad potokiem było widać gęsi, jak białe czółenka.

Zaraz obok był jego dom, kryty blachą, i zawsze, kiedy wracał z pierwszej zmiany, jego córka Marzenka biegła mu na spotkanie. Tego dnia nie wybiegła, ale Gorzycyca chyba nie zwrócił na to uwagi, bo zobaczył ten przepust nad potokiem, który tam zrobili, i postął nad nim chwilę.

Potem poszedł w kierunku domu i stanął na podwórzu. Pewno dopiero wtedy zorientował się, że coś jest nie tak, bo nie zobaczył swojej kobiety w drzwiach ani w oknie, tylko dzieci siedziały na długiej ławce pod okapem i bieloną ścianą domu.

Młodsze - chłopiec chyba czteroletni - nie zwróciło na niego uwagi (kopał zardzewiałą łopatką dołek w twardej, ubitej ziemi), tylko córka, ta Marzenka, patrzyła na niego w milczeniu, siedząc z podkurczonymi nogami, na których splotła ręce.

I pewno tak stał chwilę pośrodku podwórza - nieduży, chudy mężczyzna w zniszczonym drelichu i gumiakach, w starej cyklistówce na głowie, pewno jak zwykle nie ogolony i trochę niechlujny, z kępkami siwych włosów na karku - patrząc na dwoje dzieci na ławce pod okapem, podczas gdy mała patrzyła także na niego w milczeniu.

80

— Gdzie matka? - zapytał. Na pewno takie było pierwsze jego pytanie, zresztą mała opowiedziała potem wszystko dokładnie kobietom w spółdzielni i tak właśnie powtórzyła: - Gdzie matka? - zapytał.

- Śpi - odpowiedziała.

- Śpi? - zdziwił się. I dopiero wtedy zobaczył to wszystko, czego dotąd nie zauważył: brak dymu z komina, pustą miskę psa, który łąsił się do niego, dzwoniąc łańcuchem, kury, które zbiegły się do jego nóg, jakby spodziewały się, że rzuci im ziarna.

- I wtedy - opowiadała dziewczynka kobietom - powiedziałam tatusiowi o tym, że byli ci trzej panowie, co zrobili przepust, że siedzieli do południa i pili wino z mamą, a potem szli z nią po kolei do stodoły na siano. Jeszcze uważali, żebym ja albo Janek nie weszli tam za nimi - mówiła. — I to, że odkąd sobie poszli, mama śpi na sianie i chyba trzeba ją zbudzić w końcu, bo nie ma obiadu, kury są głodne i nawet nie wiem, czy iść z krowami, czy nie.

Kobiety śmiały się, niektóre wzdychały, a ona z siatką, w której miała chleb, cukier i mąkę, stała przy ladzie zadowolona, że wszystkie na nią patrzą, i opowiadała o tym. Gorzycyca zdjął czapkę i starł pot z czoła. Stał jeszcze chwilę - popatrzył na psa, który łąsił się i skomlał dzwoniąc łańcuchem, obejrzał się na ścieżkę, którą przyszedł, z nowym przepustem na strumieniu, na gęsi w cieniu olch, jak białe czółenka, i nie powiedział nic.

- Do wieczora nic już nie mówił ani do mnie, ani do matki, chyba że w nocy, ale tego

nie wiem, bo jak tylko zagnałam krowy z pola, to zaraz poszłam spać.

Powiesił czapkę na gwoździu przy drzwiach i poszedł do stodoły. Było tak, jak mała powiedziała: przed wejściem leżały dwie puste butelki po winie i kubek w kwiatki, który zawsze wisiał nad piecem. Kobieta spała na sianie blisko wejścia, w zagłębieniu, w które zapadła się, i nie było widać jej twarzy, tylko bosc nogi sterczące wysoko.

Stali nad nią chwilę: Gorczyca, bez czapki, w tych swoich gumiakach i drelichu, i mała, w niebieskiej, krótkiej sukience, z włosami jasnymi jak piasek na dnie potoku. Słyszeli spokojny oddech kobiety i patrzyli pewnie na jej nogi sterczące z siana, rozrzucone trochę, z brudną, twardą skórą na podszewkach i niebieskimi żyłami na łydkach.

Potem Gorczyca schylił się i potrząsnął ją za ramię. Coś powiedziała przez sen, może westchnęła i strząsnęła niecierpliwie jego rękę z ramienia. Potrząsnął ją znów - klęknął przy niej i trząsnął coraz mocniej

* - Drugie wrota w las

81

trzymając obiema rękami i nie mówiąc nic. Trząsnął, póki nie otworzyła oczu.

Z tego kobiety śmiały się najwięcej: - Bałam się, że coś jej złego zrobi - mówiła mała.

Potem Gorzycowa siadła na sianie, jeszcze przez chwilę patrząc na nich nieprzytomnie, ze źdźbłami siana we włosach, z rozpiętą na piersiach bluzką i spódnicą podkasaną wysoko, powyżej białych, gładkich kolan. Gorczyca klęczał przy niej, obok stała dziewczynka w niebieskiej sukience. Słysząc było tylko skomlenie psa z dworu i to, jak podzwaniał łańcuchem.

Nie powiedziała nic, tak jak on nic nie mówił. Wstała szybko, ogarnęła się, poprawiła włosy i wyszła na słońce. Podniosła kubek w kwiatki.

Coś im tam zrobiła naprędce na obiad - mała zaraz potem poszła z krowami, Gorczyca, zdaje się, położył się fpać, on zawsze spał po pracy, nawet kiedy robił w dzień. W każdym razie spokój był do wieczora, tak jak mała powiedziała kobietom: - Tatuś już nic potem nie mówił do wieczora. Nie odezwał się ani do mamy, ani do mnie.

A jednak jakaś rozmowa między nimi musiała być, choć mała o tym nie wiedziała, bo pewno, tak jak mówiła, zasnęła zaraz, jak tylko przygnała krowy z pola i coś zjadła. Oni siedzieli długo w nocy, ludzie widzieli światło w oknach - z drogi dobrze widać ich dom. Szwagier Gorzycy nawet podszedł (pies go znał i nie zaszczekał). Widział podobno Gorzycę, który siedział przy stole z głową wspartą na rękach i coś mówił do kobiety, choć nie było jej widać - może leżała na łóżku płacząc? (Ktoś mówił, że nazajutrz miała oczy czerwone i zapuchnięte.) W każdym razie tak opowiadał szwagier. Do domu nie chciał wchodzić. Postąpił chwilę kilka kroków od okna i odszedł.

Potem już wszystko było wiadomo. Nawet dzieci ze szkoły widziały i opowiadały, jak ci trzej pili wino pod stodołą i przysuwali się do niej, a w końcu jeden po drugim szli z nią na siano. Słysząc było jej śmiech - syn sklepowej opowiadał, że podkradł się z tyłu i przez szparę w deskach od stodoły widział, jak to robili. Podobno śmiała się bez przerwy i tak niby opędzając się od nich biła każdego po rękach. Ale w końcu

każdy zrobił swoje, a i-łmci na zewnątrz uważali, żeby dzieci nie podeszły za blisko. I o tym winie przypominały sobie kobiety, jak najmłodszy z tych trzech przychodził dwa razy i za każdym razem brał butelkę za dwadzieścia trzy złote.

82

- Jeszcze mu powiedziałam: „Oj, wy pracownicy, pracownicy!” -mówiła sklepowa - a on tylko śmiał się. Skąd mogłam przypuszczać, że piją z nią?

- Czasem kobieta dostaje gorączki - mówili potem ludzie.

I tak to wszystko się stało: wino w kubku w kwiatki, który kazała przynieść małej, herbatniki w celofanie, jakieś miłe słówka, jej śmiech. Pierwszy, zdaje się, poszedł z nią Zymek. Weszli do stodoły, w cień, poczuła trochę chłodu na czole. Dzieci przez cały czas słyszały jej śmiech. Potem chodzili do niej tamci dwaj: Tadzio Krawczyk i ten najmłodszy, którego posyłał po wino.

Zymka to ludzie u nas znają dobrze, bo zawsze szumi na zabawach. J Tadzia Krawczyka znają także, to uczciwy chłopak, mówią o nim. Zostawili ją śpiącą na sianie i poszli robić przepust.

- Więc jak to było? - mógł pytać Gorczyca. - Powiedz, jak było. Ona pewno płakała. Oddechy śpiących dzieci, jakaś ćma bijąca skrzydłami o lampę, Gorczyca przy stole pod oknem. Tak mogło być.

- Nie wiem, nie wiem, jak to się stało - mogła powtarzać. Pewno trzymała głowę wtuloną w poduszkę.

- Ale czy pozwoliłaś im na to, czy oni sami?

- Nie wiem, nie wiem - mówiła.

Może wtedy ją uderzył? Mógł złapać za włosy, nieco unieść jej głowę i uderzyć żyłastą ręką. Czuł pewno te ciepłe, wilgotne policzki pod dłonią. Może zrobiło mu się żal?

- Więc chciałaś czy nie? - krzyczał. - Chyba wiesz, kiedy chcesz, a kiedy nie?

- Nie chciałam - powiedziała pewno, a on mógł uwierzyć, że to była prawda.

I potem znów mogli milczeć długo, może już wcale więcej nie mówili? Gorczyca siedział z głową podpartą na rękach, ćma biła o lampę, słysząc było oddechy dzieci i jej pochlipywanie w poduszkę.

I wtedy pewno sobie to wszystko obmyślił i postanowił.

W KPRD był następnego dnia zaraz po ósmej. Musiał zwolnić się u majstra, który skłął go. Akurat układali beton na dwudziestej trzeciej sekcji. Gorczyca robił przy betonie.

Widzieli go potem, jak biegł przez plac w stronę baraków. KPRD to firma, która budowała drogę. Teraz robią most i te przepusty. Mają dwa baraki i plac na terenie budowy obok sortowni kruszywa. Jakies

83

trzysta metrów od zapory. Jednemu od nas opowiedział wszystko inżynier Gołębiowski - kierownik.

Gorczyca zdjął czapkę i chwilę stał w drzwiach. Inżynier siedział za biurkiem pod otwartym oknem. Z dworu słysząc było łoskot kruszarki. W kącie maszynistka stuknęła na maszynie.

- Z początku nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi - opowiadał inżynier temu od nas. Siedział za biurkiem bez koszuli (choć koniec sierpnia, był upał) - chudy, wysoki

mężczyzna. Śmiał się głośno. W kancelarii czuć było smołę zmagazynowaną w beczkach na placu. Gorczyca pytał o jakieś nazwiska.

- O jakie nazwiska wam chodzi? Mówcie jasno, do cholery! - huknął na niego.

- O tych trzech, co robili przepust koło mego domu - powiedział.

- Po co wam ich nazwiska?

Podobno zastanawiał się chwilę. Potarł zarośnięty policzek, odkaszlnął.

- Zgwałcili mi żonę - powiedział.

Dziewczyna przestała stukać na maszynie. Odwróciła się i spojrzała na niego.

Inżynier także był zaskoczony.

- Zgwałcili wam żonę? - powtórzył. - Jesteście tego pewni?

- Tak. Będę ich skarżył. Dlatego muszę znać nazwiska.

Stał blisko drzwi, brudny i nie ogolony, w tym swoim wypłowiałym drelichu i gumiakach. Oni patrzyli na niego. Z dworu dobiegał łoskot kruszarki, wiatr poruszał firankami w oknie. Czuć było smołę.

- Kazałem mu opowiedzieć dokładnie, jak było - mówił inżynier do tego od nas. -

Powiedział, że zaciągnęli ją do stodoły. Może wy coś o tym słyszeliście?

Ten od nas nie wiedział jeszcze nic. To było zaraz następnego dnia.

- Przedtem podobno pili wino. Nie powiedziałby tego, gdybym go nie zapytał wprost. Próbowałem mu tłumaczyć: „Wiecie, jak to jest z kobietami. Było gorąco, wypila za dużo wina. Poszła z własnej woli, nie przymuszona przez nikogo. Nie musieli wcale jej gwałcić”.

Dziewczyna nad maszyną chichotała. Zakryła dłonią usta, żeby nie śmiać się głośno.

Gorczyca przestępował z nogi na nogę.

- Tak było, jak mówię, panie inżynierze - powiedział. - Nie chciała z nimi iść.

- Zastanówcie się dobrze. Łatwo jest na ludzi rzucać oskarżenie. Jak poszła sama, to nie było gwałtu>

84

Gorczyca milczał. Miął cyklistówkę w rękach. Na dworze hałasowała kruszarka.

Ktoś zajrzał do kancelarii i wiatr strącił kilka kartek z biurka.

- Nawet tych kartek nie podniósł - opowiadał inżynier. - Stał w drzwiach jak kołek.

Zrozumiałem, że go nie przekonam. Na upór nie ma lekarstwa. Powiedziałem, żeby przyszedł jutro.

Podobno nie chciał wyjść. Stał w drzwiach w brudnym drelichu, pocił się i przestępował z nogi na nogę.

- Na co czekacie? - huknął znowu inżynier. - Przecież powiedziałem wyraźnie: przyjdźcie jutro! Jak będę coś wiedział, to wam powiem.

Wtedy dopiero jakby się ocknął. Nałożył czapkę, uklonił się.

- Ja bardzo proszę, panie inżynierze! - powiedział.

I wyszedł. Tamci patrzyli za nim, jak szedł przez plac. Potknął się o jakiś kamień.

Inżynier postukał się w czoło, dziewczyna chichotała. Ona także powtórzyła wszystko dziewczynom od nas.

Potem już było wiadomo, że w KPRD nie dowiedział się niczego. Podobno jak był tam drugi raz, inżynier powiedział, że ci od przepustów często zmieniają się między sobą i dlatego nie mógł ustalić, którzy to byli wtedy. Musiał z chłopakami rozmawiać, śmieli się ludzie. Swój swego nie wyda - wiadomo. Gorczyca postać

chwile w drzwiach i wyszedł bez słowa.

Odtąd już było jasne, że chce chłopaków skarżyć o gwałt. Rozniosło się o tym - kobiety w spółdzielni gadały cały dzień. Czasem wyglądały, czy Gorzycowa nie idzie, ale ona nie pokazywała się nigdzie, tylko ta mała Marzenka przychodziła do sklepu po cukier i chleb, kobiety ją obstępowały, pytały o matkę, czy płacze, co robi, czasem kazały jej powtarzać, jak było tamtego dnia.

I śmieli się ludzie z tego, bo w końcu dla każdego było jasne, że ona z nimi piła i poszła na siano z własnej woli, nie przymuszona przez nikogo, a tylko Gorczyca nie mógł tego zrozumieć i coś sobie uroił, chyba po to, żeby większy był z tego śmiech, wstyd i więcej było gadania.

W niedzielę przyszedł do kościoła bez niej. Trzymał dzieci za ręce. Stanęli na końcu, blisko drzwi. Jak kto na niego spojrział, udawał, że nie widzi. Stał tam do końca mszy. Kiedy wyszli, ludzie już byli na placu przed kościołem. Znowu patrzyli za nim, jak idzie wyprostowany, w niedzielnym garniturze,

85

w białej koszuli i krawacie, ogolony i czysty, bo była niedziela. Trzymał dzieci za ręce. Przeszli tak bez słowa przez cały plac, nawet przy straganach nie stanął, choć dzieci go ciągnęły. Chłopiec miał spodenki na szelkach i starannie przyczesane włosy.

Nie zatrzymał się także, kiedy kilku na niego zawołało. Stali z papierosami, wszyscy także w garniturach, w białych koszulach i kamizelkach, tylko marynarki pozdejmowali po mszy i trzymali na ramionach.

- Gorczyca, chodź tu do nas! - Zdaje się szwagier zawołał na niego, ale on nawet nie odwrócił się. *

Wtedy ktoś zapytał: - Spieszysz się do swojej, co? ?

A drugi powiedział: - Pilnuj jej, pilnuj!

I wszyscy, którzy tam stali obok, roześmieli się. Jemu może zdawało się, że śmieją się na całym placu - kobiety i mężczyźni - i że patrzą tylko na niego. Nie odwrócił się i nie powiedział nic. Doszedł do drogi ciągnąc za sobą dzieci, które opierały się i wrywały do straganów. Ruch był duży tej niedzieli. Odchodząc drogą musieli długo słyszeć trąbki i gwizdki, które inne dzieci kupowały. A także strzały z korkowców.

W poniedziałek, a może we wtorek, kobiety ze spółdzielni widziały sierżanta Józefskiego z posterunku od nas, jak jechał na rowerze drogą, wolno pedałowując, z podwiniętymi połami płaszcza i z paskiem od czapki służbowo zapiętym pod brodą. Widziały także, jak naprzeciw Gor-czyców zsiadł z roweru i poszedł ścieżką nad przepustem. Potem usłyszały szczekanie psa.

Gorzycowa akurat prała - stała pochylona nad balią z mydlinami, tylko w różowym staniku. Józefski popatrzył na jej białe, pełne ramiona i szyję.

- Dzień dobry - powiedział. - Muszę z wami pomówić. Gorzycowa była przestraszona. Stała nad balią, mydliny kapwały jej z rąk. Poszła do izby włożyć bluzkę.

- Wasz mąż wniósł skargę - powiedział Józefski, kiedy wróciła. Rozsiadł się na ławie pod okapem, na kolanach trzymał teczkę i rozłożony zeszyt.

- Jaką skargę? - spytała. Kj-zyknęła na psa, który szczekał bez przerwy i trudno było rozmawiać,

- Skarży jakichś trzech, których nazwisk nie zna, że was zgwałcili. Gorzycowa wzruszyła ramionami, - Chini. Nikt mnie nie zgwałcił.

86

r

- Podpiszecie takie oświadczenie? - zapytał Józefski. - Wasz mąż może odpowiadać za fałszywe zeznania.

Zawahała się. Stała kilka kroków od ławki i jeszcze wilgotnymi rękami zapinała bluzkę. Mydliny z balii zdmuchiwał wiatr na trawę i na białe, przygotowane do płukania prześcieradła.

- Zastanówcie się dobrze - powiedział Józefski. - Mąż mówił, że to ci, co robili przepust na potoku. Oni was skrzywdzili podobno. Nie ma się czego wstydzic. Znów wzruszyła ramionami. - To nieprawda - powiedziała. - Byli, zrobili przepust i poszli.

Odwróciła się i podeszła do balii. Zaczęła prac. Było trochę wiatru tego dnia. Józefski czuł zapach świeżo wypranej bielizny i mydlin. Droga przejeżdżały samochody, a tak było cicho, bo pies przestał szczekać.

- I nic? - zapytał jeszcze.

Ona już stała odwrócona i powiedziała przez ramię: - Nic.

Więcej nie mówili. Józefski napisał notatkę. Pisał długo, śliniąc od czasu do czasu kłopoty ołówka. Na końcu postawił datę i wykropkował miejsce na podpis.

- Podpiszcie tu - powiedział. Przeczytał notatkę na głos. Gorzycowa wytarła ręce w fartuch i podpisała. Potem Józefski odszedł. Pies jeszcze zaszczekał za nim, ale zaraz umilkł.

O tej rozmowie kobiety dowiedziały się po południu od Marzenki. Podobno siedziała w kuchni przy oknie i słyszała wszystko, bo okno było uchylone. Matka zabroniła jej wyjść.

- Mogłam pana Józefskiego pogłodzić po głowie - powiedziała. - Wystarczyło wyciągnąć rękę, tylko trochę pelargonie przeszkadza-

iy.
Ale kiedy Józefski wracał stamtąd i na chwilę wstąpił do spółdzielni napić się piwa, kobiety nie wiedziały jeszcze nic. Te, które były na dworze, weszły zaraz do środka. Józefski stał oparty o ladę, zdjął czapkę i nie śpiesząc się pił piwo z butelki. Żadna z kobiet nie miała odwagi zapytać go. Kręciły się niespokojnie po sklepie. W końcu sklepowa nie wytrzymała:

- No i co, panie komendancie, przyznała się? Józefski popatrzył na nią. - Niby do czego? Kilka kobiet roześmiało się.

- Jak to do czego. Że byli u niej - powiedziała sklepowa.

l

87

Józefski odstawił pustą butelkę i nałożył czapkę.

- Nikt u niej nie był. Mam jej podpis.

Kobiety zamilkły na chwilę. To było wszystko, co Józefski powiedział w sklepie. Kiedy szedł do drzwi, zaczęły mówić jedna przez drugą;

- Sama im wino sprzedawałam - powiedziała sklepowa.

- Jeszcze dzieci ze szkoły ich widziały.

- Po kolei szli z nią na siano! Co będzie gadać!

- Jasne! Wszyscy widzieli.

- Za kubek wina poszła!

- Kurwa! - powiedziała któraś.

Józefski nie słuchał. Wyszedł ze sklepu, wsiadł na rower i odjechał. Kobiety zostały w sklepie i stały krzycząc, jakby nagle ogarnięte furją, podczas gdy Józefski znikł za zakrętem, wyprostowany, wolno pedałowując, z tymi podwiniętymi połami płaszcza i paskiem czapki służbowo zapiętym pod brodą.

Nie pokazywał się wiele od tamtego dnia ani on, ani ona - małą wysyłali do sklepu i tylko ten jeden raz, co był z dziećmi w kościele, ludzie od nas widzieli go. Dlatego zdziwiliśmy się, kiedy przyszedł do knajpy, którą niejaki Dusza prowadzi i gdzie zawsze są ludzie i od nas, i z budowy. Było to, zdaje się, drugiej niedzieli po tym - siedzieliśmy w kilku przy stole, był tam też Dusza, tęgi, gruby chłop, czerwony na twarzy, Władek Gąska - majster z budowy, szwagier Gorczycy i jeszcze kilku.

Popijaliśmy piwko i gwarzyli o tym i owym, jak zwykle w niedzielę.

Dusza prowadzi knajpę w swoim domu. Między dwoma pokojami na parterze wybił szerokie drzwi, ustawił bufet i stoliki, a nad drzwiami przybił szyld: „Dusza Zygmunt, Restauracja III kat.”

Stolik, przy którym siedzieliśmy, jest w mniejszym pokoju pod oknem. Na parapecie stoją pelargonie, tak że nie widzieliśmy, jak szedł drogą. Otworzył drzwi i chwilę stał w na wpół uchylonych, zaglądając do środka, odświętnie ubrany, jak zwykle w niedzielę - w czarnym garniturze i białej koszuli z krawatem.

- Jezu! Janek przyszedł! - powiedział szwagier i trącił Duszę. Odwróciliśmy się wszyscy i chwilę patrzyliśmy na niego, póki tak stał w drzwiach. Obok, w drugiej izbie, śpiewali.

- Chodź, Jasiu, chodź! - zawołał na niego szwagier.

88

Gorczyca zamknął drzwi i podszedł do nas. Dusza podsunął mu krzesło.

- Siadaj, człowieku - powiedział.

Usiadł i wtedy zobaczyliśmy, że jest trochę pijany - błyszczały mu oczy i głowa lekko się chwiała. Ręce położył na kolanach.

- Adelko, daj no jeszcze jedno piwo! - zawołał Dusza na dziewczynę z bufetu.

Chwilę nie mówiliśmy nic, jakoś żaden nie chciał zacząć pierwszy. Patrzyliśmy, jak dziewczyna stawia przed Gorzcycą kufel z piwem.

- Pij, człowieku - powiedział Dusza i poklepał go po ramieniu.

Wtedy dopiero zaczęliśmy mówić. Któryś dokończył o wypadku na budowie.

Kamień spadł z kubła na dźwigu, jak podawali beton, i trafił jednego w głowę. Odwieźli go do szpitala.

Mówiliśmy znów o tym i owym, ci obok śpiewali. Tylko on siedział sztywny, w czarnym garniturze i białej koszuli, oczy mu błyszczały i głowa chwiała się lekko. Nawet piwa nie tknął.

W końcu jego szwagier nachylił się do niego i zapytał:

- No co, Jasiu, dałeś sobie spokój?

Widocznie wszyscy czekali, że któryś zacznie z nim o tym mówić, bo zrobiło się cicho. Popatrzyliśmy na niego. Nie powiedział nic.

- Jasiu! - mówił szwagier. - My tu wszyscy życzliwi dla ciebie. Posłuchaj, co ci każdy powie. Zapomnij o tym! Jak ty zapomnisz, to ludzie też przestaną mówić.

Nie odezwał się. Siedział sztywny jak przedtem, głowa mu się lekko chwiała i błyszczały oczy. Dusza także nie wytrzymała:

- Zastanów się, człowieku! Przecież wszyscy wiedzą, że ci się baba puściła! Ludzka rzecz. Może się zdarzyć w najlepszej rodzinie. Któryś zaśmiał się.

- Wygrzmociłbym babę i po krzyku! - powiedział Dusza.

- Słuchaj, co ci każdy powie - mówił jego szwagier. - Wszyscy tu dla ciebie życzliwi!

- Tak jest! - powiedział któryś.

Wtedy wstał. Jakoś tak gwałtownie i niespodziewanie, aż umilkliśmy i tylko patrzyli na niego zaskoczeni. Wywrócił krzesło. Ci obok przestali śpiewać, któryś zajrzał przez drzwi.

Nie powiedział i tym razem nic. Odwrócił się i wyszedł - sztywny, wyprostowany, w czarnym ganiturze. Wszyscy byliśmy zaskoczeni. Żaden nawet słowa nie powiedział. Milczeliśmy. Zostało po nim przewrócone krzesło i nie tknięty kufel piwa na stole.

89

Kiedyś wrócił do domu wcześniej - kobiety ani dzieci nie było. Rozejrzał się, pogłodził psa i usiadł na ławce pod okapem. Patrzył na mały ogródek naprzeciw okien, w którym rosły żółte dalie. Były tam także aksamitki i kilka dojrzałych słoneczników, pochylonych nisko.

Siedział patrząc na kwiaty w ogródku, z głową opartą na rękach, brudny i nie ogolony, jak zawsze, bo był powszedni dzień, w gumiakach i drelichu.

Tak go zastała mała, kiedy przyszła z wiadrem pełnym śliwek. Była z matką w sadzie za domem i zrywały śliwki z kilku drzewek.

- Tato, tato! - zawołała, kiedy zobaczyła go. - Zobacz, ile mamy śliwek!

Podbiegła do niego z trudem dźwigając wiadro i pokazała śliwki. Jakoś tak oparła się o niego ramieniem, trochę zadyszana, przytuliła na chwilę policzek do jego szorstkiej, nie ogolonej twarzy. Była w tej, co zawsze, niebieskiej sukience.

I wtedy podobno zapłakał. Zobaczyła dopiero po chwili, że płacze. Objął ją i przytulił mocno.

- Tato - powiedziała po chwili - prawda, że ładne śliwki?

Popatrzyła na niego i zobaczyła, że płacze. Wyglądało to śmiesznie, jakoś wykrzywił usta, łzy błyszczały na nie ogolonych policzkach, jakby zwilżył twarz wodą.

- Czemu płaczesz?-spytała.-Nigdy tak dużo śliwek nie mieliśmy.

Odsunął ją łagodnie. Nic nie mówił. Starł łzy rękawem kurtki. Dalie w ogródku chwiały się lekko, jakby trącone ręką. Wziął garść śliwek z wiadra.

Mała opowiedziała o tym kobietom w spółdzielni. Zaszła tam wieczorem, przed samym zamknięciem sklepu. Kupiła cukier i coś jeszcze. Otoczyły ją i słuchały, jak opowiadała.

- Nie wiem, czemu płakał - powiedziała. - Naprawdę nigdy tak ładnych śliwek nie mieliśmy.

Kobiety milczały. Słysząc było, jak brzęczą muchy na szybach.

Ktoś mu w końcu powiedział. Wiadomo było, że w końcu ktoś mu powie, każdy wie, jacy u nas są ludzie. Mogli mu także na budowie powiedzieć, bo sprawa była znana wszystkim.

Pod wieczór widzieli go na drodze z małą w niebieskiej sukience (on w drelichu i nie ogolony jak zawsze). Stali i zatrzymywali samochody jadące w kierunku budowy. Kiedy któryś stanął, Gorczyca podał mu małą, a potem sam wszedł do szoferki i zatrzasnął drzwi. Milczał przez cały czas. Ten kierowca opowiadał później, że próbował do niego zagadywać, ale Gorczyca nie odezwał się do końca, jakby ogłuchł. Wysiedli na krzyżówce za mostem.

Ludzie z baraków widzieli ich, jak szli od krzyżówki w stronę osiedla. Gorczyca trzymał małą za rękę.

Te baraki stoją w kilku rzędach. Dozorca, Marciniak, wpuścił go bez słowa. Pewno sam był ciekaw, co Gorczyca robi. Nawet podprowadził ich pod barak, gdzie tamci mieszkali.

Barak Zymka i innych takich jak on stoi na końcu osiedla. Ludzie mówią o tym baraku czarny, bo jest kryty papą, a nie eternitem jak inne. I mieszkają w nim tacy najgorsi z budowy i KPRD, często po prostu bandziory i łobuzy, także takich tam dają, co wiadomo, że pobędą na budowie kilka dni i pojedą.

Marciniak został na dworze. Pokazał Gorzycy tylko drzwi, w które ma wejść. Już było ciemno i Marciniak poszedł zapalić latarnię. Kiedy wrócił, pod oknami czarnego baraku stało dużo ludzi.

Gorczyca podobno wszedł do izby, jak tamci grali w karty. Siedzieli przy stole pod lampą. Nie zwrócili na niego uwagi, kiedy wszedł, bo ciągle tam któryś z nich wchodził albo wychodził. Oni stanęli w drzwiach i ta mała zaraz powiedziała pokazując palcem na Zymka:

- To ten!

Zymek siedział twarzą do drzwi. Potem rozejrzała się i zobaczyła najmłodszego, który leżał na łóżku z rękami skrzyżowanymi pod głową. Pokazała go także palcem.

- I ten był!

W ciszy, jaka zapadła, przeszła jeszcze kilka kroków wzdłuż łóżek pod ścianą. Nawet zajrzała w twarz jednemu, który spał. Wróciła do Gorzycy i powiedziała:

- Trzeciego chyba nie ma.

Chodziło c Tadzia Krawczyka, który rzeczywiście gdzieś wyszedł na chwilę. Ludzie śmieli się potem, że Tadzia obleciał strach i schował się w wychodku.

Wszyscy patrzyli na Gorzycę w drzwiach. Ci przy stole przerwali grę. Kilku usiadło na łóżkach. W ciszy słychać było, jak deski skrzypią, kiedy Gorczyca szedł od drzwi w stronę stołu. Zatrzymał się. Mówili, że

oddychał głośno, jakby się zmęczył. Ten, który spał, zachrapał krótko. Na dworze ktoś się zaśmiał.

Zymek wstał. Wziął ze stołu butelkę (stała tam półlitrowka i leżał pokrajany chleb) i nalał do szklanki trochę wódki. Z tą szklanką podszedł do Gorzycy i wyciągnął rękę. Ludzie z dworu widzieli, jak oni stali naprzeciw siebie - mały Gorczyca w drelichu i gumiakach, nie ogolony i brudny, i Zymek, postawny chłop, w koszuli z podwiniętymi rękawami, ze szklanką wódki w rękę.

- Panie Gorczyca - powiedział Zymek i uśmiechnął się. - Panie Gorczyca...

- To wy robiliście przepust koło mego domu? - zapytał Gorczyca nie dając mu

skończyć.

- Tak - kiwnął głową Zymek.

- W takim razie - powiedział Gorczyca - musicie powiedzieć, że nie ruszaliście mojej żony. Że to nieprawda, co ludzie mówią - dodał.

Znów zapadła cisza. Stali naprzeciw siebie - Zymek ze szklanką wódki w wyciągniętej ręce i Gorczyca, mały, przed nim, niemal zadzierając głowę. Wszyscy patrzyli na nich. Gorczyca odczekał chwilę.

- Albo - powiedział - będę was skarżył, bo to nieprawda, że ona chciała, że zgodziła się sama. To nieprawda! - powtórzył głośno. - To nieprawda!

Prawie krzyczał, mówili ludzie. Znów zapadła cisza. Nikt nie odzywał się. Ktoś z dworu uchylił okno, żeby lepiej słyszeć.

Zymek rozejrzał się po izbie. Chwilę patrzył na Gorczycę, potem zaczął się śmiać. Wtedy i ci z łóżek zaczęli się śmiać, izba aż zatrzęsała się od śmiechu. Śmieli się tak dobrą chwilę.

- Panie Gorczyca! - powiedział Zymek, jeszcze krztusząc się od tego śmiechu. - Niech się pan z nami lepiej napije! Przejdzie panu złość. Pogodzimy się. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr! - Wyciągnął rękę ze szklanką.

I znowu chwilę było cicho, tylko wszyscy patrzyli na nich. Może wtedy przypomniał sobie to, jak wrócił z roboty do pustego domu - ten nowy przepust na potoku, gęsi jak białe czółenka, psa dzwoniącego łańcuchem? I te dwie puste butelki po winie pod stodołą, i kubek w kwiatki, który zawsze wisiał na 'piecem? I może zobaczył znów swoją kobietę śpiącą w sianie, z rozrzuconymi nogami, przypominał sobie jej ciepły oddech, przepojony zapachem wina, to, co poczuł, kiedy pochylił się nad nią? Może to wszystko stanęło mu w oczach - tamten dzień

92

cały i potem jeszcze raz przeżył wszystko od początku, cały swój urojony ból i mękę? Ludzie zobaczyli, jak zamachnął się i wybił z ręki Zymka szklankę. Wódka chlusnęła na koszulę Zymka. Szklanka dzwoniąc potoczyła się w kąt i rozbiła na drobne kawałki. I widzieli ludzie także, jak odchylił się trochę do tyłu, a potem plunął Zymkowi w twarz. Jakoś wykrzywił się przy tym i zatrzęsł, jakby chciał całą swoją złość wypluć.

Potem już nikt nic nie widział, bo ci z baraku zgasili światło i zaczęli go bić. Małą wypchnęli na dwór. Krzyczała i opierała się. - Tatusiu! - wołała. - Tatusiu!

Kobiety, Marciniakowa i inne, wzięły ją i odprowadziły na bok. Później, kiedy już się uspokoiło, zaprowadziły małą na krzyżówkę i wsadziły do ciężarówki. Kierowcę prosiły, żeby stanął przed domem Gorzyców. I po co ciągnął to dziecko ze sobą? - mówił każdy. - Co taki dzieciak winien?

Jego nikt nie żałował. Należało się - mówili ludzie. - Jakże tak? Zymek do niego z wódką jak z chlebem i solą, na zgodę, a on co? W twarz mu napluł.

Bili go tam po ciemku długo i dobrze. Ci z dworu słyszeli tylko łomot. Marciniak pobiegł niby dzwonić po milicję, ale w końcu nie zadzwonił nigdzie. Zymek ma twarde ręce i wszyscy z tego czarnego baraku lubią się bić. Nawrzucali staremu, ile mogli.

Potem wywlekli go i rzucili gdzieś nad rzeką. Podobno przeleżał tam do rana. Nikt do niego nie poszedł. Nikt. Leżał na małej kamiennej plaży za barakami aż do świtu.

I to już tylko mogliśmy sobie wyobrazić, jak zbudził się - cały posiniaczony, opuchnięty, jeszcze z krwią w ustach - mógł trochę unieść się na rękach i popatrzeć na rzekę. We mgle, gdzieś dalej, widać było kontury zapory - wielki betonowy masyw. Gorczyca mógł patrzeć przed siebie na tę zaporę i na rzekę płynącą cicho po kamieniach. Może obejrzał się i popatrzył na baraki?

Ktoś go podobno widział, jak klęczał tam, tuż nad wodą, i przykładał zmoczone ręce do opuchniętej twarzy. Potem na chwilę mogło wyjrzeć słońce 7 tej mgły, Gorczyca zobaczył nad sobą takie jasne okno i poczuł na policzkach trochę ciepła, jak od dotknięcia ręki kobiety.

I prosto stamtąd, mówili, poszedł do roboty.

1967

Chłopiec z gołębiem

Koniecznie chciał mieć gołębie. Całe stado, jak starsi chłopcy z jego ulicy. Tu, na przedmieściu, gdzie mieszkaliśmy, żyło wielu gołębiarzy. Starych i młodych. Na każdym podwórku były gołębniki. O zmierzchu, w pogodne dni, stada gołębi krążyły nad dachami domów. Słychać było gwizdy gołębiarzy. Chłopcy machali szmatami na długich kijach. Na skrzydłach ptaków zapalały się i gasły promienie zachodzącego słońca.

Chodził smutny od kilku dni. Wracał osowiały ze szkoły. Zawsze był taki, jeśli coś mu nie szło.

- Co ci jest? - spytałem. - Dlaczego jesteś smutny? Popatrzył na mnie roztargniony, jak ktoś nieobecny. '

- Chciałbym mieć gołębie - powiedział. - Jak inni chłopcy. JarieTc Kucharski ma całe stado i Tadek Piwko. Pogłodziłem go po głowie.

- Jeszcze jesteś za mały. To starsi chłopcy. Poczekaj ze dwa lata. Na razie zbuduj gołębnik.

Okna naszego mieszkania wychodzą na mały ogródek między chodnikiem a ścianą domu. Matka sadziła tam zawsze nasturcje i nagietki. Także słoneczniki, które nigdy nie dojrzewały, bo zawsze ktoś zrywał je, jeszcze kiedy kwitły, i potem sterczały tylko nagie kikuty. W tym ogródku postawił gołębnik. Budował cały tydzień. Zbił z kawałków desek i dykty. Dach obił papą, ściany pomalował zieloną farbą. Matka krzyczała, że rąk nie może domyć. Ten gołębnik przypominał raczej karmnik dla ptaków - stał na słupku, który pomogłem mu przynieść z pola za domem.

- Bardzo dobrze - pochwaliłem, kiedy skończył. - Teraz brakuje tylko gołębi.

Porozmawiaj z chłopcami. Może któryś odstąpi ci parkę?

Chodził szczęśliwy przez kilka dni. Prosto ze szkoły szedł pod gołębnik i siedział przy nim do późna. Jeszcze coś poprawiał, przybijał

94

jakieś deszczułki, ustawiał blaszane miski na wodę i groch. Matka musiała wołać go po kilka razy na obiad. Kiedy padał deszcz, stał przy oknie zaniepokojony, czy dach gołębnika nie przecieknie. W nocy zobaczyłem, jak stał z twarzą przyciśniętą do szyby i patrzył na swój gołębnik. Ramiona mu drżały z chłodu - stał boso, w przykusej piżamie. Krzyknąłem ostro, żeby zaraz wracał do łóżka.

Ale to był pusty gołębnik, bez ptaków - czasem tylko wróble siadały na krawędziach blaszanych misek i piły wodę unosząc łebki w górę. Powoli jego radość ustępowała

trosze. Martwił się, że to gołębnik bez ptaków i bez życia. Musiał to uświadomić sobie i znów zaczął chodzić osowiały i smutny. Także chłopcy zaczęli się z niego śmiać.

- To kurnik, nie gołębnik - mówili. - Cip, cip, kurki!

- Te, gdzie masz gołębie?

- Wróblarz, wróblarz! - wołali za nim.

Z trudem powstrzymywał łzy. Nie chciał wychodzić na podwórze. Wolał przesiadywać w oknie i patrzeć, jak wróble piją wodę z blaszanych misek.

W końcu ktoś uszkodził gołębnik. Pewno któryś z chłopców z podwórka. Musiał w nocy podkraść się i uderzyć kamieniem. Rano zobaczyliśmy, że słupek, na którym stał, jest pochylony, a blaszane miski leżą na ziemi. Jedna ze ścianek była wgnieciona do środka, z daszku zwisał kawałek oderwanej papy.

Nic nie powiedział. Chciałem go jakoś pocieszyć, pogładziłem po głowie:

- Głupstwo! Na pewno szybko naprawisz!

Ale on wyszedł bez słowa i siedział na niskim płotku naprzeciw gołębnika, z godzinę, może dwie. Nie odzywał się do nikogo. Matka kilka razy wołała go na śniadanie. Nie chciał przyjść.

Nie szedł tego dnia do szkoły - było święto. Wydawało się, że na wszystko stracił ochotę - nawet na gołębie. Dopiero po obiedzie, przy którym próbowaliśmy go zagadywać, ocknął się jakby, wziął narzędzia ze swojej skrzynki i zabrał się do roboty.

Kiedy wrócił wieczorem, był bardzo zmęczony.

- Naprawiłeś? - spytałem.

Skinał głową. - Co z tego? I tak będzie stał pusty.

- Spróbuj pohandlować - poradziłem mu. - Na pewno masz jakieś niepotrzebne rzeczy, które mógłbyś wymienić na gołębie.

95

Zastanawiał się chwilę. - Może organki? - zapytał. i ar

- Jeśli ci nie żal, mogą być organki. »

- Zupełnie nie mam słuchu - powiedział. o

Wyjąłem z portfela dwadzieścia złotych. - Może ci się przyda na dobiecie targu? Ucieszył się. Objął mnie za szyję i pocałował. Poczułem jego gładki policzek i muśnięcie włosów na czole.

Zaraz następnego dnia ruszył w obchód podwórek. Był w kilku miejscach. Zazdrośnie patrzył, jak gołębiarze wabią gołębie pod siatki, rzucając kaszę i groch, lub jak wypuszczają stado gwizdząc i machając szmatami. Stał zapatrzony zadzierając głowę. Białe stada krążyły nad dachami. I widział pewno gołębie w rękach gołębiarzy. Białe siwki o czerwonych oczach i nastroszone garłacze z wielkimi wolami pod szyją. Krążyły z rąk do rąk - mężczyźni wymieniali fachowe uwagi, targowali się, ustalali ceny.

Nie śmiał nikogo zaczepić proponując organki za parkę. Wiedział, że wypadłoby to śmiesznie, po prostu głupio.

Komu są potrzebne organki? - myślał. - A dwadzieścia-złotych to na pewno za mało. Nawet za jednego gołębia.

W jednym miejscu zdecydował się podejść do grupy chłopców przy gołębniku. Stał

między nimi wysoki chłopak, którego znał ze szkoły. Wyrzucono go za bójkę. Nie zwrócili na niego uwagi - stali z zadartymi głowami i śledzili lot stada krążącego nad podwórkiem. Palili papierosy, śmieli się. Dopiero kiedy stado opadło i dryblas opuścił za ostatnim gołębiem metalową siatkę - zdecydował się podejść bliżej.

- Cześć! - powiedział do dryblasa. - Czy nie dałbyś mi jednej pary za organki i dwadzieścia złotych?

Dryblas popatrzył na niego zdziwiony. Inni chłopcy roześmieli się. Chwilę stał między nimi otoczony śmiechem. Miał ochotę odwrócić się i uciec. Któryś pochylił się i dmuchnął mu dymem w twarz: - Kolega? - zapytał. - Wsadź sobie organki, wiesz gdzie!

Inni śmieli się bez przerwy. Tylko dryblas nie. Skrzywił się i powiedział: — Pokaż. Wyciągnął organki z kieszeni i podał mu. Dryblas oglądał chwilę, przyłożył do ust, zagrał Głęboką .ludzienkę. Tamci zamilkli i słuchali.

- Mogą być. A dwie dychy gdzie masz?

Wyjął bez słowa zmięty banknot i podał także. Dryblas chuchnął w garść.

96

- W porządku. Jutro zgłoś się po gołębia. Inni roześmieli się.

- Oddaj mu! - powiedział któryś. - Jeszcze się rozplacze.

- Jak mówię, że dostanie gołębia, to dostanie. Jutro o siedemnastej.

Nie mógł się doczekać. W nocy pewno źle spał. Do późna szykował gołębnik.

Nawrzucał do środka trocin, ścianki obłożył słomą. Biegał do sklepu po kaszę i groch.

- To idę - powiedział o czwartej następnego dnia. Spojrzałem na zegarek. - Jeszcze masz godzinę czasu.

- Nie szkodzi, poczekam. Zresztą może on przyjdzie wcześniej?

Przyszedł na tamto podwórko, kiedy jeszcze nikogo nie było przy gołębniku. Usiadł na murku obok niskich komórek i czekał. Chłopcy zaczęli się schodzić po godzinie.

Jeden, nieduży i zaczepny, podszedł do niego i zapytał:

- A ty co tu robisz? Zjeżdżaj szybko!

- Zostaw! - powiedział inny. - On czeka na gołębie. Roześmieli się. W końcu przyszedł dryblas. Zobaczył go z daleka i podszedł rozkołysanym krokiem.

-No masz! I nie płacz! - Wyjął zza poły kurtki gołębia i podał mu.

Wziął tego gołębia w ręce ostrożnie, jak coś kruchego, co zaraz może rozpaść się czy stłuc. Trzymał oburącz i stał chwilę bez ruchu. Chłopcy otoczyli go ze śmiechem.

- No co, gołębiarzu! Nieś do gołębnika!

Jeszcze stał jak wrośnięty w ziemię. Czuł, jak powoli ciepło gołębiego ciała przenika w palce. Może nie mógł uwierzyć, że to naprawdę jego gołąb?

Był to nieduży szary ptak o kształtnym łebku i czarnych pręgach na szyi. Wydawał się osowiały i jakby pogodzony ze swoim losem. Nie wrywał się i nie ruszał wcale.

Przymykał co chwila oczy, jakby zapadał w sen. Białe błony powiek przesłaniały oczy błyszczące jak dwa paciorki.

- Dziękuję! - powiedział do dryblasa i odszedł powoli. Chłopcy rozstąpili się w milczeniu.

Szedł ostrożnie, niósł gołębia w wyciągniętych rękach. Przed naszym domem minął gromadę chłopców.

- Patrzcie! - zawołał ktoś. - Wróblarz ma gołębia! Roześmieli się, ale on nie zwrócił na nich uwagi. Przyniósł gołębia do domu i ostrożnie postawił na podłodze w kuchni.

- Drugie wrota w las

97

- Chodźcie prędko! Chodźcie! - zawołał.

Był szczęśliwy. Oczy mu się świeciły z radości. Siedział w kucki nad gołębiem, nie spuszczał z niego wzroku. Do wieczora trzymał w mieszkaniu. Matka narzekała, że gołąb brudzi podłogę. Karmił go kaszą i poił wodą. Czasem brał w ręce. Ptak nie wyrывał się i nie uciekał - wydawał się oswojony.

- Jaki on ładny, jaki piękny! - powtarzał. - Patrzcie, jakie ma oczy!

Podsował nam tego gołębia - chciał, żebyśmy także podziwiali. Białe powieki przesłaniały oczy ptaka.

- Śpij! - mówił. - Śpij, mój mały! - Przykładał ucho do piersi ptaka. Może czuł, jak delikatnie bije gołębie serce?

- Zanieś go już do gołębnika! - denerwowała się matka. - Spójrz, jak wygi; da podłoga!

Nie mógł się z nim rozstać.

- Zanieś - powiedziałem. - Przecież po to zbudowałeś gołębnik. Jutro i tak będziesz musiał dać mu polatać. ,

Poszedł i długo nie wracał. Widziałem przez okno, jak ostrożnie wkładał gołębia do gołębnika, przemawiał do niego, gładził po piórach. Długo i starannie zamykał kłapę przesłaniającą otwór. Sprawdził kilka razy, czy jest dobrze zamknięta. Jeszcze wrócił z blaszaną miską i nalał świeżej wody. Tej nocy także źle spał. f

Wstaliśmy obaj wcześniej.

- No i co? - spytałem. - Pójdiesz go wypuścić?

- Czy on naprawdę musi latać? - zapytał. Nie miał ochoty rozstawać się z gołębiem ani na chwilę.

Zaśmiałem się: - Czy ty naprawdę musisz chodzić? To przecież najważniejsze, żeby gołębie były oblatane. Tak to nazywają gołębiarze?

Skinął głową.

Poszliśmy razem do ogródka. Wziął kij, do którego już dawniej przybił starą szmatę (to, zdaje się, tej szmaty szukała matka przed myciem podłogi). Stanęliśmy przy gołębniku. Ostrożnie uchylił kłapę i włożył do środka rękę. Był skupiony, zmarszczył czoło. Zobaczyłem, jak uśmiechnął się nagle. -

- Dziobnął mnie w palec - oświadczył. Ostrożnie wyjął gołębia! i

- Daj mu się napić - powiedziałem.

Podsował pod dziób ptaka blaszaną miskę. Patrzyliśmy, jak gołąb pije unosząc łebek w górę. i r»f

98

- Zupełnie tak samo jak wróble - powiedział. Trzymał cały czas ptaka oburącz.

- Daj mu trochę pochodzić swobodnie - odezwałem się. - Nie możesz cały czas stać nad nim i nie puszczać z rąk.

Niechętnie cofnął ręce. Staliśmy i patrzyliśmy, jak gołąb pije. Kiedy skończył, otrząsnął się i nastroszył pióra. Zagruchał niespodziewanie głośno.

- Słyszysz? - ucieszył się. - To znaczy, że jest mu dobrze. Uśmiechnąłem się i

położyłem rękę na jego chudym ramieniu.

- No widzisz! Do wszystkiego można dojść. Trzeba tylko bardzo pragnąć.

Patrzyliśmy obaj na gołębia. I nagle uświadomiłem sobie, że to przecież zwyczajny szary gołąb, jakich tysiące żyje na ulicach naszego miasta. Ten dryblas oszukał mego syna. Pewno złapał gołębia pod czapkę wabiąc go na groch. To nie był żaden pawik ani napuszony garłacz, ani nawet zwykły biały siwek. Po prostu dziki szary gołąb. Chciałem coś jeszcze dodać, ale nie powiedziałem nic. Cofnąłem rękę. Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Teraz go wypuszczę. Niech trochę polata. Uśmiechnąłem się. - Jak chcesz.

- Przecież sam mówiłeś, że najważniejsza rzecz to, żeby były ob-latane. Prawda? Skinąłem głową. Wtedy wziął swój kij ze starą szmatą i machnął nad gołębiem. Ptak poderwał się przestraszony i wzbił się szybko w górę. Patrzyliśmy, jak odlatywał. Poleciał w stronę miasta. Znikł za dachami domów. Patrzyliśmy obaj w niebo. Widziałem, jak włożył palce do ust, żeby zagwizdać, i ten gwizd zamarł mu na wargach.

- Dlaczego nie krąży nad nami? - zaniepokoił się. Uśmiechnąłem się. - To, zdaje się, był dziki gołąb - powiedziałem po chwili.

- Ale on przecież zaraz wróci. Musi wrócić. Nie powiedziałem nic.

- Wróci, prawda?

Staliśmy przy małym gołębniku i patrzyliśmy w niebo. Nie mówiłem nic. Jeszcze nie mógł uwierzyć - zadierał głowę, osłaniał ręką oczy od słońca.

- Wróci na pewno - powtarzał. - Musi wrócić. Lecz niebo było puste.

yczeń, 1969

Otwórz i zamknij drzwi

Kiedy wiadomo było, że umrze, zebraliśmy się wszyscy w izbie, gdzie leżał, przy dużym drewnianym łóżku pod oknem, za którym wiatr poruszał gałązkami jabłonek. Staliśmy nad nim i patrzyli na jego bladą pomarszczoną twarz z kroplami potu na czole, na oczy w sieci zmarszczek, na ręce o skórze niemal czarnej z żyłami nabrzmiałymi, jakby całe dłonie miał pokryte guzami.

Oddychał ciężko. Nie patrzył na nas, tylko w to okno, za którym wiatr poruszał gałązkami jabłonek, i na skrawek niebieskiego nieba wyżej, po którym od czasu do czasu przelatywały jaskółki.

Milczeliśmy. Matka płakała. Najmłodszy brat ssał cukierka stojąc wsparty o krawędź łóżka. Ojciec wzdychał głośno, ktoś odmawiał wieczorną modlitwę.

Miał dziewięćdziesiąt sześć lat i do wiosny jeszcze trzymał się dobrze. Był ojcem matki mego ojca. Wszyscy inni jego krewni i znajomi poumierali dawno - on jeden został między nami, jak bardzo stare drzewo w młodym lesie. Wiadomo było, że umrze w końcu, tak jak każdy z nas kiedyś, nie można wiecznie żyć, ale do wiosny jeszcze trzymał się dobrze, chodził, siedział na progu przed domem, radia lubił posłuchać i pójść czasem do sadu.

Przyzwyczailiśmy się do niego - był jak to stare drzewo. Kiedy ojciec urodził się, on już był stary, i kiedy ja urodziłem się i wszyscy moi bracia i siostry - on tak samo siedział na progu z tą swoją pomarszczoną twarzą, z rękami pokrytymi guzami, bardzo stary i samotny wśród nas.

Przed kilku dniami poczuł M<J gorzej, mówił, że źle widzi i nie słyszy dobrze - w

końcu położył się i od tej chwili słuchaliśmy, jak jego oddech staje się chrapliwy i coraz szybszy. Ksiądz już był u niego. Teraz tylko czekaliśmy, kiedy umrze.

100

r

Milczeliśmy. Patrzyłem na obraz na ścianie nad jego głową, na którym Chrystus pokazywał palcem swoje serce, i myślałem, czy jest Bóg i czy przyjmie go do nieba. Przyszedł stryj, brat ojca - lubiliśmy go, bo był wesoły i kupował nam cukierki, kiedy byliśmy mali. Stał nad nim, pochylił się i pocałował w rękę. Dziadek odwrócił głowę, popatrzył na niego i na nas. Nie powiedział nic, tylko matka zapłakała głośniej. Wydawało mi się, że on jest już gdzie indziej, tam gdzie nikogo z nas nie ma, i że tylko na chwilę jeszcze wrócił stamtąd tu, na drewniane łóżko pod oknem, za którym wiatr porusza gałązkami jabłonek.

- Dziadku! - powiedział stryj. - Jesteśmy przy tobie, poznasz nas?

- Tak — powiedział wyraźnie, trochę tylko ciszej, niż zwykle mówił, i zdawało mi się, że uśmiechnął się.

- Dziadku! - powtórzył stryj. - Nikogo z nas to nie minie. Uśmiechnął się znowu. Może tylko zdawało mi się?

- Powiedz coś - poprosił stryj. - Dożyłeś dziewięćdziesięciu sześciu lat. To piękny wiek. Co zapamiętałeś? Co wiesz o życiu?

Wydawało mi się, że ojciec i matka nie są zadowoleni. Popatrzyli oboje na stryja.

- Nie męcz go - powiedział ojciec. - Już dogorywa.

Chwilę trwało milczenie, potem dziadek powiedział tak samo cicho, ale wyraźnie: - Ano, otwórzcie te drzwi. - Wskazał głową drzwi do izby, zamknięte, żeby nie było przeciągu.

Podbiegłem i otworzyłem szeroko. Chwilę nie mówił nic. Patrzyliśmy na niego zdziwieni.

- Ano, zamknijcie te drzwi.

Zamknąłem i stałem jeszcze trzymając za klamkę, kiedy powiedział już ciszej i mniej wyraźnie:

- Tyle wiem. Tyle zapamiętałem.

I to były jego ostatnie słowa. Więcej nie mówił nic. Stryj także już nie odezwał się i my wszyscy milczeliśmy. Tylko pochlipywanie matki było słyhać. Za oknem wiatr poruszał gałązkami jabłonek.

1967

Żona cieśli

Przyjechała w tydzień po pogrzebie Janka, w niedzielę o jedenastej, kiedy wszyscy trzej byliśmy w pokoju. Majster Stachowiak golił się przy oknie krzywiąc twarz przed kawałkiem lustra. My z Władkiem jedliśmy śniadanie.

- Wszedł! - powiedział Władek Ryba z ustami wypchanymi chlebem, kiedy usłyszeliśmy pukanie.

Otworzyła drzwi i chwilę stała w progu patrząc na nas niepewnie, a my gapiliśmy się na nią: Stachowiak odwrócony od okna, z namyd-loną twarzą, Władek Ryba z chlebem w ustach i ja z uniesionym kubkiem. Była drobna, nieduża, na głowie miała czarną chustkę, a na rękawie niebieskiego płaszcza opaskę z krepy.

- Prosimy, prosimy - powiedział Stachowiak, kiedy ją poznał. - Niech szanowna pani

wejdzie. Proszę się nie bać. Władziu, Romku, proście panią do środka!

Weszła, cały czas uśmiechając się niepewnie, rozejrzała i spytała: - Nie wiem, czy dobrze trafiłam? Z wami mieszkał Klimek Jan, cieśla? Ten, co się zabił - dodała.

- Jasne, że tak. Janek mieszkał z nami. Pamiętamy szanowną panią z pogrzebu, choć pani nas nie. W takich chwilach człowiek nie zwraca uwagi na nic. - Stachowiak pocałował kobietę w rękę i pomógł zdjąć płaszcz. Potem poprowadził do stołu.

Usiadła na brzegu krzesła.

Milczeliśmy patrząc na nią. Majster przestępował z nogi na nogę - z namydloną twarzą stał za krzesłem.

Odezwała się po chwili: - Proszę sobie nie przeszkadzać, Panowie jedli śniadanie, a pan niech kończy golenie.

- To my przepraszamy za nieład - Stachowiak popatrzył na nie posłane łóżka. W kącie leżały puste butelki no winie, stały zabłocone

102

buty. - Władziu, Romku - zwrócił się do nas - trzeba się gościem zająć. Może napijemy się czegoś? - mrugnął.

Wstałem i wyjąłem z szafy napoczętą półlitrowkę. Postawiłem na stole i wróciłem po szklanki.

- Proszę sobie nie robić kłopotu - powiedziała. - Przyjechałam po rzeczy Janka.

- Oczywiście, tak jest - Stachowiak stanął przy oknie. Dopiął spodnie i poprawił kołnierzyk koszuli. Stał z policzków mydliny. - Rzeczy Janka są w szafie. Zaraz pani wydamy.

- Ja wiem, czy możemy wydać? - odezwał się Władek Ryba.

Popatrzyliśmy na niego, zdziwieni. Siedział rozwalony, bose nogi w pantoflach bez pięt wyciągnął przed siebie. Był w golfie. Na czole miał zakrzepłą krew - wczoraj wieczorem pobili się w stołówce.

- Władziu - powiedział Stachowiak - przecież pani jest żoną Janka.

Władek Ryba wzruszył ramionami: - Formalnie nie będziemy w porządku. Mówię przy świadkach.

Stachowiak postukał się palcem w czoło. - Niech pani nie słucha. To dusza człowiek. Był przyjacielem męża.

Nalałem do szklanek. Postawiłem butelkę na stole i podszedłem do łóżka przy drzwiach. To jedno było zasłane. Na ścianie, nad nim, przypięte były wycinki z dziewczynkami w kostiumach. Po środku wisiał święty obrazek z Matką Boską Częstochowską. Ukłąłem i wyciągnąłem spod łóżka tekturową walizkę. Stachowiak otworzył drzwi szafy. Żona Janka wstała szybko.

- Pan pozwoli! - Zabrała z moich rąk walizkę.

Odsunąłem się i patrzyłem, jak układa rzeczy, które Stachowiak wyjmował z szafy. Był tam czarny garnitur - tenis, dwie popelinowe koszule: niebieska i biała w paski, jedna koszula non-iron z wytartymi mankietami, kalessony, szelki, trzy krawaty na gumkach (czarny, niebieski i granatowy z wymalowanym łabędziem), budzik, który przestał iść w dniu śmierci Janka, szczoteczka do zębów, maszynka do golenia, pędzel, kilka par skarpetek, sweter, blaszany kubek, talerzyk z wymalowanym kwiatkiem i rozkład jazdy PKP.

- To wszystko — powiedział Stachowiak. - Szeroko otworzył drzwi szafy. - Pani

będzie łaskawa sprawdzić.

Uśmiechnęła się. Przymknęła wieko tekturowej walizki.

103

- A zdjęcia? - zapytał Wkdek Ryba. Pokazał wycinki nad łóżkiem.

Stachowiak popatrzył na niego i zmarszczył brwi.

- Pani wie: dla żartów każdy to wycinał i wieszał. Chyba nie warto brać. Nie będą potrzebne.

- Dlaczego? Jak wszystko, to wszystko - powiedziała.

Uklękła na łóżku Janka i zaczęła zdejmować wycinki. Pomagałem jej podważając pinezki scyzorykiem. Żał mi było tych zdjęć. Janek wycinał z „Filmu” i „Panoramy” - duże i kolorowe. Najwięcej było dziewczyn w skąpych kostiumach - opalały się na plażach roześmiane i zadowolone. Kiedy zdjęliśmy wszystkie, złożyła je starannie i wsunęła do walizki.

- Jeszcze Matka Boska - powi-J/iał Władek.

- Racja, racja - przytaknął Stachowiak. - Jego Matka Boska. Pamiętam, jak wieszał. Zdjąłem ostrożnie obrazek, a ona położyła na popelinowej koszuli w paski pod wiekiem walizki. Usiedliśmy znów przy stole. Stachowiak podsunął szklankę.

- Dla rozgrzewki. Na pewno nie zaszkodzi.

Nie chciała pić: - Głowa mnie zaraz boli. f

- To może kawy? Pani pewno zmęczona.

- Nie, nie - broniła się. - Zaraz muszę iść. O pierwszej mam autobus.

- Trzynasta piętnaście - poprawił Władek. Wziął ze stołu szklankę i wypił duszkiem. Wytarł usta dłonią.

Żona Janka popatrzyła na Stachowiaka. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale wstydzi się czy boi. Zmarszczyła brwi (to jedno, co miała ładne - brwi i oczy: oczy piwne i brwi jak narysowane węglem). Nie zdążyła - znów pierwszy odezwał się Wkdek:

- Jeszcze pudełeczko zostało. - Wyjął z szuflady paczkę prezerwatyw. Rzucił na stół. Zamurowało nas. Stachowiak wytrzeszczył oczy, widziałem, jak poczerwieniał. Ale ona jakby nic nie dostrzegła. Powiedziała cicho:

- Chcę zobaczyć to miejsce.

Dzień był słoneczny, jak wtedy: czyste niebo, śnieg na dachach osiedla, szyby powleczone mrozem. Szliśmy na budowę gęsiego - Stachowiak pierwszy, w granatowym płaszczu i czapce z nausznikami, ona

104

za nim - drobna, nieduża, w czarnej chustce, i ja na końcu z tekturową walizką Janka. Słyszeliśmy skrzyp śniegu. Obłoki pary przy ustach pojawiały się przy każdym oddechu i nikły, jak dym. W dole, pod nami, na tle błękitnego nieba, widać było betonowy maszyn zapory przecinającej rzekę. Szary, wielki, z rudymi zaciekami rdzy pod nierówną jeszcze koroną. Niżej błyszczały szklane ściany siłowni. Schodziliśmy ostrożnie wąską ścieżką wydeptaną w śniegu. Władek Ryba został w hotelu. Potem wchodziliśmy na koronę krętymi schodami.

- Trzydzieści pięter - powiedział Stachowiak. - Pół godziny wchodzenia.

Mijaliśmy galerie - zaglądała ciekawie do pustych korytarzy, w których echo powtarzało słowa Stachowiaka. Szliśmy cierpliwie po oblodzonych stopniach,

wdychając wilgoć betonowych ścian. Przystawaliśmy co parę minut, zasapani, majster ścierał z czoła pot. Kaszłał. Ona mówiła, że choruje na serce, ale nie chciała wracać.

- Szkoda panów fatygi - powtarzała.

W końcu, w górze błysnęło słońce. Staliśmy jeszcze chwilę na ostatnim podeście schodów.

- Pani pozwoli - powiedział Stachowiak i podał jej rękę.

Wyszliśmy na betonową płytę. W dole był zalew - wielka płaszczyna lodu pokrytego śniegiem. Na tle brzegów widać było smugi zadymki. Żona Janka wsunęła rękę pod ramię Stachowiaka. Poprowadził ją ostrożnie na skraj płyty nad przelewami.

Zostawiłem walizkę przy schodach i poszedłem za nimi. Patrzyliśmy w milczeniu w stumetrową przepaść. Śnieg w dole skrzył się w słońcu.

- Zdejmował szalunki na ścianie po tamtej stronie - powiedział Stachowiak - odpiął pas i zaczął wchodzić po sznurowej drabince. Chciał coś zjeść, była dziesiąta. Wtedy z kubła na dźwigu spadła deska. Lewandowski krzyknął: „Uważaj!” Widział, jak deska leciała. Janek podobno podniósł rękę, chciał się uchylić, ale nie zdążył. Dostał w głowę i odpadł od ściany. Jeszcze o filar niżej zawadził, palcami przeleciał po lodzie - filar był oblodzony. Potem spadł na dół. Na śniegu został ślad jak od rdzy. Dziś nie widać, bo świeży śnieg napadał.

Patrzyliśmy na dalekie smugi zadymki. Unosiły się i opadały, jak dym. Mrużyliśmy oczy przed słońcem.

Ktoś nagle zakaszłał za nami. To był Władek Ryba. Stał w rozpiętym płaszczu (w golfie, ślady krwi na czole), chwiały się lekko. Ręce trzymał w kieszeniach.

- Co ty tam wiesz - powiedział do Stachowiaka. - Spaleś.

105

- Romku - zwrócił się majster do mnie - uważaj na niego. - Potem powiedział do Władka: - Mów, mów. Byłeś przy tym.

Władek Ryba splunął. - To nie była deska, tylko pręt. I w piersi dostał, nie w głowę. i Stachowiak wzruszył ramionami: - Jemu tam wszystko jedno.

- I nie było słońca. ' Wiatr rozwiewał jej włosy spod chustki. Staliśmy patrząc na łócl. Stachowiak schylił się i podniósł okruch betonu.

- Niech pani liczy. - Rzucił betonowy kamyk.

- Raz, dwa, trzy - szepnęła.

Majster pokiwał głową: — Żyje człowiek, żyje, a potem do trzech nie zliczy. Władek i Lewandowski zjechali po niego kolebą. Opowiedz, Władziu, jak było.

Władek milczał. Kiwał się w tył i przód. Nie ogolony, z tym krwiakiem na czole - wyglądał jak bandzior.

- Nawet krzyknąć nie zdążył - dodał majster.

Nie mówiliśmy więcej. Patrzyliśmy na dalekie smugi zadymki. O czym myślał wtedy? Czy widział niebo, śnieg? Może zamknął oczy? Żona Janka zacisnęła palce na łokciu Stachowiaka. - Wracajmy, proszę pana.

Na dole poszliśmy w stronę krzyżówki, gdzie stają autobusy. Szła trzymając majstra pod rękę. Niosłem tekturową walizkę. Władek szedł kilka kroków za nami. Potykał się, kłął, zataczał.

Minęliśmy most, budkę strażników i doszliśmy do przystanku. Autobusu nie było.

Staliśmy obok ławki przysypanej śniegiem. Postawiłem walizkę na jezdni pokrytej lodem. Stachowiak zatupał nogami.

- Tak, tak. Był człowiek i nie ma.

Władek oparł się o słup przystanku. Wysupłał papierosa z kieszeni, chciał zapalić, ale zapalka zgasła. Popatrzył na majstra.

- Nie ma, nie ma! Po co ta mowa?

- Nie mówię do ciebie! - Stachowiak odwrócił się do Ryby plecami.

Władek cisnął papierosem u śnieg. Podszedł bliżej. Żona Janka przysunęła się do nas.

- Pani - powiedział - pani! To też jego. - Wyciągnął rękę z małym zawiniątkiem.

106

Cofnęła się marszcząc brwi. Ale to był tylko posiwiałny beret, w którym Janek zawsze pracował.

- Leżał przy nim. Na śniegu.

Trzymał beret w swojej wielkiej dłoni (kciuk był zniekształcony, z czarnym paznokciem). Nawet nie spojrzał na nas. Odwrócił się zaraz i odszedł. Starł się iść prosto, ale pośrodku mostu zatoczył się, omal nie upadł.

Nie zdążyła nic powiedzieć. Otworzyła walizkę. Położyła beret na koszuli, obok wycinków z „Panoramy” i świętego obrazka. W parę minut później nadjechał autobus.

Pomogliśmy żonie Janka wsiąść - Stachowiak podtrzymywał za łokieć, podałem walizkę. Na szybach wozu był mróz. Znikła nam z oczu, kiedy trzasnęły drzwi.

Chmurę czarnych spalin rozwiął wiatr. Koła zabuksowały po śliskiej drodze.

Wolno zaczęliśmy wracać przez pusty most.

Solina, 1968/1972

w

Drzewo Pana Jezusa

O siedemnastej przyszedł Kola i kopnął w drzwi. Otworzyłem mu i pytam, o co chodzi, a on (pijany) bełkocze, że czekają na mnie na rogu Wincentego i żebym zaraz szedł. Mówię mu, że tak, zaraz pójdę, ale że kopać w drzwi nie musi, bo jest dzwonek. Kola zakolysał się tylko i jak nie rzygnie pod moje nogi!

- Kutasie - krzyczę - wynocha! Buty mi zarzygałeś!

Wypycham go, a na to drzwi z kuchni otwierają się i matka wybiega z płaczem: - Jezusie Maria, znów te chuligany! Ty, Stasiu, zostaw go, bo on ma nóż na ciebie i zabije cię, synku!

I matka była pijana - z Robaczewskim pili od trzynastej. I dmuchał ją Robaczewski: raz, kiedy wszedłem do kuchni, przykryli się kocem. Teraz tylko w halce wybiegła - krzyczy za plecami, przede mną, w drzwiach, Kola jęczy - wypycham go: - Idź - powtarzam - idź!

W końcu na schody Kolę wywlokłem - głowę do poręczy, kolano pod brzuch i tak łomotałem nim o barierkę, póki nie oprzytomniał. Spojrzał na mnie (załzawiony) i pyta:

- Przyjdiesz, Stasiu?

- Przyjdę - powiedziałem. Puściłem go i wróciłem do mieszkania.

Matka jeszcze stała w drzwiach: - Synku - (tak nagle spokojniała) - nie idź do nich. Będzie nieszczęście.

Odsunąłem matkę na bok, sam do pokoju - chciałem zmienić koszulę i spodnie - a matka za mną staje w drzwiach: - Chodź, wypijesz z nami.

Nie odezwałem się, pamiętam ani jednym słowem. Wyjąłem z szafy ażurową koszulę, włożyłem nacy i glany. Pióra przed lustrem przyglądałem i zmierzam do drzwi, a matka w progu: w halce tylko, boso, rozczochrana, wodą od niej jedzie...

- Mamusia przepuści - powiedziałem.

108

- Stasiu - ona na to.

- Mamusia przepuści.

Ona nic - wtedy ja za te rozczochrane kudły i o ścianę, aż matka stęknęła.

Robaczewski wyrzwał w kalesonach z kuchni, akurat otwierałem drzwi na klatkę, trzasnąłem drzwiami (tynk posypał się za mną) i kiedy biegłem w dół, słyszałem jeszcze, jak matka krzyczała do Roba-czewskiego:

- Łobuz, chuligan, skurwysyn! Na dole było słońce.

Na rogu Wincentego stał Zenek Kojo (wyższy od tamtych o głowę, dlatego zobaczyłem go z daleka) i jeszcze kilku chłopaków: świrowaty Bełkot, Janek Kulas, pijany Kola i chyba Banan z Kaliskiej ze sznytami na rękach. Kojo powiedział, że dziś Gruzini wystawia i że jedziemy, gdzie zawsze. Poszliśmy zaraz w stronę przystanku, a Kola, pijany, za nami.

Szliśmy obok muru - Kojo pierwszy, my za nim: w Szwedkach niebieskich i czerwonych (szelest tworzywa przy nas), skrzyp glanów, czasem ktoś splunął (Kulas: „kuśtyk, kuśtyk” na swojej krótszej nodze) - wszyscy ustępowali nam z drogi. Pijany Kola taczał się i potykał.

I kiedy tak szliśmy, przed nami znalazło się tych dwóch szczyli - po dziesięć, może dwanaście lat każdy - z tarczami na rękawach. Kojo akurat paczkę petów wyjął, częstował po kolei - stanęliśmy przy nim (on ma taką japońską zapalniczkę gazową), a Banan od razu do nich:

- Stać! Szczyli stają.

- Pod mur! Szczyli idą pod mur.

Banan nic, kiwa się w tył i przód (sam małolatek, nie ma szesnastu, a całe ręce w hlostach). My podchodzimy bliżej - będzie zabawa, jasne.

- Nazwiska!

- Kolanko - mówi ten większy. My w śmiech.

- Grabowski - nawija mniejszy i też się śmieje.

- Co się śmiejesz, gnoju? - pyta Banan. - Wesoło ci?

Bije Grabowskiego w dziób. Mały głową tłucze o mur raz i zaraz drugi, bo obrywa jeszcze. Płacze. Kolanko zaczyna się trząść - widać, jak mu ramiona latają.

109

1

- Forsa! - szczeka Banan. - Wykladać. Szybko.

- Nic nie mam - oświadcza Kolanko.

A na to Banan: - Wypróżnić kieszenie!

Szczyli wypróżniają bez słowa. Mniejszemu lecą klucze - Banan kopie (słysząc, jak dzwonią po płytach). Jest kilka dwudziestogroszówek, papierki po cukierkach. Duży Kolanko coś jeszcze chowa w garści.

- Pokaż - mówi Banan. Gnój nie chce.

- Pokaż!

Palce gnojowi zbieleły, tak mocno, ścisła. Banan bierze peta od Koli - przystawia szczeniakowi do oka: - Pokażesz?

Kolanko odchyła głowę (blady jak ściana) - zaraz popuszcza. Patrzymy - na ręce gnoja wąski pasek: bilety. Szczyle idą do kina. Banan gniecie bilety w papierową kulkę. Wkłada do ust. Żuje chwilę, a potem pluje gnojowi w twarz białą papką. Śmiejemy się głośno (Kulas rzy po prostu). Kolanko ociera twarz rękawem.

Trzęsączki dostał - lata mu wszystko - ramiona, ręce. Galareta.

- Ty - mówi Banan do mniejszego - on cię pewno bije. Możesz mu przylać teraz. Mały Grabowski płacze (taki chudziutki szczyl - grzywka równo przycięta nad czołem).

- Przywał mu, słyszysz? r Grabowski płacze, ale nie chce podnieść ręki na większego. * Śmiejemy się. l

- Kolanko! - szczeka Banan. - Kolanko - mówi ciszej — przyj łóż Grabowskiemu! • Patrzymy, a Kolanko, ta galareta, odwraca się do małego obok i bije w głowę. Słabo, jakby głąskał. Nasz śmiech.

- Mocniej, mocniej!

Teraz Kolanko bije pięścią. Lepiej - głowa szczylowi lata.

- Dostyc - mówi Banan. I do mniejszego: - Widzisz? Widzisz? Nie wstyd ci? Teraz ty!

Patrzymy, a mniejszy kopie większego w girę, poprawia mocniej, a kiedy Kolanko chce oddać, skacze z pięściami. Obaj płaczą. Ten mniejszy kopie większego po kostkach. Kolanko bije w dziób.

Śmiejemy się (Bełkot tym swo; m chrapliwym skrzekiem, Kulas, jak zwykle, najgłośniej, nawet Kojo). Odchodzimy i zostawiamy szczyli pod murem, na ulicy świętego Wincentego. Kopia się, płaczą i okładają pięściami.

110

Kiedy przyszedliśmy na przystanek, akurat suka zatrzymała się przy chodniku i dwóch blacharzy wysiadło, żeby zabrać pijaczka z ławki. Leżał skulony jak pies - nie stary jeszcze, ale nie młody (z tych tęgich łysych urzędniczków), teczkę sobie podłożył pod głowę, czerwona ręka zwisała nad gazetą, która spadła na chodnik. Ci dwaj chwycili go pod pachy i powlekli do suki. On tylko zabełkotał niewyraźnie, zbudzony nagle („O, Jezusie Nazareński" chyba), i kiedy tak go wlekli, Kola, sam pijany, podskoczył i kopa pijaczkowi przywalił, jakby chciał blacharzom pomóc, bo łysy zaszamotał się nagle i zapłuł. A wtedy jeden z tamtych odpiął pałę od czarnej raportówki i jak nie przywali Koli! My w śmiech - Kola tylko skulił ramiona, w plechy dostał (już odwrócony odchodził).

- Za co? Za co? - odwrócił się, ale blacharz nic nie powiedział.

Łysonia wepchnęli do suki, jeszcze drugi wrócił po teczkę i cisnął za nim - odjechali zaraz, a Kola na ławce usiadł, głowę objął rękami i zaczął powtarzać:

- Jezu, Jezu, Jezu!

Bełkot powiedział do mnie, że w życiu dostał sześć razy, ostatnio na stadionie, kiedy rzucił butelką. Kulas chwalił się, że dostał więcej - dziesięć albo jedenaście razy.

Banan podszedł do Koli i zaczął pytać, co czuje. Kola nie chciał mówić, ciągle kiwał

się w tył i przód („O, Jezu, Jezu, Jezu" w kółko), aż w końcu Kojo mówi:

- Przestałbyś, przestałbyś!

A wtedy Kola jak nie skoczy! Ruszyło go - zerwał szwedkę, potem koszulę (rozdarł, pamiętam, rękaw) i krzyczy: „Patrzcie, patrzcie!" Odwraca się plecami do nas (te plecy w krostach), ale żadnego śladu ani pręgi nie zobaczyliśmy, więc tylko śmiechu było więcej.

Ci na przystanku zdziwieni (baba, młoda z dzieckiem na rękę, stary muł z teczką):

Kola ataku dostał. Wyje na ławce: - Jezu, Jezu! O, matko moja najdroższa!

Niedobrze. Patrzymy: Kojo poczerwieniał, podchodzi do ławki i jak nie uderzy w szamot! Raz, drugi. Głowa Koli lata, niczym bokserska gruszka, a on klęka na chodniku, osłania twarz i ciągnie swój cyrk dalej. Nie pęka.

- Najdroższa matko, po coś mnie rodziła? - krzyczy.

Kola, pijany, ma takie napady czasem. Bełkot mu jeszcze dokopał

III

7

i Kojo, ile mógł, nakładł. Aż w końcu Kola uspokoił się nagle, jak ręką odjął.

- No, co tak stoicie nade mną? - pyta i wstaje z klęczek. Wkłada podartą koszulę - jakby wytrzeźwiał nagle. A może coś go tam kłuć przestało w środku.

Autobus podjechał akurat, więc podskoczyliśmy do drzwi.

W środku tłok i zaraz, jak tylko wsiedliśmy, tęga baba w krzyk, że któryś na nodze jej stanął. Wzięliśmy babę między siebie - chwilę mówiła jeszcze („co za wychowanie, łobuzy, chuliganeria!" i tak dalej), potem, gdy Kola udał, że puszcza pawia, przestała. Nawet powiedziała „przepraszani".

Staliśmy w tłoku gadając i śmiejąc się głośno. W pewnej chwili Bełkot pierdnął, my w śmiech, a wtedy jakiś gnój z przodu powiedział: „Co za chamstwo!" Nie było wiadomo, który: Bełkot mówił, że młody, w bryłach, Kojo, że inny - nieduży, łysy i od tamtego starszy.

Zaczęliśmy iść do drzwi ostro, aż krzyk powstał. Autobus stanął, oni wysiedli, my także. Już niedaleko dworca było. Bełkot i Kulas podskoczyli do łysego:

- Ty powiedziałaś?

Tamten - mały (paletko, ta łysa makowa), zaczął się trząść po prostu. Staliśmy przy nim ciasno, gnój mówi: - Panowie, skąd znowu. To tamten pan. - Pokazał na chudego, który stał kilka kroków dalej, jakby czekał. Chłopaki do niego. Zostałem przy malutkim, żeby przypilnować. Widziałem tylko, jak chudego bili.

- Ty powiedziałaś? - pyta Kojo.

Chudy - w bryłach, teczkę kwadratową trzyma - nie chce się przyznać: - Ja, panowie, ja?

Chłopaki przy nim stoją w koło - Bełkot zachodzi od tyłu, Kulas rusza ramieniem (jemu zawsze ramię skacze, kiedy ma bić).

- Ty powiedziałaś? - pyta cichutko.

I znów chudy: - Panowie, jak Boga kocham, nie ja! - Na małego przy mnie pokazał.

Ale głos mu[^]ał mieć podobny, bo wtedy Bełkot kopnął. Chudy tylko się gibnął w przód, a wtedy Kulas: kolanem! Chudy jakby się kłaniał. Bryle lecą na chodnik, teczka...

Cisza. Ktoś biegnie po drugiej stronie. I ostry gwizd pociągu za

nami. Pusta ulica. Mały mnie spytał wtedy: - Proszę pana, czy można odejść?

- Idź - powiedziałem, pamiętam. I nie spojrzałem nawet na niego - wyplułem jakąś pestkę czy liść.

Chudy leżał na płytach. Tylko ramiona chłopaków widziałem. Kojo, Bełkot, Kulas - wszyscy z rękami w kieszeniach. Kopali go po girach, w brzuch, po nerach, w szamot. Taki taniec nad nim. I trochę krwi na płytach, rozbite bryle, kwadratowa teczka. On nawet nie jęczał chyba - w każdym razie nic nie słyszałem. Chciał się podnieść, pamiętam i tak, między nogami chłopaków, podnosił się i padał, podnosił się i padał. A oni tańczyli nad nim.

Kiedy podjechał następny autobus, odeszliśmy.

Dworzec był blisko, parę kroków, elektryczny odjeżdżał właśnie, zdążyliśmy wsiąść.

Wszyscy prócz Koli. Te automatyczne drzwi zatrzasnęły się nagle, pociągnąłem za rączkę, otworzyłem - Kola biegł chwilę po peronie, zataczał się, chciał wskoczyć, odbijał od ścian wagonów, raz, drugi, pociąg nabierał pędu, on w końcu upadł i tak został na peronie, pamiętam, wyjrzałem jeszcze: Kola klęczał i patrzył za nami.

Jechaliśmy. Za oknem światła naszego miasta układały się w jasną smugę.

Na miejscu byliśmy o dziewiętnastej pięć, a Kojo umawiał się na dziewiętnastą trzydzieści. Poszliśmy na te parę minut do „Kiblanki” obok dworca - to taka knajpa, nazywa się „Jutrzenka”, ale bardziej pasuje „Kiblanka”, bo zajeżdża, w środku kibelem z zacieków po nieszczelnych rurach. Tam jak zawsze: cepy przy stołach piją, dym, krzyk, wszyscy naraz mówią, brudne serwety i ten fetor, jak w dworcowym kiblu. Wypiliśmy po butelce pełnego i pośmieli patrząc na pijanych frajerów - wszystko odstawione, w garniturach, spocone, czerwone i rozgadane. Usiedliśmy obok dwóch, z których jeden chciał iść i powtarzał w kółko:

- Ty, Czesiek, na mnie już pora. A drugi:

- Zostaniesz, kurwa.

}1 Śmieliśmy się z nich głośno, ale oni - zwłaszcza ten wielki, który i. chciał iść - tak byli pijani, że nie widzieli pewno nic, prócz własnych

l — Drugie wrota w las

czerwonych twarzy, i nie słyszeli pewno nic, prócz tych kilku powtarzanych jak w pacierzu: 20

- Ty, Czesiek, na mnie już pora. • ^

- Zostaniesz, kurwa. ;<g

- Ty, Czesiek, na mnie już pora.

- Zostaniesz kurwa.

Kiedy wyszliśmy z „Kiblanki”, było już szaro - naokoło światła w oknach i tylko pod płotem odlewał się pijany cep. Śpiewał na cały głos: Szła dziewczeczka do laseczka...na. chodniku leżał inny i kiedy Bełkot dokopał mu, tylko stęknął i na drugi bok się przekręcił, jakby spał w łóżku, nie na betonie pod „Kiblanką”. Śmiejąc się poszliśmy na umówione miejsce.

Suliko (taka jego ksywka) czekał z dziewczyną - stali pod tą samą co zawsze latarnią, w cieniu rosnącego obok drzewa, i kiedy podeszliśmy, Suliko pociągnął dziewczynę

za rękę, a ona, opierając się trochę, zdziwiona, przeszła za nim kilka kroków i stanęła w świetle.

Zatrzymaliśmy się wszyscy - Bełkot, ja, Kulas i Banan, małolatek z Kaliskiej. Popatrzyliśmy chwilę, jaka jest, czy dobra, pod nóż, czy worek z owsem, jak mówił Bełkot o wsiowych. Ale Suliko najczęściej wystawiał dobre, więc i ta była niezła. Staliśmy i patrzyli na jej długie nogi, na kusą, białą kurteczkę, pod którą miała nylonową bluzkę z falbanami do pasa, i na torebkę-kuferek, którą trzymała przed sobą. Paznokcie miała czyste, bez lakieru. Chuda była, ale nie płaska i wszystko miała na miejscu, jak trzeba.

- Żyleta - pomyślałem, pamiętam. - Mojka. Suliko puścił rękę dziewczyny, podszedł do nas i przywitał się z każdym.

- Czekam już pół godziny - mówi. *

- Jakie pół godziny? - na to Kojo. f •

- Byliśmy umówieni na dziewiętnastą. c

- Nie pierdol - odrzekł Kojo. - Na dziewiętnastą trzydzieści. Kłócili się chwilę o to, a Mojka podeszła do nas bliżej i wzięła Sulikę pod rękę. Gruzin był zły.

- Ja tu nawijam tej kurwie. Język mi skołowaciał. Jeszcze trochę, a poszłaby, no nie?

- Chodźmy stąd - powiedziała.

114

Zaśmieliśmy się (Bełkot tym swoim chrapliwym skrzekiem, Kulas jiggłośniej). Suliko odepchnęła ją i zaczął się żegnać.

- Cześć, cześć! - mówił. Podawał chłopakom rękę.

- Zostań - powiedział Kojo, ale Suliko nie chciał („Gruzin - mówiły o nim dziewczyny - ten piękny Gruzin"). Odwrócił się zaraz i odszedł.

Wtedy ona zawołała: - Tadzik! - i głośniej - Tadzik! - Imię wymyślone przez tego Cygana (każdej mówił inne). Dlatego my: znowu w śmiech.

- O co wam chodzi? - spytała, pamiętam. Chciała nas wyminąć, ale gdzie się ruszyła, zastępowaliśmy jej drogę. Nie mogła kroku pójść za nim.

Suliko odchodził. Nie obejrzał się, choć wołała jeszcze kilka razy (za każdym razem głośniej): - Tadzik! Nie zostawiaj mnie! Tadzik!

Śmieliśmy się. Wtedy zaczęła iść wzdłuż płotu, w przeciwną stronę, a my wolno poszliśmy za nią.

To jeszcze tam, niedaleko drzewa, ten zgred w samochodzie oślepił nas światłami.

Nadjechał z przeciwnej strony i nagle zobaczyliśmy, jak ona, machając kuferekiem, wybiegła na ulicę i krzyczy coś, czego nie słyszeliśmy dobrze, bo był już blisko.

Gość zjechał trochę na bok, jakby chciał Mojkę wyminąć, i w ostatniej chwili stanął.

Ale nie zgasił motoru (nogę musiał trzymać na gazie). Ona zaraz podbiegła do drzwi i zaczęła szarpać za klamkę (to był nowy fiat - z tych lepszych). Nie mogła otworzyć.

Stanęliśmy przed maską, w światłach, które po chwili zgasły, i wtedy, w ciemności, usłyszeliśmy, co mówiła. Uchylił szybę.

- O co chodzi?

- Chcą mnie zgwałcić - powiedziała. Była zdenerwowana i cały czas szarpała za klamkę. - Proszę mi pomóc...

- Zgwałcić? - zdziwił się. Głos miał starego zgredda.

- Zwabili podstępem. - I powtórzyła jeszcze raz: - Proszę mi po-lóc.

Zaśmieliśmy się, co on musiał usłyszeć (może widział jak Banan rpdnosi kamień?). Milczał chwilę, potem stuknęła dokrecona szyba. Zaraz zapalił światła, nacisnął gaz i ruszył wolno. Rozstąpiliśmy się, wtedy przyspieszył i odjechał. W oczy nawiało kurzu. Ona szła chwilę trzymając za klamkę. Kiedy dodał gazu, szarpnęło Mojka i byłaby upadła. Śmieliśmy się, pamiętam, znów. Bełkot rozłożył ręce, żeby

115

przytrzymać, ale ona odskoczyła przestraszona. Pobiegła na chodnik i tam, zdyszana, zaczęła iść wzdłuż płotu. Tylko stukały obcasy.

Idziemy więc, idziemy wszyscy za naszą Mojka: Kojo, Bełkot, ja, Kulas („kuśtyk, kuśtyk” na krótszej nodze) i Banan małolatek na końcu. Ona przystaje czasem, rozgląda się - psy szczekają daleko, coraz rzadziej tu domy, coraz dłuższe odstępy między latarniami. Pusto.

W jednym miejscu, przy płocie, stało dwóch takich. Ona od razu do nich - potykała się biegnąc. Doszliśmy za chwilę i stanęli blisko.

- Proszę pana - mówiła do małego, który stał na ulicy (ten po drugiej stronie, za furtką, cofnął się, kiedy podeszliśmy, tak że jego maski nie było widać) - proszę pana, oni idą za mną. Na pewno chcą zgwałcić.

Mały konus w kolejarskiej czapce zaśmiał się głośno: - Co pani opowiada? Zgwałcić?

My też śmiejemy się. Ona, zdenerwowana, szarpie kolejarza za rękaw: - Zwabili podstępem.

Gnój ciągle się śmieje: - Słyszysz, Józek? - pyta tego za furtką. - Słyszysz, co pani mówi?

- Słyszę - odpowiada tamten. - Że zwabili. łą

- Tak jest. Zwabili. - I jeszcze większy śmiech.

Śmiejemy się wszyscy. Ci dwaj, Banan, Kojo, Bełkot (skrzeczy, świrus, jak zawsze).

Mały kolejarz najgłośniej. Ona, zdyszana, szarpie małym za rękaw: - Proszę mi pomóc, proszę mi pomóc... - powtarza.

- Co pani taka nerwowa? - nawija malutki. - Trzeba chłopcom okazać trochę życzliwości. Nic nie ubędzie panience, tak?

I śmiech, i śmiech - my także. Ten niewidzialny cep wtóruje zza płotu. Mojka puszcza rękaw małego - zaczyna mocować się z furtką. - Pan otworzy - prosi.

- O, nie wejdiesz tutaj - odzywa się niewidzialny. Ma gruby głos, aż dudni.

- Boi się żony - śmieje się malutki. - To żonaty chłop.

- Niech mi panowie pomogą - prosi nasza Mojka. - Oni nie mają skrupułów. •>

- Czego? Czego?

- Sumienia - odpowiada Mojka.

- Za to mają coś twardego, no nie? - skrzypi malutki. Teraz tylko on sam się śmieje.

Ten za płotem i my - nie.

116

F

Patrzemy: Kojo nagle podchodzi do niego (dwa, może trzy kroki). Staął, schylił się, zajrzał malutkiem w oczka, a potem tę kolejarkę palcem strącił. Spadła na piach.

- Ty - powiedział - za wesoły jesteś. - A my powtórzyliśmy chórem: - Za wesoły jesteś!

Gnój tylko oczkami zamrugał, schylił się i podniósł czapkę. Otrzeptał denko z piasku. Kojo cofnął się - znów dwa, może trzy kroki. My nic, tylko oddech Mojki słysząc. Ten za płotem odszedł nagle. - Trzymaj się, Januszkę - powiedział. Biała koszula znikła między drzewami. Gnój w kolejarskiej czapce także odszedł.

- Trzymaj się - mruknął. Nie patrzył na nas ani na Mojkę. Odszedł jak zmyty.

Śmiejemy się znów. Ona od furtki odeszła ostatnia. Po chwili wszyscy idziemy dalej.

Tylko szczekają psy.

To wtedy Kulas i Bełkot zaczęli swój cyrk. Zwłaszcza Bełkot potrafi nawijać, jak żaden - już taki jego świr.

- W perspektywie mamy zadania do wykonania na płaszczyźnie - powiedział nagle. My w śmiech.

A Kulas z miejsca: - Słusznie, kolego Bełkot. Nasze zadania wykonamy z nadwyżką.

I Bełkot: - Dzięki aktywnej postawie, oczywiście. Chciałbym w tym miejscu dodać, że zadania podjęliśmy w toku dyskusji.

- Otwartej, otwartej - truże Kulas.

- Przy szerokim poparciu koleżeństwa oraz w wyniku słusznej inicjatywy.

Śmieliśmy się z tego cyrku. Ona cały czas szła przed nami. Słyszeliśmy stuk obcasów. Czasem przystawała, żeby zajrzeć przez płot, czy kogoś nie zobaczy. W ciemności, daleko, czekały psy.

- Dziękujemy wam, kolego Bełkot, za tę szczerą wypowiedź - powiedział Kulas.

Starał się nadażyć za nami na swojej krótkiej nodze G,kuśtyk, kuśtyk" coraz prędzej).

- I otwartą, myślę - na to Bełkot. - Dzięki stanowczej postawie koleżeństwa zadania wykonamy wkrótce.

- Tak jest - mówi Kulas - w oparciu o pozytywne doświadczenia.

117

- Bezspornie i oczywiście. Należy zwrócić uwagę na osiągnięcia! &

- Jako wynik wzrostu siły.

- Oraz cennej inicjatywy. - Bełkot staje nagle i szarpie Kulasa za ramię: -

Zapomnieliście o podnoszeniu roli! - krzyczy, jakby o coś naprawdę był zły. Nawet Mojka obejrzała się na nich.

A Kulas nie pęka: - Za to stale rozwijamy aktywność!

I Bełkot: - Dziękujemy, kolego Kulas. To będzie waszym poważnym wkładem! „

- W utrwalaniu na rzecz - truże Kulas.

- Zgadzam się z wami, tak jest!

Nasz śmiech. Ona zatrzymała się przed ostatnim domem. Wiedzieliśmy, że tu jest ostatni dom, obok ostatniej latarni, a dalej ta ulica kończy się polem. Było już bardzo ciemno. Zaczął mżyć deszcz.

Oni przestali nawijać. I zrobiło się cicho.

- Na co czekacie? - spytałem, pamiętam. - Jak Boga kocham, to w sumie za długo trwa. - Nagle ogarnęła mnie złość. Nie wiem czemu - może tego śmiechu było za dużo?

Mojka szarpnęła furtkę i wbiegła na podwórze. Rozszczekał się zaraz pies (wściekły psi jazgot słyszeliśmy chwilę). Potem drzwi w głębi otworzyły się - musiała mocno pukać czy dzwonić. Ktoś stanął w prostokącie światła. To był tęgi zgred - pewno właściciel. Krzyknął zaraz na psa, który umilkł, jakby kamulcem dostał. Łańcuch

przy budzie zadzwonił, a potem zrobiło się cicho, tak cicho, że całą rozmowę słyszeliśmy za płotem.

- Proszę mi pomóc - powiedziała. - Chcą mnie zgwałcić.

Cep (po chwili): - Kto? Co? Gdzie?

Ona (wchodząc na stopnie pod drzwiami): - Zwabili podstępem. Idą tu za mną. Jest ich pięciu.

Cep patrzy nad głową Mojki. I pewno nie widzi nic, bo tu, gdzie stoimy, jest ciemno. Słyszemy tylko nasz śmiech (śmiejemy się wszyscy - ja, Bełkot, Banan, Kulas najgłośniej).

Mojka klepie swój pacierz: - Pan mi pomoże, pan mi pomoże... Oni nie mają skrupułów! - Chce wejść do środka, wciska się obok cepa w drzwi.

On w progu stanął - nie w--nuschca. Bierze Mojkę na krzyk: -Gdzie się pchasz, pindo? Do cudzego domu?

Nasz śmiech. Ona (odepchnięta, ale jeszcze na ganku): - Proszę fflia pomóc. Na miłość boską!

118

te!

Zgred w drzwiach nie pęka: - Wynocha, pindo! Jazda! - Widzimy, jak rusza na Mojkę - duży, taka wielka biała buła - w podkoszulku, garścią przytrzymuje spodnie.

Posuwa na Mojkę brzuchem, a ona cofa się przed nim. Idą tu, do nas - z powrotem. Śmiejemy się. Mży deszcz. Pies znów zaczyna szczekać.

W otwartych drzwiach staje baba. Wyciera ręce o fartuch i patrzy, jak cep brzuchem wypycha Mojkę z podwórza. Rozstępujemy się. Skrzypi furтка. Cep wraca zaraz. - Cicho! - krzyczy na psa. I do kobiety: - Pinda jakaś! Po nocach się włóczą, a potem dziwią, że pięciu czeka!

- Są tam? - pyta baba.

- Czekają - odpowiada cep. - Jak psy na sukę.

Nasz śmiech. On zatraskuje drzwi - gasi lampę nad gankiem. Cisza i tylko cienko dzwoni łańcuch na podwórzu. Ona plecami oparła się o płot. Oddychała szybko. Ten kuferek trzymała przed sobą.

To wtedy Kojo podszedł do niej. Nie mówił nic, tylko palce zaczął odrywać od płotu (wolną ręką trzymała się sztachet). Mocował się chwilę (mocno musiała chwycić), potem uderzył w twarz i ona puściła zaraz. Wtedy Kojo pchnął. Zatoczyła się i upuściła kuferek.

Bełkot i Kulas chwycili Mojkę z dwóch stron. Krzyknęła coś, ale niewyraźnie - chyba Kulas bił. Zaraz skręcili w bok, na ścieżkę przy zagrodzie. Dalej były pola, a bliżej rosło kilka jarzębin.

Schylilem się, podniosłem kuferek i wolno poszedłem za nimi.

Bili ją. Pamiętani, że coś krzyczała po ciemku. Nie wiem czemu, nie chciałem patrzeć (tam, gdzie poszli, błyskało światelko latarki). Pies zaszczekał znów i umilkł. Kiedy podszedłem bliżej, leżała na ziemi.

- Ty - powiedział Bełkot do mnie - chodź tutaj. - Kulas poświecił latarką. I Bełkot: - Stań, stań tutaj!

Zobaczyłem jej głowę pod nogami. Wtedy upuściłem kuferek. Upadł na piach i wysypały się te wszystkie drobiazgi ze środka: lusterko w srebrnej oprawce, szminka,

niebieski kalendarzyk, ta maskotka. Bełkot trzymał jej ręce w przegubach (przyciskał do ziemi nad głową).

- Stawaj! wysapał. Klęczał wciskając jej ręce w piach. Ona na '-warzy miała ziemię z piaskiem. Banan i Kulas siedzieli na jej nogach. Tylko Kojo czekał.

Spytałem, pamiętam: - Gdzie mam stanąć? - a Bełkot powiedział: - Na ręce

119

Wtedy stanąłem na tym cienkim zwężeniu nad garścią i wbiłem jej rękę w piach.

Bełkot zaraz się podniósł. Stał z drugiej strony. Widziałem, jak podszedł Kojo.

Chyba ssał palec. Klęknął przy niej.

- Ugryzłaś mnie, kurwo - powiedział.

A na to Kulas: - Przypierdol jej, Zeniu. - I zgasił latarkę.

Ale Kojo już nie bił chyba. Zamknąłem oczy i zobaczyłem to wszystko bardzo wyraźnie: jej głowę obok kufierka, rękę odwróconą garścią do góry, małe lustro.

Czułem, jak rusza palcami. I mocniej wciskałem buty w piach.

Kiedy otworzyłem oczy, znów Kulas świecił. Kojo posuwał - pamiętam, nogami

szorował po ścieżce. Ona miała policzki w piasku. Patrzyłem na te drobiazgi:

lustro, kalendarzyk, maskotkę. To był taki mały zajac w spodenkach na szelkach.

- Zgaś - wysapał Kojo. - Zgaś.

I zaraz zrobiło się ciemno, a może zamknąłem oczy?

Kiedy Kojo skończył, dmuchali Kulas i Bełkot. Słyszałem oddechy nisko. Szczekanie psa. I deszcz: szelest w liściach nad nami. Mocniej wciskałem buty w piach.

Potem ktoś mnie szarpnął za rękaw. Tak nagle, pamiętam. Kulas świecił znowu.

Zobaczyłem jej nogi rozrzucone szeroko. Zadartą sukienkę. Brzuch.

- Jedź! - powiedział Kojo.

Uklękłem. A kiedy pochyliłem się nisko, zobaczyłem twarz Mojki z bliska.

Rozmazany tusz, ziarenka piasku na wargach. Na czole miała krople potu. Może płakała? Nie patrzyła na mnie.

Klęczałem tak, pochylony - poczułem jej zapach. Chyba mydła, a może szamponu do włosów? I zapach mokrych liści. Oni stali nade mną. W końcu Kojo powiedział:

Amen!

Tak było: - Amen! - powiedział, pamiętam, a tamci powtórzyli chórem: - Amen!

I usłyszałem ich śmiech - śmieli się wszyscy po ciemku, bo Kulas zgasił latarkę.

Wtedy wstałem. I byłem taki napięty. I trząsałem się cały, jakbym przemarzył, choć ten deszcz siąpił tylko (taka mżawka) i wcale nie czułem chłodu. Na rękach m i ulem

piach - wytarłem ręce o spodnie. Kulas zaświecił znowu. I spojrzałem w światło.

Musieli widzieć moją twarz dobrze - każdą zmarszczkę, krostę, włos. I jak zwilżyłem wargi. Cofnąłem się o krok, a ta latarka za mną. Nie mówili nic i nie śmieli się -

jakby zapomnieli o Mojce.

120

Kojo zapytał: - Nie chcesz?

- Nie - powiedziałem, a on spytał jeszcze raz: - Nie chcesz?

Odpowiedziałem głośnie: - Nie chcę.

Latarka świeciła przede mną, blisko - zmrużyłem, pamiętam, oczy, i znów cofnąłem się o krok. Wtedy zgasła. I Kojo uderzył. Dostałem w usta. I poleciałem na plecy, w piach. I zaraz poczułem ten słony smak. Nie czułem bólu - tylko tak, jakbym

zachłysnął się ciepłą wodą. Kojo pochylił się nade mną.

- Przepraszam cię - powiedział szeptem. - Chyba nie masz do mnie żalu?

Nie odpowiedziałem. Oni wszyscy podeszli bliżej. I stali pochyleni nade mną. Kulas świecił w twarz. Kojo zapytał: - Zrobisz to?

- Nie - powiedziałem po chwili. Mówiłem niewyraźnie. I ciepła woda wylewała mi się z ust. On jeszcze raz zapytał: - Nie zrobisz?

Nie odpowiedziałem. I zamknąłem oczy, a może zgasła latarka?

Dopiero wtedy zaczęli kopać. Nie osłaniałem się, pamiętam, żeby bolało mniej. Przez chwilę widziałem błyski światła, a potem już nic. Jakbym kimał i we śnie działo się wszystko.

I śniła mi się Mojka - szliśmy ścieżką przez las. Niebo było czyste jak latem. I gdzieś tam rosło drzewo, o którym mówiła mi matka. Z tego drzewa krzyż zbili Panu Jezusowi. I ono całe drżało, liście dygotały jak w gorączce. Mojka położyła ręce na pniu i wtedy te liście przestały dygotać.

A może wiatr, co wiał przed chwilą - ustał?

1974

Nauczyciel muzyki

Mieszkałem wtedy biednie. Okna mojego pokoiku w podmiejskiej kamienicy wychodziły na podwórze w kształcie studni. Każdy głos z dołu, z uchylonych okien - krzyk czy płacz dziecka, jazgot kłótliwych kobiet, otwarte radio, nawet rozmowa prowadzona półgłosem - wszystko było słychać wyraźnie, jakbym stał za plecami ludzi w ich mieszkaniach i słuchał bez końca. Brzęk butelek z mlekiem, przywożonych na blaszanym wózku przez ułomnego roznosiciela, budził o piątej rano. Śpiew pijanego węglarza, zajmującego mieszkanie na parterze, wyrывał ze snu o północy. Chichot niedorozwiniętego syna dozorca - grubego chłopaka przesiadującego całymi dniami na podwórzu - słyszałem w południe i wieczorami. Byłem przez te wszystkie hałasy wymęczony. Byłem u kresu sił.

Stary mieszkał obok - wiem to teraz, choć wtedy, podczas studenckich lat, kiedy kątem mieszkałem w pokoju z oknami wychodzącymi na czynszowe podwórze, nie zwracałem na niego uwagi. Dopiero tamtej upalnej niedzieli, kiedy wkuwałem teorię kwantów z grubego podręcznika fizyki, a on zaczął grać za ścianą (zdawało mi się, że siedzę w pustej sali, w której ktoś tnie diamentem szyby), pomyślałem, że to pewno ten przygarbiony człowiek, którego czasem spotykałem na schodach, kiedy zdyszany przystawał na półpiętrze.

Skrzypcowy koncert zza ściany słyszałem wyraźnie. Musiałem bez końca wysłuchiwać wszystkich fraz Legendy Wieniawskiego, a może Ogińskiego Pożegnania z ojczyzna! Grał utwory sentymentalne, których słuchanie nużyło jak długie przemówienie lub wiersz znany na pamięć. Moje kwanty rozsypały się na cztery strony świata, na dodatek za oknem hałasowały dzieci, kobiet v jazgotały w kuchniach, pijany węglarz śpiewał pijacką pieśń.

Nie wytrzymałem i pięścią załomotałem w ścianę. Ale niewiele to pomogło - może nie dosłyszał? Cienki dźwięk płynął zza ściany nie-

122

przerwanie, jak płaczliwa skarga, jak śpiew muezina wzywającego do modlitwy. Odczekałem pół godziny, potem wyszedłem na klatkę i zapukałem do sąsiednich

drzwi. Pamiętam, że płacz skrzypiec zamilkł nagle, jak ucięty. Usłyszałem człapanie pantofli, potem ten stary zapytał cicho: - Kto tam?

- Sąsiad - odpowiedziałem krótko.

Drzwi, przytrzymywane łańcuchem, uchyliły się tworząc szparę. Poczulem zapach stęchlizny, nie wietrzonego mieszkania, pleśni zmieszanej z zapachem naftaliny. Stary człowiek, którego blada, nie ogoloną twarz zobaczyłem w szparze, patrzył na mnie badawczo blisko osadzonymi oczami. Jego wąskie palce zaciskały się na framudze uchylonych drzwi. Zauważyłem brązowe plamy na jasnej skórze.

- Panie - powiedziałem opryskliwie - przestań pan rzepolić! Głowa puchnie od tego! Patrzył na mnie chwilę, a potem powiedział schrypniętym głosem:

- Tak, oczywiście. Przepraszani. - I zamknął drzwi.

I już nie grał więcej ani tej upalnej niedzieli, ani żadnej z następnych. Zapomniałbym o nim pewno, gdyby nie spacer jesienną drogą za miasto. Skręciłem z szosy w pola i uderzając kijem o kamienie szedłem ścieżką w stronę dalekiego lasu. Tam go zobaczyłem. Wydał mi się kim innym w pierwszej chwili (zjawą, człowiekiem nie z tego świata). Ale to był on na pewno - ta sama przygarbiona sylwetka, blada twarz, zarost, ciemne oczy. Siedział na składanym krzeselku naprzeciw prowizorycznego nutnika z patyków, na którym ustawił nuty. Grał na skrzypcach tę samą Legendę Wieniawskiego, a może Pożegnanie z ojczyzną! Zatrzymałem się o sto kroków od niego, potem podszedłem bliżej. Stałem słuchając, jak gra i jak płaczliwy głos skrzypiec wznosi się nad pustym polem. Patrzyłem na skraj lasu, na wysoki błękit, na czarne ptaki (zapewne stada wron) krążące nad rżyskiem. Ten człowiek grał pochylony nad nutnikiem z patyków - w zapamiętaniu, nieobecny, jakby cały świat widział w czarnych kropkach nut. Zawodziły płaczliwie skrzypce. Nie było nikogo. Postąłem chwilę, potem wolno, nie patrząc za siebie, zacząłem wracać w stronę podmiejskiej drogi i naszego domu, w którym jazgot kobiet, krzyk dzieci i śpiew pijanego węglarza to było wszystko, co zawsze mogłem usłyszeć.

Czerwone kalosze

Codziennie o różnych porach, między szóstą a piętnastą, pracownik fizyczny Maleńki zgłaszał się do magazynu i pytał o czerwone gumki. Magazynier Prymula zbywał Maleńkiego „nie ma”. Po kilku wizytach zdenerwował się i zapytał:

- Po co wam czerwone?

Maleńki, nomen omen mężczyzna niewielkiego wzrostu, lat około czterdziestu, zarośnięty, w zdeformowanym berecie, na którym widać było tłuste plamy, w brudnym drelichu i drewniakach z żółtymi cholewkami (pracował przy rozładunku grysów z wagonów podstawionych na bocznicy), nie odpowiedział.

Prymula huknął zdenerwowany: - No, mówcie! Codziennie zawracacie głowę o te gumki. Po co wam?

- Należą się.

- Ale dlaczego czerwone? Czarne możecie brać. Skolko ugodno.

Który numer buta? y

Maleńki nie wiedział. \$

- To ja mam wiedzieć? - zaśmiał się magazynier. - Człowieku! f Na tym rozmowę skończyli. Prymula byłby na pewno zapomniał o Maleńkim, gdyby około piętnastej trzydzieści nie wyjrzał przez okno pakamery na plac. Zobaczył kilku mężczyzn w

białych kaskach i czarnych kaloszach wciągniętych na nogawki spodni. Na czele grupy szedł mężczyzna w rozpiętej marynarce i czerwonych gumiakach. Wyglądały jak mak na tle szarego placu, błota i czarnych plam oleju przekładniowego na płycie przed warsztatami. Był to dyrektor naszej bazy, inżynier magister Gołaszewski. Pozostali mogli być inżynierami z biura projektowego lub dziennikarzami, którzy często zaglądali na budowę. W pewnej chwili Prymula spostrzegł czerwone gumiaki na nogach dyrektora.

124

p

- Tu cię mam, ptaszku! - pomyślał. - Tu leży pies! - Odwrócił się do swego pomocnika, Ziutka Kamińskiego i powiedział: - Ten Maleńki wykombinował sobie, że dostanie dyrektorskie gumiaki!

- To konus! - oświadczył pomocnik magazyniera.

Kiedy następnego dnia Maleńki zajrzał do pakamery, kierownik huknął nie dając fizycznemu dojść do słowa: - Jeżeli myślisz, kurwa, że w dyrektorskich gumiakach będziesz ganiał po placu, to się mylisz! - I pchnął żelazne drzwi przed nosem maleńkiego.

Po tym incydencie fizyczny nie pokazywał się przez kilka dni. Ale w następnym tygodniu, od poniedziałku, zaczął przychodzić znowu. Prymula lub jego pomocnik Kamiński pędzili natręta używając niecenzuralnych słów.

Kierownik spodziewał się kontroli z dyrekcji. - Ta kontrol nas wykończy, Ziutek! - mówił zdenerwowany do pomocnika. Obaj z Kamińskim czasem i do dwudziestej czwartej przesiadywali w magazynie sprawdzając kartoteki. Prymula pisał zaległe raporty. Mrugali czerwonymi z niewyspania powiekami.

W środku tygodnia, o jedenastej, podczas krótkiej przerwy, kiedy magazynier wyjął z teczki termos z kawą i postawił na biurku, obok położył kanapki owinięte w tłusty papier i już miał zaczynać drugie śniadanie, w uchylonych drzwiach pakamery ukazał się Maleńki.

- Panie kierowniku, są może te kaloszki?

Magazynier Prymula spojrział na Maleńkiego. Zobaczył zajady w kącikach ust, zezujące, blisko osadzone oczy, zarost, plamy na wypukłym biercu. Zaciśnął szczęki, ale Maleńki nie zauważył skurczu, jaki przeniknął przez twarz kierownika. Nad biurkiem zastawionym kartotekami. Wyżej zakratowane okienko. Żarówka w żelaznej oprawie, przymocowanej do sufitu śrubami. Kierownik nalał kawę do kubeczka, nakrętki i uśmiechnął się. Jakby słońko zajrzało przez zakratowane okno.

- Są. Idźcie korytarzem pod drzwi na końcu. Maleńki stał chwilę przestępując z nogi na nogę. Może myślał, że magazynier żartuje? Poprawił beret, pociągnął kilka razy nosem.

- To ja dziękuję, panie kierowniku - powiedział. Poszedł, stukając drewniakami, na koniec korytarza.

Prymula odsunął kubeczek z kawą. Pochylił się przez biurko Ntronę Kamińskiego, który podliczał kolumnę cyfr za pomocą liczydła suwał drewniane kółka na drutach).

125

- Ty, Ziutek, ja z tym chamem nie wytrzymam dłużej. >

- Przylać? - zapytał pomocnik nie przerywając liczenia. Prymula wstał, okrążył

biurko i wyszedł z pakamery na korytarz. Kamiński słyszał, jak zamyka główne drzwi do magazynu. Pisnęły zawiasy. Później usłyszał kroki kierownika na podłodze wyłożonej płytkami pcv.

Fizyczny Maleńki stał pod ścianą. Nie zwrócił uwagi na pisk zawiasów. Patrzył, jak kierownik Prymula — tęgi mężczyzna w niebieskim swetrze golfie, z wypiętym brzuchem, w półbutach i przykrótkich, zwężających się u dołu spodniach - idzie korytarzem w jego stronę. Po chwili zobaczył pomocnika Kamińskiego. Ziutek szedł kilka kroków za kierownikiem. Prymula otworzył drzwi obok fizycznego.

- Proszę uprzejmie - powiedział.

Stanęli między półkami, na których leżały stosy przygotowanych do wymiany kompletów pościelowych, koce i ręczniki. Pod ścianami, ustawione w rzędach, stały gumki. Maleńki zauważył nieco dalej trzonki łopat, czarne sztychy i stos związanych w pęki rękawic ochronnych. Ziutek Kamiński zamknął drzwi.

- No co, kochany, chcesz te czerwone kaloski? - zapytał Prymula. Już nie uśmiechał się. Ściszył głos.

Maleńki skinął głową. - Należą się panie kierowniku.

- Należą? - powtórzył Prymula. - Należą? - Dał krok w kierunku Maleńkiego. Naparł brzuchem. I nagle, biorąc z przydechem zamach, uderzył w usta.

Fizyczny nie zdążył osłonić się - nawet nie uniośł ręki. Głowa odskoczyła do tyłu.

Oparła o półkę, przy której stał. - Panie kierowniku - zaczął - panie kierowniku!...

Prymula szedł za ciosem - uderzył znów. Maleńkiemu spadł берет i potoczył się pod drzwi. Fizyczny zaczął cofać się przed kierownikiem osłaniając twarz. Prymula za nim - bił pięściami w głowę. Jeden z ciosów trafił w deskę - kierownik aż syknął z bólu. Zły, ruszył kolanem spod brzucha. Kopnięcie odrzuciło Maleńkiego w ramiona pomocnika, który zachodził go od tyłu. Kamiński chichocząc wykręcił fizycznemu rękę. Popchnął w kąt, w kierunku sterty rękawic. Po drodze wywracali trzonki łopat.

Leciały na beton ze stukiem. Pomocnik grzmotnął fizycznym o ścianę. Zdyszany magazynier wycofał się pod drzwi. - Dokop mu, Ziutek - powiedział. Oglądał rozbite knykcie.

126

Kamiński schylił się. Usiłował oderwać Maleńkiemu dłonie od twarzy, ale fizyczny trzymał mocno. Wtedy Ziutek zaczął kopać gdzie popadnie. Wyglądało, jakby podrygiwał nad stertą rękawic. I słysząc było każde kopnięcie. A może trzonki łopat leciały na rękawice? Maleńki coś mówił.

Kierownik Prymula ssal krew z rozbitych knykci. Stał blisko drzwi i słuchał, jak te łopaty padają miękko.

- Starczy - mruknął po chwili. - Już. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Ziutek Kamiński kopnął ostatni raz z rozmachem tracąc równowagę (musiał przytrzymać się półki), potem poszedł za kierownikiem. Na betonie, przy drzwiach, leżał берет z wypukłym czubkiem. Kamiński podniósł берет i rzucił w stronę rękawic, na których został Maleńki. Przekręcił klucz w zamku.

Na korytarzu czekał Prymula. - Ty, Ziutek, jak go obrabiałeś, on coś gadał...

- Powtarzał „panie kierowniku”.

- Nic więcej?

- Nic.

- Jakby szumiał, to wiesz: pijany wtargnął do magazynu, zaczął rozrabiać... Napisze się wniosek i won z roboty, jasne? Nie pomoże Panie Boże!

- Tak jest! - zaśmiał się pomocnik Ziutek. Poszli korytarzem w stronę biura.

- Rękę przez drania skaleczyłem - sapnął ze złością Prymula. Wszedł pierwszy do pakamery.

Fizyczny Maleńki leżał na stercie rękawic. Nitka śliny zmieszanej z krwią ciekła spomiędzy palców, którymi osłaniał twarz. Leżał skulony, z podwiniętymi nogami. Łokcie przyciskał do tułowia. W rzędzie czarnych gumiaków pod ścianą nie było ani jednej czerwonej pary.

1975

Pragnienie

ifcl

"I!: i.i.i

Sierżant Grucha wszedł do wychodka w chwilę po ogłoszeniu komunikatu, że pociąg do Strzelna spóźni się o czterdzieści minut. Była niedziela - dziewiąta dwadzieścia rano. Sierżant skończył służbę o dziewiątej. Przed wyjściem z komendy nie zdążył załatwić naturalnej potrzeby.

Nasz wychodek, przy płocie okalającym kolejową posesję, jest niedużym budynkiem o dwóch wejściach (dla mężczyzn i kobiet osobno). Ze ścian płatami odpada tynk. Latem, zwłaszcza w czasie upałów, czuć fetor na peronach. Szambo wywożą rzadko. Teraz, jesienią, zapach nie rozprzestrzenia się zbyt daleko. W środku normalnie, jak w każdym wychodku: na betonowej podłodze kałuża, drzwi kabiny nie domykają się, ściany wymazane, rysunki, deska obrobiona. Cuchnie.

Sierżant Grucha powiesił pas i czapkę na zardzewiałym gwoździu, spuścił spodnie, po czym ostrożnie wszedł na deskę i kucnął. W tym momencie usłyszał stuk twardego przedmiotu, który upadł obok buta, i zaraz potem głośne chlupnięcie niżej. Przedmiot wypadł z kieszeni Gruchy. W chwili, kiedy nastąpiło chlupnięcie, sierżant jak oparzony zerwał się z deski i przytrzymując spodnie, pochylił się nad otworem: do dołu z szambem wpadł służbowy pistolet P-64.

- I po com go brał? - pomyślał Grucha ze złością.

W chwilę później opuścił wychodek pośpiesznie dopinając spodnie.

- Panie zawiadowco — powiedział otwierając drzwi do pokoju dyżurnego - pożycz pan latarki, jak Boga Kocham!

Zawiadowca Lewandowski przyjmował meldunek z Milejowa. Machnął ręką wskazując na krzesło, ale Grucha nie usiadł, tylko zaczął chodzić z kąta w kąt.

- Stało się coś? - zapytał Lewandowski odkładając słuchawkę. Wstał i przywitał się z sierżantem. Grucha krótko opowiedział o wypadku.

128

- Bardzo przykra sprawa - zakończył - pan rozumie, co to zna-;y dla mnie? - Chodził zdenerwowany po dyżurce.

Lewandowski chwile szukał latarki, potem poszli do wychodka. Itanęli nad deską i zaczęli świecić w otwór.

- Pistolecik nie igła - powiedział zawiadowca. - Musowo zna-ziemy.

Snop światła odbijał się od powierzchni szamba. Pistoletu nie było.

- Czekaj pan - domyślił się Lewandowski - pewno leży na dnie. Trzeba wymacać!

Wybiegł po tyczkę, którą wyrwał z grządki w ogródku za wychodkiem. Macali dno tyczką, świecili latarką, zaglądali w otwór. Zawiadowcy czapka omal nie spadła z głowy.

- Beznadzieja! - splunął. - Chodźmy, panie Grucha. Tyczką nie zrobi nic, trzeba inaczej.

Stanęli przed wychodkiem - sierżant wycierał pot. - Rany boskie, panie zawiadowco, wymyśl pan coś...

Na ławeczce, pośrodku drugiego peronu, siedziało trzech mężczyzn. W środku, w zniszczonym palcie - znany na tutejszym terenie alkoholik, Janek Umański. Obok - dwóch kompanów z „Kubanki”. Po przepitej nocy, niewyspani i zarośnięci, siedzieli na ławeczce, od czasu do czasu wymieniając uwagi. Czekali na pociąg do Strzelna.

Duży mężczyzna z gąbczastą twarzą usiłował zapalić papierosa w cygarnicze. Drżały mu ręce. Na szyi miał przybrudzony, jedwabny szalik - niebieski w białe grochy. Trzeci był mały, chudy, wydawało się, że zmarzł i trzęsie się z chłodu.

- Pawełku - powiedział Umański zwracając się do małego mężczyzny - zorganizowałbyś jakieś piwko.

Zagadnięty wzruszył ramionami: - O tej porze, piwko?

- Ja już dłużej nie wytrzymam - poskarżył się Janek Umański. faylił się, żeby zawiązać sznurowadło.

- W bufecie nie ma - dodał mały. - Sprawdziłem.

- Przestańcie gadać o piwie - zachrypiał ten z gąbczastą twa-

- Ja was bardzo proszę.

Zamilkli widząc zawiadowcę Lewandowskiego w czerwonej czapce.

ł peronem w kierunku ławeczki.

- Dzień dobry, panie Umański! - powiedział zatrzymując się na-iwko.

t- Drugie wrota w las

129

Umański wstał z wrażenia. Ucisnął dłoń zawiadowcy. Lewandowski przywitał się z kolegami Umańskiego. Gąbczysty coś mruknął podając rękę.

- Moje uszanowanie panu naczelnikowi - powiedział pan Pawełek.

Lewandowski zwrócił się do Umańskiego: - Janek, pozwól na chwilę. Mam coś do ciebie na osobności. - I do Gąbczastego: - Bardzo panów przepraszam.

Pawełek i Gąbczasty patrzyli jak Umański z Lewandowskim odchodzą i jak zawiadowca Lewandowski zaczyna mówić gestykułując. Stanęli kawałek dalej. Janek Umański przestępował z nogi na nogę. Kręcił głową, w końcu odwrócił się i odszedł.

- Dwa piwa stawiam, Janek - zawołał za nim Lewandowski. -Przyniosł z domu.

Umański nie odpowiedział. Wrócił markotny i usiadł na ławeczce.

- O co chodziło? - zapytał Pawełek, nie mogąc doczekać się, kiedy Janek sam powie. Umański potarł nie ogolony policzek. - Jednemu pistolet wpadł do kibla. Chcą, żeby wyciągnąć.

- Do kibla? Do kibla? - zainteresował się Pawełek.

Umański powtórzył rozmowę z Lewandowskim. Pawełek zatarł ręce: - Nie zgodziłeś się? Co ci szkodziło, Janku? Naczelnik stawia piwo.

- Daj spokój, daj spokój - zachrypiał Gąbczasty. - Sam się zgłoś! Mały mężczyzna roześmiał się zacierając ręce. Siedzieli później w milczeniu. Dudniąc przejechał

towarowy skład.

- Jezu - westchnął Umański - ja tego nie zniosę dłużej.

- Puść pawia - poradził pan Pawełek.

Umański wstał z ławeczki. Ruszył w kierunku stacji.

- Janek - zawołał za nim Gąbczasty. - Janek! - Ale Umański nie obejrzał się. Szedł coraz szybciej. Skręcił w miejscu, gdzie było przejście między peronami.

Kiedy Gąbczasty i pan Pawełek przyszli pod wychodek, Umański ' pił piwo. Sierżant Grucha i zawiadowca Lewandowski stali obok z rękami w kieszeniach. Na ziemi, przy bucie Lewandowskiego, stała druga i butelka.

130

- Moje uszanowanie komendantowi - uklonił się pan Pawełek.

Grucha spojrział na Pawełka i nic nie powiedział. Umański dopił jivo, otarł usta rękawem - sięgnął po drugie. Zawiadowca odsunął outelkę butem.

- Ta będzie na później - powiedział. - Chodźmy.

Podniósł butelkę. Poszli naokoło wychodka pod płot, gdzie rosła Jarzębina i gdzie był wąż do dołu z szambem. Janek zaczął rozbierać iię. Palto i marynarkę powiesił na jarzębinie. Ściągnął koszulę. Spodnie iłożył w kostkę. Obok ustawił zakurzone półbuty. Został w krótkich [:alesonach i szarym podkoszulku, w skarpetkach zsuniętych na pięty.

- Na Umańskiego władza zawsze może liczyć! - zaśmiał się pan fawełek, ale oni milczeli.

Tylko Grucha powiedział w przestrzeń: - Pół litra ma w kieszeni, tak? Bądź pan spokojny.

Pokrywa wjazdu była pomalowana wapnem, które niszczyło się. Kiedy Umański podniósł ją, posypały się białe płatki. Z otworu buchnął fetor - pan Pawełek cofnął się zatykając nos. Gąbczasty został przy pniu jarzębiny. Zdjął z szyi jedwabny szalik: - Trzymaj! - podał Umańskiemu.

Janek owinał szalikiem twarz - zakrył usta i nos. Gąbczasty pomógł zawiązać szalik w supeł.

- Wyglądasz jak Capone! - śmiał się pan Pawełek.

Umański usiadł na podmurówce - spuścił nogi do wjazdu. Powoli zniknął w otworze.

Starął się wymacać stopami dno. W końcu tylko ręce zostały na krawędzi podmurówki - czerwone, z czarnymi obwódkami na paznokciach. Kiedy znikły, Grucha i Lewandowski podeszli bliżej. Zawiadowca zajrzał do wjazdu:

- Głęboko?

Z otworu słycać było chlupot. Głos Umańskiego zahuczał jak mr studni: i - Nad kolana, panie zawiadowco.

Sierżant Grucha okrążył wychodek i wszedł do kabiny. Pochylił się nad otworem.

Dźgnął kilka razy tyczką, którą zostawili w dziurze.

- Tutaj, Umański, w tym miejscu szukaj.

Umański macał stopami dno. Przeszł pował z nogi na nogę - szambo chlupotało.

- Rękami! Inaczej nie znajdziesz!

131

Janek posuwał się w półprzysiadzie. Trzymał ręce uniesione. Kaszłał. Sierżant widział szalik w grochy na jego szyi. Nagle Umański klęknął. Musiał zanurzyć ręce.

- O, to, to! - powiedział nad nim Grucha.

Gąbczasty i pan Pawełek zostali pod jarzębiną. - Jezu, taplać się w takim świństwie! - chrypiał Gąbczasty. - Po coś go namawiał?

- Ja, ja? - obruszył się pan Pawełek.

Zza węgła ktoś wyjrzał. Przyszło kilku chłopaków z peronu, zaciekawione baby, mężczyzna z teczką. Pytali, co się stało. Gąbczasty tylko burczał. Zawiadowca stał pochylony nad włazem. Fetor wisiał nad naszym wychodkiem.

- Jest - usłyszeli głos Janka. Grucha zobaczył, jak Umański wstaje z klęczek i podnosi w górę pistolet. Chciał podać sierżantowi, ale Grucha nie wziął.

- Nie mam papieru - powiedział.

Wszyscy patrzyli, jak Umański wychodzi. Z tym szalikiem i rękami po łokcie w szambie. Rzucił pistolet na trawę. Potem podciągnął się, przełożył nogę przez murek. Oddychał głośno. W końcu wypełził cały i został koło włazu na klęczkach. Sięgnął umazaną ręką po butelkę, którą Lewandowski trzymał przy bucie. Zawiadowca nie protestował. Odsunął się tylko i przyglądał, jak Umański pije, klęcząc - w jedwabnym szaliku na szyi i jak z jego kolan i rąk spływa powoli szambo, jakby Janek topniał.

Pan Pawełek powiedział trzymając się za nos: - Żeby cię tak stara ujrzała... Chryste Panie!

Sierżant pobiegł po wiadro do studni. Wrócił i chlusnął na pistolet.

Umański odstawił butelkę. Wstał z klęczek. Jakby go ruszyło to piwo - chwiał się. Poszli razem z Gąbczastym naokoło wychodka. Ludzie w milczeniu ustępowali im z drogi. Janek cuchnął okropnie. Podeszli do studni.

- Klęknij - zachrypiał Gąbczasty. I Janek klęknął. Trząsał się, jakby miał dreszcze - latały mu ręce. Gąbczasty zaczął pompować wodę.

Pan Pawełek stanął obok. - Nigdy nie zmyjesz tego gówna, Capo-ne! - Znowu zaczął się śmiać.

- Won! - zachrypiał Gąbc/asty.

Umański klęczał na betonowej płycie. Pluł i kaszłał. Spłukiwał szambo z gaci i rąk. Ciało miał białe. I te ręce w gęsiej skórcie. Zaczął mżyć deszcz.

132

Sierżant Grucha owinał pistolet gazetą. Schylił się i wsunął do buta Janka pięć dych. Wyprostował się, pogrzebał w portmonetce - dorzucił bilon. Zabrzącało pod jarzębiną. Wyciągnął rękę do zawiadowcy.

- Dziękuję za przysługę, panie Lewandowski. Pojadę tym o trzynastej.

- A nie mówiłem? - śmiał się uradowany naczelnik: - Pistołek nie igła! Skończyło się na strachu, co?

Sierżant stuknął palcem o daszek. Odszedł w stronę miasta.

- Tak na sucho nie przejdzie! - krzyknął za nim Lewandowski. - Będę pamiętał!

Nad peronem zachrypiał megafon zapowiadający przyjazd spóźnionego pociągu.

Zawiadowca odwrócił się. Popatrzył na Janka Umańs-kiego, jak goły klęczy na czworakach na betonowym kręgu, na Gąbczastego, który powoli pompował wodę, na pana Pawełka, na ludzi, którzy stali obok, na to wszystko w drobnych kroplach deszczu - i powiedział:

- Janek, nie zapomnij przykryć włazu, jak skończycie! Zabrał dwie puste butelki po

piwie i odszedł.

1974 - 1976

Gałązka bzu

Przechodząc obok drucianej siatki, za którą tęga kobie*ta podlewała grządki, chłopiec ułamał gałązkę bzu. Był maj. Na naszej ulicy -wzdłuż parkanów, płotów i murów - kwitły liliowe, białe i niebieskie bzy. Zapach kwiatów w upalne dni unosił się naokoło zmieszany z zapachem rozgrzanego asfaltu. Teraz, wieczorem, z zapachem mokrej ziemi, kiedy podlewano ogródki.

Chłopiec ułamał gałązkę i wręczył dziewczynie, którą obejmował drugą ręką. Dziewczyna przytuliła kiść bzu do twarzy i westchnęła. Nad ulicą przeleciało stado gołębi.

- Ej, chuliganie! - usłyszeli młodzi. - Twój bez, że łamiesz gałęzie?

- Nie odzywaj się - szepnęła dziewczyna, ale chłopak nie był z tych, którzy odchodzą potulnie. Odwrócił się. Zza drucianej siatki wyglądała tęga kobieta. Gumowy wąż, którym podlewała grządki truskawek, syczał rzucony na ścieżkę.

- Przepraszam - powiedział. — Mogę zapłacić. Ile gałązka kosztuje?.

- Ty mnie nie bierz pod włos, chuliganie! Łamie, a potem wtyka pieniądze! Trzeba było wpierw zapytać.

Chłopak wyłuskał z kieszeni dzinsów pięć złotych. Z pięciozłotówką w dłoni zbliżył się do płotu. Dziewczyna z gałązką ułamanego bzu została w miejscu, do którego doszli.

- Nie chcę nic za darmo - oświadczył.

Być może widok dziewczyny - smukłej, z liliowym bzem w opalonych dłoniach - bezczelny, jar pomyślała, wzrok chłopaka i drwina w jego słowach zirytowały tęga kobietę jeszcze bardziej.

- Won, gówniarzu! - krzyknęła. - Zabieraj swoje pieniądze! — Wytracona pięciozłotówka upadła z brzękiem na chodnik.

134

Chłopiec schylił się, żeby podnieść. - Tylko nie gówniarzu, tylko nie gówniarzu! - powiedział prostując się.

- Nie dyskutuj z nią, Romek. Chodź! - odezwała się dziewczyna. Ale chłopiec nie był z tych, którzy odchodzą potulnie. - Tylko nie gówniarzu! - powtórzył.

- Idź, idź, idź - mówiła coraz głośniejsze kobieta. - Zabieraj swoją |dziwkę i won stąd! Żeby was moje oczy nie oglądały więcej, gówniarze! Po drugiej stronie ulicy ktoś przystanął.

- Dzwinka - powiedział chłopiec błędnie, jakby stracił nieco opale-lizny na twarzy - to sama jesteś.

Kobieta odwróciła się. Podbiegła do leżącego na ścieżce węża. Przez chwilę, kiedy stała schylona, widział jej grube uda i łydki z nabrzmiały-li guzami żyłaków i wielki zad opięty kusą pomarańczową spódnicą. Potem w górę wystrzeliła fontanna wody. Kobieta odwróciła się i skie-jrowała strumień na chłopaka. Poczł zimne uderzenie strumienia na fwarzy i na piersiach. Zachłysnął się wodą.

- Won, chuliganie! - krzyknęła właścicielka bzu.

Po raz drugi miedziana pięciozłotówka upadła na chodnik. Tym razem nie podniósł jej. Dziewczyna widziała, jak chłopiec kładzie rękę na słupie, do którego przybito

siatkę, i wspina się wsuwając czubki butów w druciane kwadraty. Kobieta oblewała go wodą przez cały czas. Białe bryzgi leciały na chodnik, na krzak bzu obok. Na drucianej siatce, jak małe sople, zostawały krople. Chłopak skoczył na grządkę po drugiej stronie siatki. Podparł się rękami, zerwał i podbiegł do kobiety. Chwilę szarpali się wyrywając sobie gumowego węża.

- Gówniarzu! - krzyczała. - Chuliganie! - W chwili kiedy odebrał jej węża, zaczęła wołać: - Na pomoc, ratunku!

Zlany wodą, w koszuli, która lepiała się do ciała, stojąc na dygocących nogach, chłopak bezlitośnie oblewał tęgą właścicielkę bzu. Systematycznie, od głowy do grubych nóg, na których znać było ciemne guzy żyłaków. Zasłaniając się, tracąc oddech i krztusząc, kobieta cofała się nie przestając wzywać pomocy.

Dziewczyna podbiegła do siatki. Chwyciła za mokre druty i zawołała: - Romek opamiętaj się, Romek!

Tęga kobieta znikła w głębi ogrodu, wśród kwitnących drzewek, krzewów agrestu i czarnej porzeczki. Strumień wody parsknął w ciszy, jaka teraz zapadła. Chłopak mokrym rękawem koszuli starł z twarzy krople. Ciekły ze zmoczonych włosów.

135

- Jędza! - powiedział. - Potwór!

- Chodź - poprosiła dziewczyna. - Zostaw.

Stał, niezdecydowany, oblewając krzaki agrestu i długą grzędę truskawek pod nogami. Bawił się strumieniem wody. Patrzył w stronę, gdzie znikła kobieta. - Niech wróci. Inaczej pomyśli, że się boję.

Tęga kobieta wróciła po kilku minutach. Za nią, dopinając pas, za którym sterczała wetknięta biała pałka, i poprawiając służbową "czapkę, szedł milicjant. Być może chłopak i dziewczyna za drucianą siatką znali tego milicjanta z widzenia: w naszej podmiejskiej dzielnicy twarzy jest mniej - łatwiej zapamiętać. Lub on pamiętał dziewczynę, za którą oglądali się mężczyźni: smukłą, o długich opalonych palcach. Teraz te palce zaciskała na drucianej siatce. W rękach chłopca syczał strumień wody. Upuszczona gałązka bzu leżała przy nogach dziewczyny.

- Proszę, panie Adamczyk - mówiła zdyszana kobieta - niech pan spojrzy: tam leży bez. Zwróciłam uwagę, a on przelazł przez płot i oblał mnie, łobuz! Ty chuliganie! - Będziesz miał za swoje!

- Co tu robisz? - spytał milicjant podchodząc do chłopaka wzdłuż grzędy truskawek. - Co to za wybryki?

- Panie władzo, zaczęła mnie wyzywać pierwsza. Chciałem płacić za bez.

- Niech pan spojrzy, jaka mała gałązka! - zawołała dziewczyna zza płotu. Podniosła bez z ziemi.

- Ciebie nie pytam - oświadczył milicjant i stając przed chłopakiem rozkazał: - Rzuć węża i pokaż dowód. Raz, dwa!

Chłopak był wyższy - patrzył na miliganta z góry. Znów zawahał się. Uniósł rękę, żeby zetrzeć krople z czoła, a wtedy mężczyzna chwycił za metalową końcówkę.

- Chwileczkę - powiedział chłopak - sam odłożę.

- Kładź, gówniarzu! Kładziesz, czy nie?

Ale on nie należał do tych, którzy ustępują. Dziewczyna widziała, jak przez chwilę szarpali się usiłując - jeden drugiemu - wyrwać węża z rąk. Chłopak był silniejszy:

wyszarpnął końcówkę i skierował strumień na milicjanta. Mężczyzna zatoczył się pchnięty silnie. Woda zmyła służbową czapkę. Dziewczyna widziała, jak stał odwrócony (i strumień rozpryskujący się i bębniący po plecach). Wyciągnął wetkniętą za pas pałkę. Później, nie zważając na wodę, ruszył przez truskawki. Bił na oślep. Chłopak coś krzyknął. Ciosy pałki w bryzgach wody. Znowu szarpali się depcząc po grządkach. Zataczali się między krzewami agres-

136

tu. W syku strumienia. Dziewczyna zaciskała palce na drutach. Słyszała uderzenia pałki o mokre ciało: przypominały głośnie klaśnięcia. Może widziała pręgi na plecach chłopaka? Przeświecały przez koszulę. Krew na wargach. To wtedy, broniąc się, zaczął wywijać węzem. Guma grzmotnęła o plecy mężczyzny. Metalowa końcówka wytrąciła pałkę. Przeleciała łukiem nad grządkami. Mężczyzna skulił się. Głowę objął rękami. Chłopak bił z rozmachem. Krzyczeli obaj. Znowu grzmotnęło: raz, drugi. Tęga kobieta uciekała z krzykiem. Zlany wodą milicjant, bez pałki (leżała przykryta liśćmi truskawek), bez czapki - potykając się biegł za nią. Dopiero wtedy chłopak ustąpił: rzucił węza, chwając się || podszedł do płotu.

B - Romku, Romku! - mówiła szlochając dziewczyna. A on oparł B się o drucianą siatkę, na której błyszczały małe krople, i stał w milczeniu B ciężko dysząc. Na rozciętej wardze nabrzmiewała powoli grudka krwi. •b Zabrali go z ulicy, dwie przecznice dalej. Zza rogu wypadł radiowóz H| z piskiem opon zawrócił przy nich. Chłopak nawet nie próbował ^•i

W pół roku później został skazany na pięć lat więzienia, za to, „że przy pomocy węza gumowego z metalową końcówką pobił funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej pełniącego służbę oraz obywatelkę (tu wymieniono nazwisko właścicielki bzu) wdzierając się bezprawnie na teren posesji przy ulicy Lipowej dziewięć, w ten sposób dopuszczając się przestępstw określonych w artykułach dwieście trzydzieści cztery, sto pięćdziesiąt sześć i sto siedemdziesiąt jeden Kodeksu Karnego”.

Nie znaleziono okoliczności łagodzących i nie dano wiary oskarżonemu, który twierdził, że to on został pobity przez poszkodowanego, następnie w siedzibie komendy (na dowód czego pokazywał ubytki uzębieniu, blizny na głowie i lekko sepleniał). W czasie rozprawy ,howywał się arogancko, przerywał świadkom - funkcjonariuszom O, groził tęgiej kobiecie oraz kwestionował bezstronność sądu. Wyrok uprawomocnił się. Roman N., lat dziewiętnaście, uczeń, kawaler, poprzednio nie karany, obywatel polski - przebywa obecnie w zakładzie karnym.

1979

Święci tańczą na łąkach

Nazywali Stacha Świętym, choć niektórym Lazurówicz zbója przypominał: wielki chłop z brodą do pasa, oczy, mówiono, ma zielone. Z kosą na ramieniu - koszula podarta, spodnie porozpinane, na łydkach podwinięte - boso chodził nad Wisłę. Tam, naokoło, łąki ogromne i tylko skowronki polatują wysoko. Stacho, z głową zadartą, słuchał śpiewu ptaszków, jak dzwonek w kościele.

Często na głowę chorował i na leczeniu przebywał - ostatnio przez trzy miesiące, po awanturze z milicją, którą sołtys Jałosiński wezwał. W samo południe, podpity, z gospody wyszedł i plakat okolicznościowy na pierwszego maja z tablicy zerwał.

- Oddaj! - krzyknął sołtys podobno, a Stacho zmiął papier i buty zaczął czyścić, czym

radość gapiów wzbudził. Sołtys zadzwonił do Morawicy po radiowóz.

Kiedy przyjechali, Święty-Lazurowicz spał niedaleko tablicy w rowie przydrożnym, chrapał. Jak go zbudzili, krzyczeć i przeklinać zaczął, nie dał się do łazika wsadzić, szarpał - jednego z panów milicjantów odepchnął silnie, aż chłop jak worek o płot uderzył i czapka służbowa na drugą stronę poleciała. Wtedy z kilku stron obiegli Świętego - na oczach ludzi, dzieci, bab ciekawych - i czymś w oczy prysnęli, bo dopiero ból w oczach zmógł siłacza. Zapłakał, spotulniał i dał się do budy wsadzić. Dom miał po rodzicach, którzy obumarli go dawno, sam wtedy został i na paru hektarach piachu i łąk robił, jak umiał. Chałupa w jabłonowym sadzie stała. Jes/.cze dziad Lazurowicza jabłonie sadził, gęsto, tak że w maju, kiedy rirzewa kwitły, stała otulona chmurą okwiatu - nawet dachu nie było widać. Święty z tej chmury wychodził, jak z białej mgły. Zimą w lesie pracował - za drwała najmował si? w Dobroszycach.

138

Siedem lat minęło, jak sobie kobietę z miasta przywiózł, która mu później dwoje dzieci urodziła (Jolunię i bąka). Bez ślubu, w grzechu żyli, choć on z rodziny pobożnej. Maruszka na kobietę wołał. Nic to nie było warte: rozlazła baba, zresztą zwyczajna latawica, o czym wkrótce wiedziano powszechnie. Z nim te dzieciaki poczęła czy z drugim? Bóg jeden raczy wiedzieć.

„Maryśka” mówiły kobiety albo, jak Głowaczewska - „ono”. A które nieprzychylne Maruszce były, od najgorszych ją wyzywały.

Nie miał z latawicą łatwego życia Święty. Niechętna do roboty, leniwa. Całymi dniami wylegiwała się na łóżku rozmamłanym, pod pierzyną. Koło domu, jak dawniej, Stacha tylko widywano (jego dom na końcu wsi, przy drodze donikąd). Głowaczewska, najbliższa sąsiadka, wdowa, która do nich zaglądała czasem, opowiadała, że jak do środka weszła (zwykle pukała tylko w okno wołając Maruszkę na podwórze, bo w sieni i w izbie zaduch był nie do zniesienia) - latawica najczęściej pod pierzyną leżała, kury po drodze chodziły, popiół spod pieca nie wyniesiony, drwa rzucone byle jak, szybka w oknie wybita, dziura szmatą zatkana i tylko Pan Jezus ze ściany miłosiernie patrzy.

Do lasu czasem poszła po jagody - wracała z kanką kopiastą, palce granatowe, usta czarne - w białej chustce chodziła i zielonym swetrze. Z daleka Maruszkę było widać. To jedno lubiła - do lasu chodzić, jesienią grzyby zbierała, kosze maślaków i podgrzybków znosiła, które nawlekała na sznurki i wieszala na gwoździach wbitych w ścianę po słonecznej stronie.

A potem Maruszka zaczęła od niego uciekać - nawet rok nie minął. Głowaczewska mówiła, że się łajdaczy gdzieś ono. Ludzie później opowiadali: dzień słoneczny, niedziela przewodnia była, kiedy pierwszy raz od Świętego uciekła. Stacho po łąkach i polu chodził, markotny, nad nim skowronki, jak bicie dzwonek. Rozglądał się, dłonie do oczu przykładał. Myślał może, że ono w pole poszło? Na łąkach czajki krzyczały - pusto.

Wieczorem od domu do domu szedł, zaglądał ludziom w okna, pukał. Jak wyrżał kto - pytał: - Była tu? p - Kto? spytał Jakiela, co z ludzi lubi się pośmiać.

Święty postać chwilę, spojrział Jakieli w oczy: - Przecież wiesz, łowieku.

Wróciła po trzech dniach. Nawet jej nie zbił porządnie i źle zrobił, tydzień nie minął,

jak znowu uciekła (ludzie opowiadali). Aż w koń-
139

cu przywykliśmy do tego: w poniedziałek Maruszka wracała, dwa dni przeleżała na łóżku i znów szła. Stacho za nią chodził w pole, na łąki, gdzie czajki wołają.

Wieczorami w okna zaglądał: - Była tu?

A ono w Morawicy (bo później wielu od nas ją widziało) piło w „Kujawiance” wino, gdzie pijak na pijaku pije. I pod sklepem monopolowym wystawała. Jakiela opowiadał: - Sweter zielony, biała chusta.

Dwa lata minęły i przyszło dziecko na świat (jego, nie jego?) - Jo-lunia, dziewczynka. Święty sam chrzczył. Wstydił się pewno do księdza Sobolewskiego zanieść.

W niedzielę rano, wiosenną porą to było, dziecko Maruszcze kazał trzymać (nad stołem, koło okna). Sam kubkiem wiśniowym, w którym matka zawsze piła, wodę z wiadra zaczerpnął. Z kubkiem podszedł do Maruszki. Dziecko na jej rękach spało spokojnie - Święty schylił się nad pomarszczoną główką, która ze szmatek wyglądała. Ostrożnie odgarnął szmatki. Zanurzył trzy palce w wodzie, potem znak krzyża na czole, na piersi i na ramionach dziecka nakreślił.

- Ja cię chrzczę w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. A na imię będziesz miała... - Zawahał się, spojrzał na Maruszkę (zapomniał, jakie imię chciała). fas

- Jolunia - powiedziała latawica. „ej

- Jolunia - powtórzył Święty. '-Odmieniło się u nich - na pół roku. Maruszka, jakby spokojniejsza, z dzieckiem często przed dom wychodziła, prała. Kolorowe szmatki na sznurach wisały. Później Święty chorował - zabrali go na pięć miesięcy, w Krychowicach zamknęli, a kiedy wrócił - wszystko od początku się zaczęło. Samego z dzieckiem zostawiała, do Morawicy szła, pod „Kujawianką” wystawała. Szwendala się po barakach robotniczych, kotłowniach - brudna i niewyspana wracała do nas.

- Już lepiej by sobie poszło i przepadło! - mówiła Głowaczewska.

Ojciec Lazurowicza był grajkiem - starzy ludzie opowiadali, jak na weselach grywał. Z niejakim Lucerną chodził - nie było lepszych grajków od nich. Stacho nie odziedziczył tej łaski - daru muzykowania. Jedną piosenkę umiał zagrać na okarynie (skrzypce i okaryna po ojcu

140

zostały - skrzypce przepił, tylko okaryna na szafie leżała). Matka śpiewała piosenkę o miłości — może dlatego zapamiętał? Pierwszego wieczoru, jak Maruszkę przywiózł, zdjął okarynę z szafy i zagrał. I później grał czasem, a ona lubiła posłuchać, choć zawsze grał to samo:

Oj, gdzie w polu jezioreczko,

tam płynęło wiadreczko

z sosnowych klepek,

s z dna dębowego, r

czy nie szkoda wiadra mego?

Zwłaszcza po ciemku dobrze mu szło, kiedy deszcz za oknem albo zawiana droga, psa nie wygnasz.

- Zagraj na okarynie - prosiła Maruszka. Zapamiętała, jak instrument nazywają.

Święty chętnie sięgał po gliniany przedmiot. Chodził od drzwi do okna. Wolno, przerywał dla nabrania tchu, palcami przebierał ostrożnie po dziurach. Maruszka

siedziała zasłuchana. Tylko nad piecem jasne plamy wędrowały po suficie, kiedy ogień buzował.

Czy ty słyszysz prośbę moją? Proszę, wyjdź przed chatę swoją. Spójrz, dziewczeczko, spójrz, rybeńko, płynie twoje wiadereńko!

Razu pewnego gwiazdę żywą widzieli. W nocy Święty wyszedł za potrzebą i kiedy stał przy ścianie z głową zadartą, zobaczył, jak gwiazda leci. Ale nie tak, jak te, które często widywał, zwłaszcza latem, w sierpniu — w krótkim błysku spadające, że nawet okiem nie mrugniesz. Ta leciała z krańca na kraniec nieba - wolno, w ciszy wypełnionej szelestem liści.

Święty zbudził Maruszkę - wziął za rękę, wywiódł przed dom. Szła ; za nim powoli - znów była brzemienna.

- Patrz - powiedział. Pokazał gwiazdę.

Maruszka patrzyła zdziwona. Zadrżała nagle - dreszcz ją prze-szedł, przysunęła się do Stacha blisko. Stali zadzierając głowy.

- Są gwiazdy, co latają?

- Widzisz, kobieto.

141

- Dokąd ta leci?

Święty nie wiedział. A ona powoli nikła — na wielkim niebie, wśr wszystkich nieruchomych, nieżywych gwiazd — sama jedna żywa, coraj mniejsza, słabsza, dalsza. Aż znikła zupełnie.

Głowaczewska opowiadała, że M ar uszka przyszła w najgorszą słotę, łąki stały pod wodą, woda w bruzdach na polu rowami płynęła, cały dzień szum, bure niebo, liście jabłonek kleiły się do okien.

- Przyszło mokre całe, sukienka, włosy, twarz, z butów wylewało deszcz. Przyniosło tłumoczek. Patrząc, a to dziecko w kocyk owinięte, z kocyka woda kapie. Jezu, tamtego było za dużo, a już drugie przynosi.

Maruszka podobno siedziała w kuchni godzinę - ciemno już było, kiedy poprosiła, żeby Głowaczewska zaniósła Świętemu dziecko. Sama chciała wracać.

- Oszalała? - krzyknęła wdowa. - Po co?

Maruszka siedziała na stołku pod oknem - nogi rozstawione, bose stopy (buty postawiła przy piecu). Dziecko leżało na łóżku otulone w chustę starej. Po policzkach ściekały Maruszce krople deszczu.

- Pracę mam umówioną.

- Tu twoja praca - Głowaczewska pokazała na dziecko.

Maruszka nie chciała słuchać: - Nie pójdę i nie pójdę - mówiła. - Ja nie mam z nim życia.

W końcu zgodziła się zanieść dziecko - tylko podać przez próg.

Wyszły obie na deszcz, stara chciała przypilnować latawicę. Od niej, za dnia, widać dom Świętego. Wtedy, po ciemku, mogły tylko domyślać się, gdzie stoi. Przeszły kawałek razem - do górki.

- Dalej niech samo idzie - powiedziała Głowaczewska do Maru-szki.

- Poszło z tłumoczkiem, a ja, głupia, zostałam. I myślałam, że Święty zatrzyma, nie puści, bo co z dzieckiem odjętym od piersi poczniesz? Zaczęłam wracać, idę powoli, aż nagle ktoś z tyłu chwytą za ramię. Zdrętwiałam cała, Panie Boże Święty, ale to tylko

ono było, zdyszane, mówi, że zostawiła dziecko pod domem. Zbudziło się i płacze, to Święty posłysz.

- Tyś matka? - zdażyłam krzyknąć, a ono już znikło. Wtedy sama pod dom Lazurów wróciłam. Prawdę mówiła: na kamieniach pod okapem dziecko leżało. Przy strudze wody z dachu. Całe już było

142

mokre - moja chusta, czapeczka na głowie. Ale nie płakało, może usnęło na deszczu? Podniosłam maleńkiego i do okien zaczęłam stukać. Omal szyb Świętemu nie wytłukłani, póki lampy nie zapalił.

Lazurów zaspany, w koszuli i kałesonach, stanął w drzwiach. j Głowaczewska podała mu tłumoczek: - Bierz, twoje.

Nie chciał wziąć. Cofnął się w głąb sieni.

Głowaczewska za nim z krzykiem: - Bierz, bierz, nie pytaj! Zostawiła ci latawica, którą sobie z miasta przywiozłeś. Jeszcze ci niejedno przyniesie! - Powiedziała o wizycie Maruszki. - Goń ją, może dogonisz?

Święty, zaskoczony, milczał. Potem wziął dziecko i zamknął drzwi. Głowaczewska, złorzecząc, wyszła na drogę. Wracając miała nadzieję, że spotka Maruszkę („Myślałam, że się opamięta i zostanie ono!”), ale kiedy pod dom zaszła, nikogo nie spotykając, zawróciła.

- Jeszcze gad krzywdę dziecku robi!

Na górce, gdzie przedtem z Maruszką się rozstały, teraz Świętego zastała. Z lampą naftową stał na drodze. Przyciskał tłumoczek do brody.

- Maruszką! - wołał. - Wracaj, matko!

Może inaczej? Głowaczewska nie pamiętała. Płomyk lampy wiatr gasił. Podeszła bliżej, a tu płacz z tłumoczka słyhać, jak brzęk tłuczonych szybek.

- Panie Boże, Święty, daj dziecko. Będzie u mnie, póki ono nie wróci.

Ale Święty nie chciał oddać. - Wracaj, matko! - wołał. Stali po ciemku, kiedy lampa zgasła.

- Oddaj, Stacho, oddaj - powtarzała Głowaczewska. Ale potem zorientowała się, że mówi niepotrzebnie, bo tam, gdzie Stacho stał przed chwilą, nikogo nie ma. Pusta droga.

Ktoś mu powiedział, gdzie tej poletuchy szukać, bo w marcu w roztopy, pojechał do Morawicy. Kiedy konia do wozu prowadził, Jolunia spytała:

- Dokąd jedziesz, tato?

- Po matkę.

- Ja też pojedę.

143

- Zostaniesz. ,;

Ta mała, jak mówili u nas, choć to ledwie od ziemi odrosło, za matkę podrzucionemu dziecku była. Lulała do snu, mlekiem z butelki karmiła, smoczek, jak płakało, maczała w cukrze, wtykała. Pół roku minęło, odkąd matka je podrzuciła - śmiało się do Joluni podobno, a jak ojciec schylił nad kołyską, to tylko brzęk tłuczonych szybek - płakało.

Święty konia zaciął - ani się obejrzał. Osiem kilometrów przez las i łąki. W rowach leżały płaty śniegu. Siedział na ławeczce zgarbiony, w czarnej kurcie z postawionym

kołnierzem, w kolejarskiej czapce po ojcu.

W miasteczku zajechał wozem na rynek, tam stanął pod ślełą ścianą, przy której we dnie targowe stragany ustawiali. Dał Malutkiemu obroku (boki konia parowały), potem poszedł do „Kujawianki”.

Usiadł przy drzwiach - inne stoliki były pozajmowane. Zamówił bigos i wódkę.

Kiedy kelnerka stawiała przed nim „stołową”, zapytał, czy Maruszka u nich pracuje.

Dziewczyna wzruszyła ramionami - domyśliła się, o kogo chodzi. Poszła zaraz do kuchni i powtórzyła Marusz-ce: - Pyta o ciebie taki czarny, z brodą.

Maruszka przestraszyła się: - Jezu, mąż mnie szuka.

Dziewczyny z kuchni zaczęły wyglądać przez okienko, którym talerze podawano.

Święty tego nie widział - pił wódkę.

- Jak zbój wygląda.

- Nigdy w życiu nie wyszłabym za takiego - powiedziała kucharka.

Inne śmiały się: - Mąż, mąż! Widziała ona męża!

Święty przespał w „Kujawiance” godzinę - spał trzymając głowę na stole. Kelnerki próbowały go budzić - bez skutku. Może śniła mu się Maruszka? A ona wyszła z kuchni i stanęła przy nim. Dotknęła zmierzwionych włosów. Podniosła z podłogi czapkę. Potem wróciła do kuchni.

O piątej uniósł głowę, ziewnął, potarł pięścią oczy. Przewrócił krzesło wstając. Dwaj, którzy dosiedli się do stolika, spojrzeli zdziwieni.

Kiedy wszedł do kuchni, Maruszka siedziała na stołku, w kącie - obierała ziemniaki.

Przed nią stała miednica ze stertą obranych, obok stos obierzyn. Naprzeciwko siedziała druga kobieta - obie były w białych fartuchach brudnych w pasie i na końcach rękawów. Marusz-ce wyglądały gołe kolana i rąbek halki. Stacho stał chwilę w drzwiach.

- Czego tu? Czego tu? - zawołała kucharka.

144

Nie odpowiedział - poszedł między stołami w kąt kuchni. Widział pewno: kotły na piecu, zaparowane okna, stos obranych ziemniaków w miednicy. Na podłodze z czerwono-żółtych kafli rozlana zupa (groch, marchew, liście kapusty, fasola). I może te gołe kolana Maruszki? Stanął nad nią.

Ta druga wystraszyła się: - Jezu, taki zbój - mówiła potem. - Bałam się, że zrobi krzywdę.

Maruszka nie przestała obierać ziemniaków. — Po coś przylazł?

- Do domu - powiedział. Głos miał schrypnięty. Maruszka wstała, rzuciła kozik na stertę ziemniaków. - Nigdy nie wrócę! Wynocha.

- Do domu.

- Gównu - krzyknęła Maruszka. Odeszła za stół, na którym stały blaszane miski - rękę zgięła w łokciu: - Tyle wrócę! Dom, dom! Psia buda, nie dom. Świnie w domu trzyma, a mówi dom!

Kelnerki zaczęły zaglądać do kuchni przez uchylone drzwi. Dziewczyny od naczyń śmiały się po kątach.

- Żeby choć telewizor miał!

- Do domu - mówił Święty.

Szedł za Maruszka, ona cofała się przed nim. On krok do przodu, ona do tyłu. Stacho

po jednej stronie, ona po drugiej. Przystawał, to i ona stawała. I znów w kółko. Śmiech dziewczyn. Kucharka szła za nim, szarpała za rękaw: - Wynoś się! - W pewnej chwili krzyknęła do bufetowej: - Zosiu, dzwoni po radiowóz!

Święty nie zwracał uwagi. Niby ciężki, jak kłoc, a lekko skoczył przez stół. Miskę blaszaną stracił - rozsypała się krojona marchew. Maruszka poślizgnęła się na rozlanym barszczu, zachwiała. Krzyknęła coś, Święty podskoczył - wziął na ręce jak dziecko. Wierzgała nogami, krzyczała, szarpała za włosy i brodę. On nic - wyszedł z kuchni. Drzwi na ulicę otworzył nogą.

Szarówka już była i deszcz ciągle padał. Szedł przez rynek na skos z Maruszką na rękach. Dziewczyny wybiegły za nimi. Kucharka pobiegła do telefonu (nie mogła się dodzwonić na milicję). Maruszka podobno uspokoiła się na dworze, jakby opadła z sił. Objęła Stacha za szyję.

Malutki drzemał z opuszczonym łbem. Lazurówicz posadził kobietę na ławeczce - potem odwiązał z dyszla pusty worek po obroku, rzucił na wóz. Odjechali.

- Drugie wrota w las

145

Głowaczewska chciała latawicę zobaczyć (wiedziała, że Święty przywiózł z miasta). Minęło kilka dni i nic - cisza. Ani razu nie zajrzało do niej. Wtedy sama poszła.

Podobno długo stała pod oknem pukając w szybę. Chciała Maruszkę na podwórzu wywołać, ale z budy Świętego nikt nie wyszedł. Tylko pies za plecami wdowy czekał. Stara do sionki weszła (gdzie kury spod nóg z gdakaniem uciekały) i drzwi do kuchni uchyliła. W izbie pary było dużo — ziemniaki w saganie na piecu stały. Biały kłęb wytoczył się na próg.

- Jest tam kto? - spytała. Cisza. Dopiero kiedy białe opadło, zobaczyła Maruszkę.

Przy oknie stała z dzieckiem na rękach. Mały zapłakał i ono zaczęło płakać. - Co ci? - spytałam - co ci jest? - a ono tylko krok zrobiło w moją stronę i zobaczyłam łańcuch. Przy nodze miało żelastwo.

Głowaczewska zaraz do sołtysa pobiegła. Jałosiński nie chciał słuchać.

- Oczy macie słabe - śmiał się. - Przywidzenia.

Głowaczewska przysięgała na wszystkich świętych. Nie wyszła, póki nie obiecał, że sprawdzi. Później sołtys sam opowiadał ludziom na drodze:

- Łańcuch ze trzy metry długi, ogniwa porzewiałe, z jednego końca do stołu przybity (całowe gwoździe, przy łebkach zgięte), z drugiego do nogi kobiety niżej łydki uwiązany, na nodze szmata, łańcuch na szmacie okręcony i drutem spięty, drut gruby, wpleciony w ogniwa i mocno zakręcony, tak że gołymi rękami nie odkręcisz, a i za pomocą kombinerek niełatwo.

Tak było. Przykuł gad Maruszkę: kilka kroków od stołu do okna mogła zrobić. Piec palcami musnąć, jak się przegięła. Łańcuch ciężki, żelazny, ogniwa gruchoczą - wołała cały dzień przesiedzieć, żeby nie słyszeć.

Ale kiedy Głowaczewska przyszła, rozplakała się. I starej na płacz się zebrało - objęła Maruszkę, od której naftą cuchnęło (włosy w nafcie musiała płukać). Nie wierzyliśmy Głowaczewskiej, póki sołtys nie potwierdził.

Jałosiński chodził do Świętego raz i drugi - łańcuch zdjąć nakazywał. Tłumaczył.

- Ucieknie - mówił gad podobno.

A sołtys: - Człowieku, dziś nie te czasy. Co ludzie powiedzą?

- Ucieknie.

- Jak psa uwiązałeś.

- Na noc puszczam.

- Prawda? - zapytał Jałosiński Maruszkę.

Przytaknęła. Może tym sołtysa uspokoił? Na noc puszczal — a w dzień? Wiadomo było, że od niego uciekała. Wzięłoby zaraz i poszło sobie - za nic miała dom, Stacha, dziecko. Niektórzy mówili: dobrze zrobił.

Kiedy młodsze podrosło - przed dom Święty zaczął je wyprowadzać. Szło powoli, niezdarnie, na krzywych nóżkach. Stacho za ręce trzymał, pochylony, Jolunia obok uśmiechnięta. Naokoło studni małego prowadzali. To wtedy Maruszkę uwolnił. Nie minął tydzień, dwa - patrzymy, a ono biegnie drogą. Zielony sweter, chusta biała - do Mora-wicy od Świętego uciekła.

I od początku zaczęli się wodzić.

Stacha nie było wtedy. W Krychowicach na leczeniu przebywał. Zostało ono z dziećmi i choć niewielu z nas los tej latawicy i jej dzieci obchodził, strach było pomyśleć, że może utopić i spalić żywcem lub, co najgorsze, głodem zamorzyć własne dzieci.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Bose i głodne to biegało - Jolunia w sukience z oberwanym rękawem, chłopiec w koszulinie, z gołym brzuchem i małym przyrodzeniem na wierzchu, błotem umazany. Głowaczewska do nich, między jabłonie chodziła, dzieci doglądała - zresztą one częściej na jej podwórzu przebywały niż na własnym.

Przyszedł sezon na truskawki i coś tam za chałupą Świętego, na pólku, które szczególnie doglądał, odkąd przed dwoma laty sadzonki truskawek przywiózł - musiało się zacerwienić, bo jednego dnia zobaczyliśmy, jak Maruszka z wychowanką sołtysa Jałosińskiego, którą prosiła do pomocy, zbierały truskawki do kobiałek, tak że kto przechodził drogą, widział, jak schylone zrywają owoce, najczęściej w kucki, czasem tylko któraś prostowała się, a wtedy podciągnięta sukienka odsłaniała białe uda. Dzieciaki im pomagały i słychać było, jak Maruszka pokrzykuje aa nie, bo pewno, zamiast do kobiałek wrzucać, same owoce zjadały. Następnego dnia, skoro świt, pojechała wozem do Morawicy - widzieli ludzie, jak w zielonym swetrze i białej chustce po ukraińsku na

czoło zsuniętej (z szyją opatuloną, jakby przeziębiona była) jechała. Kobiałki powiązane sznurkiem za nią, na Malutkiego pokrzykiwała - i tak znikła ludziom z oczu.

Dzieci zostały same - cały dzień po polach biegały, szczęście, że deszcz nie padał, i szczęście, że do Głowaczewskiej mogły zaglądać, tak że głodu nie zaznały.

Wieczorem, kto drogą obok domu Świętego przechodził, widział między jabłonkami pełgający płomyk lampy naftowej, którą Jolunia zapaliła, i główki w oknie - matki wyglądały. Pewno czekały tak do późna (godzinę, dwie, trzy?), w końcu bąk zasnął, kiwnął się raz, drugi - może spadł z krzesła? I zbudził z płaczem. Matka nie wróciła.

- Załajdaczyła się w Morawicy - mówili ludzie. - Wstydu ono nie ma. Stacho, biedak, w szpitalu jęczy, a ta za jego owoc pije!

Tak było. Pod wieczór następnego dnia (chyba deszcz mżył wtedy i mała z bąkiem cały dzień w domu przesiedzieli) zobaczyliśmy wóz. Konik Świętego zgrzany, boki parowały, a na ławeczce Maruszka w chustce białej i żołnierz przy niej w rozpiętym mundurze, bez czapki - żołnierz chudziutki, młody chłopak - oboje pijani, śpiewali. Naszym kobietom aż dech zaparło i mowę odjęło. Pod plebanią przejechali, tuż obok kościoła.

Musiała przepić wszystko, co za truskawki dostała - tylko dzieciom parę drobiazgów przywiozła: niebieski kapelusz małej, chłopcu motyla na kółkach bijącego drewnianymi skrzydłami (może trochę odpustowych cukierków). Śmiech słyhać było na drodze, gdy z pijanym żołnierzem skrzynkę piwa czy wina nieśli do chaty. A później, do północy, światło w oknie i śpiew pijanej Maruszki: Dla ciebie, miły... Chłopak, ten żołnierz, uciekł następnego dnia - niedziela była, ludzie pod kościołem stali, widzieli, jak szedł w zabłoconych butach. Podobno przyklęknął i przeżegnał się. A ono z dziećmi zostało. Głowaczewska nawet przestała tam zaglądać. - Do takiej nie pójde - mówiła - żal tylko dzieciaków. Żal.

Choć one pewno nic nie widziały. Posnęły zaraz, zmęczone (mały bąk z drewnianym motylem, którego nie chciał z rąk wypuścić, Jolunia z niebieskim kapeluszem - brz. g trzymała w palcach). W kącie izby, na sienniku, który Maruszka dalej odciągnęła, starymi kocami przykryte i tylko czasem mały westchnął, drewniane skrzydło stuknęło, Jolunia przez sen mówiła - nic nie widziały.

148

Matka piła z żołnierzem do północy - zza jabłoni śpiewy słyhać było, potem lampa zgasła i tylko skrzyp starego łóżka - żołnierz butów nie zdjął, załomotał butami o ramę. Maruszka powtarzała łykając oddech: - Serce moje, serce moje, serce! Jakiela (co z ludzi lubi się pośmiać) o żołnierzu powiedział. Spotkał Stacha na drodze - w miesiąc, a może dwa po powrocie Świętego ze szpitala.

- Ty - przytrzymał za rękaw - słyzałeś?

Lazurowicz spojrział z góry na Jakiele, który zsiadł z roweru, uśmiechnięty. Stali niedaleko gospody - ludzie widzieli.

- Twoja sobie żołnierzy sprowadza, gdy poza domem przebywasz.

Stacho milczał. Patrzył z góry, sapał. Jakiela zaczął się śmiać: -Nie wierzysz? Pójdź do księdza, Jałosiński może poświadczyć. Ja widziałem, wszyscy widzieli!

Wtedy odepchnął go silnie, aż rower tamtemu upadł. Zaczął odchodzić. Jakiela podniósł rower i śmiał się.

- Ty - wołał - niech ci sama opowie!

Jolunia była na podwórzu, stała zamyślona, kiedy nagle zobaczyła ojca - Święty z pola wrócił, bez konia i wozu, przyszedł zmieniony, coszulę miał rozdartą (rękaw wisiał oderwany). Stanął naprzeciw małej tak oboje stali chwilę. Może pies zaszczekał łasząc się do Stacha? Zadzwoił łańcuch? Zapiał kogut? We wsi samochód GS-u przejechał irogą i kurz opadał powoli. Mała przyglądała się ojcu.

- Stało się coś, tato?

A Stacho powiedział podobno (zdanie, które mała powtórzyła później Głowaczewskiej, a ta ludziom): - Nie będzie już matki.

Prawdę mówił (jeśli mała i Głowaczewska nie zmyśliły), bośmy jej więcej u nas nie widzieli ani tego roku, ani następnego. Nigdy.

Nie szukał jej z początku nikt, a i Święty nie dowiadywał się w Powiecie (nie jeździł do „Kujawianki”), w Gminie nie był ani nawet z sołtysem Jsłosińskim nie rozmawiał, a że ona u nas nie meldowana, obca - nikogo zniknięcie Maruszki nie obeszło.

- Zabił, zbój - mówiła Głowaczewska i powtarzała te zasłyszane jakoby słowa: - Nie będzie już matki, o

149

Powiedział tak, nie powiedział? Zabił, nie zabił? Utopił? A może poszła tamtego dnia - w swoim zielonym swetrze, choć upał, w białej chustce po ukraińsku na czoło zsuniętej, boso, przez pola, i taką ją Święty widział po raz ostatni?

- Maruszka - zawołał. Ona przystanęła. - Maruszka! - próbował iść za nią.

- Nie goń, nie idź - powiedziała.

I szli tak jedno za drugim: co on podchodził do niej, ona odchodziła. Coraz dalej wioska, pola, koń Świętego na łące (Stacho mógł kosić od rana - może z kosą szedł za Maruszka i ona, bojąc się, uciekła przed nim?).

- Gdzie idziesz? - pytał.

- Do swoich.

Daleko za wieś zaszli, aż do wysokiego lasu. Maruszka w białej chustce weszła między drzewa. Jeszcze raz i jeszcze raz zobaczył chustkę, a potem już tylko ciemną ścianę lasu. - Maruszka! - wołał. Nic, cisza, nikt nie odpowiadał. Święty postął z kosą, potem wolno zaczął wracać i tak, zmieniony, na podwórze zaszedł. - Nie będzie już matki - powiedział, ale przecież nic złego nie zrobił.

Według innych Lazurowicz Maruszkę utopił. Tego samego dnia to nastąpiło. Kosił od rana niedaleko rzeki. W południe przyszła z kanką mleka i chlebem owiniętym w chustę. I tam, na łące, doszło między nimi do kłótni - może wtedy o żołnierza zapytał? O Jakieli wspominał, o ludziach, którzy widzieli. Ona odburkiwała, Stacho coraz natarczywiej: - Gadaj, jak było?

Chwycił kobietę za ramiona, potrząsnął silnie.

- Puść, ty zbój! - krzyknęła.

Lazurowicz klęczał przy niej i kiedy to słowo wymówiła - zbój! - jemu twarz stężała, patrzył chwilę na Maruszkę, jakby chciał jej włosy, czoło, oczy (i tę złość w oczach) zapamiętać, potem chwycił jedną ręką pod kolana, drugą za plecy objął, dźwignął i zaczął iść w stronę rzeki. Ona wierzgała nogami, biła Świętego po twarzy, drapała, ciągnęła za włosy, ale nie czuł tego, szedł cierpliwie, wielkimi krokami (tam, gdzie siedzieli, kanka przewrócona leżała i mleko powoli wsiąkało w ziemię).

Daleko było do brzegu (łąki u nas ogromne), spociał się idąc tak w słońcu, strużki potu z czoła popłynęły. I Maruszka pocila się pewno. Cienka bluzka przykleiła się do pleców. Zapach potu. Świerszcze milkły

150

pod nogami Świętego. Nad brzegiem Maruszka objęła mężczyznę za szyję? z całej siły, aż musiał jej ręce rozrywać. Szarpnął silnie kilka razy, przykleknął tracąc równowagę, nim puściła.

- Kochany! - krzyknęła wtedy, ale on nie słyszał. Mocowali się na brzegu - pod nimi głęboka woda, wiry świdrujące w głębinie, ciepły wiatr i zapach rzeki - łąk, gałązek wikliny. Rybitwa przelatując za-krzyczała. Może - ludzie! ludzie! - ale kto ptaka usłyszy? A może wołała Maruszka?

W końcu zepchnął Święty kobietę do rzeki. Stał potem na nogach rozdygotanych, zdyszany, w koszuli z oberwanym rękawem, patrzył. Ona jeszcze się wynurzyła - ludzie! - już krztusząc się wodą. Spódnica jak balon wypięta, bańki powietrza szły naokoło, zanurzała się znowu - Stacho! - trochę dalej. Prąd ją znosił, jeszcze ręce mogły się pokazać na wodzie, raz, drugi, coraz dalej. Święty patrzył z brzegu, później już tylko cicha woda płynęła, ciepły wiatr, krzyczały rybitwy.

Odwrócił się, zaczął wracać. I tak doszedł do podwórza, na którym Jolunia stała, zatrzymał się przed dzieckiem, zmieniony, z oberwanym rękawem.

- Nie będzie matki.

I mówili jeszcze ludzie, jakoby Święty trumnę zbijał - z desek, które z tartaku z Woli Dobroszyckiej przywiózł. Klęczał na podwórzu - dzieci stały przy nim, patrzyły, jak ojciec pracował. Potem skrzynię na wóz załadował, dzieci na niej posadził i sam, idąc obok wozu, konia popędzał. Tak do cmentarza dojechali.

Na miejscu Stacho konia pod murem zostawił, skrzynię z wozu dźwignął i pochyłony, na ramionach poniósł. Dzieci szły za nim. Weszli w cień lip, które przy bramie kamiennej rosły, potem Jolunia furtkę przed ojcem otworzyła (skrzyp cienki), poszli aleją na drugi koniec, pod mur, przy którym chwastami zarosłe miejsce, i tam Święty dół głęboki wykopał (wrócił po łopatę do wozu, a może ze skrzyni wyjął?). Dzieci stały nad dołem, zaglądały czasem. Święty kopał w milczeniu, aż wielki kopiec żółtej ziemi wyrósł obok. Kiedy wyszedł z dołu, na brodzie miał piach - może Jolunia zachichotała wtedy, ale on tylko spojrzął - umilkła. Skrzynię na sznurze opuścił, rzucił koniec sznura na wieko, podniósł pierwszą garść piachu - kamyki o deski stuknęły, potem dzieciom kazał rzucić znowu stuknęło.

151

Później dół zasypali. Żółty kopczyk uklepał łopatą. Klęknął jeszcze rozgrzany pracą, z piachem na twarzy. Dzieci stały obok i patrzyły, jak ojcu krople potu płyną po czole, po policzkach i nikną w brodzie. Święty ogarek świecy z kieszeni wysupłał i zapalił. Płomyk świecy osłonił rękami i tak, pochyłony nad grobem, klęczał patrząc, jak ogarek maleje. Odjął ręce znad płomyka pełgającego na piachu. A kiedy*odjął, płomyk zgasł.

- Jaka była matka? - pytał czasem. Zwykle, gdy deszcz padał, siedział długo na stołku pod oknem, latem na ławeczce pod okapem, dzieci przy nim - bąk na stole, Jolunia malowała kwiaty. Ona te kwiaty stale malowała i zbierała od wczesnej wiosny.

Małego na łąki ciągnęła, później oboje z naręczami wracali: gałęzi złotodeszczu, kiedy kwitł, żarnowca, szałwi, latem maki w żytach zbierali, bławatki, rumianek lub błękitny podróżnik w rowach. Te kwiaty w słoikach stały, póki wszystkie płatki nie opadły. Malowała kwiaty, odkąd Stacho w Morawi-cy zeszyt kupił i pudełko kredek za trzy pięćdziesiąt, maluj - powiedział.

Jolunia wiele zeszytów zamalowała kwiatami.

Święty częściej ostatnio zapadał w zamyślenie. Na okarynie nie grał. Patrzył w okno, na znajomy kawałek podwórza, po którym dawniej M ar uszka chodziła.

- Jaka była matka?

Jolunia nie wiedziała, co odpowiadać. Bąk już matki nie pamiętał. Bose i obdarte to chodziło - zimą i latem. Głodne i zmarznięte - Święty potrafił dwa dni przesiedzieć pod oknem. Tylko Głowaczewska czasem do nich zaglądała. Opowiadała później, jak

Stacho siedział zagapiony, na żadne pytania nie odpowiadał, a w kącie, koło zimnego pieca, świnia podobno leżała. Dzieci grzały się przy niej. Mały bąk spał wtulony w brzuch i kiedy świnia wstała (drzwiami uderzona), chłopiec stuknął głową o podłogę, ale nie zbudził się, tylko rękami szukał ciepła przy sobie. Jolunia usiadła i pr/ytrzymując kwiczącą świnie patrzyła na wdowę.

Głowaczewska załamała ręce. Następnego dnia była w Morawicy.

152

Nie minął tydzień, a pierwsza komisja przybyła. Sołtys Jałosiński Stacha wezwał, gromada ludzi poszła na cmentarz. Z powiatu przedstawiciele przyjechali i z gminy. Dwóch milicjantów w mundurach.

Jesień była późna, deszcze długo padały - ziemia przy żółtej mogile rozmiękła, do butów się kleiła.

- Tu? - spytał Świętego. Kiwnął głową. Kazali kopać.

Nim zaczął, klęknął i pochylony klęczał długo, aż go jeden z milicjantów szturchnął. Dopiero wziął łopatę. Dwóch od nas pomogło skrzynię wyciągnąć. Deski już gnici zaczęły. Ci z powiatu kazali odbić wieko. Ciasno ludzie stłoczyli się nad skrzynią - jeden drugiemu przez ramię zaglądał. Święty łopatę wbił między deski, podważył. Była pusta. Tylko pęk zbutwiałego zielska leżał na dnie (może rumianków polnych?). Stali wszyscy stłoczeni, deszcz siąpił, zimno, lipy przy cmentarnych murach огоłocone z liści, dygotały. Niebo bure nad nami, wiatr gnał chmury. Ktoś zaśmiał się, ludzie patrzyli po sobie. Stacho stał nad skrzynią schylony.

- Po coście pustą zakopali? - zapytał urzędnik z powiatu. Święty nie odpowiedział.

- Jego szczęście, że pusta! - Śmiech za plecami.

Święty milczał.

Ktoś nogą trącił skrzynię, wtedy ciężką rękę na tego, co kopnął, podniósł - chciał uderzyć. Ludzie ich rozdzielili.

Urzednicy odjechali zawiedzeni. I my wszyscy wracaliśmy wolno, jakby nikt własnym oczom nie wierzył. Jakże tak - zielsko w skrzyni zakopać?

Dali spokój Świętemu o Maruszkę. Może gdzie indziej latawicę znaleźli? Może u swoich była? W obcym mieście, w innej wiosce? Tu nie wróciła nigdy. Przepadła z naszego żywota, jak ta gwiazda. Tylko żółty kopczyk został na cmentarzu.

- Już lepiej wzięłyby i pomier - wzdychała Głowaczewska, kiedy dzieciaki czasem do niej wstępowały - głodne, więc zawsze kubek gorącego mleka, po pajdzie chleba z czarnym salcesonem dostały lub ciasta z kruszonką. Biegły potem szukać ojca - w polu, na łąkach, nad rzeką lub w gospodzie, do której ostatnio coraz częściej zaglądał.

- Już lepiej wzięłyby i pomier.

153

Ciężki był Stacho teraz - jak zawsze, kiedy go choroba męczyć zaczynała. Zwidy miał, przywidzenia: idzie drogą, staje nagle i rękami koło oczu zaczyna machać. Jakby opędzał się od much. Lub biec zaczynał nagle - aż dudni ziemia pod nim, biegnie, biegnie zdyszany, staje, rozgląda się - pole naokoło. Pusto. Dokąd biegł, po co?

I pił bez umiaru ostatnio. Co zimą w lesie zarobił - przepijał. Zawsze sam przy stoliku siedział - ludzie go omijali. A i on wołał w samotności wypić, ani nie spojrzął na człowieka. Potrafił litr „stołowej” zamówić i tuzin butelek piwa. Potem zasypiał z

głową na stole. Często dzieciaki go budziły - bąk ciągnął za rękaw, Jolunia z drugiej strony: - Tatusiu, chodź.

Czasem szedł, potulny, zawstydzony, ale częściej, gdy więcej wypił - iść nie chciał, odganiał dzieci, bełkotał, głowa leciała na stół. Dopiero po dwudziestej drugiej kelnerki wypychały Świętego za próg. Tam dzieci na niego czekały - szczęśliwie, jak deszcz nie padał i dzień był ciepły, bo dżdżystą porą, w zimne dni, skulone dygotały jedno przy drugim, na murku, który taras kamienny przed wejściem do gospody otaczał. Później szły za pijanym ojcem. Stacho zataczał się, potykał, próbował śpiewać:

Oj i w polu jezioreczko, tam płynęło wiadereczko...

Jolunia ciągnęła bąka za rękę. Stawały, kiedy ojciec przystawał, szły znów, kiedy zaczynał iść. Czasem stał długo z głową zadartą, na chwiejnych nogach. Dzieci nie śmiały do ojca podejść (potrafił uderzyć, aż w głowie zaszumiało). On sam mógł nie wiedzieć, że idą za nim. W izbie rzucał się na łóżko (jak stał - w gumiakach, w kurcie) i zasypiał.

— Już lepiej wzięłyby i pomier.

Przyjechali w kwietniu - pięć osób. Mikrobusem nyską pod dom sołtysa zajechali. Jałosińskiego nie było w domu. Kazali dzieciom sąsiadów biec w pole. Później w siedmioro (Głowaczewska jeszcze dołączyła do nich) przez wieś, jak procesja, poszli. Nyska u sołtysa na podwórzu została. Jałosiński prowadził komisję - przy nim pani magister z powiatu: chuda, wysoka, z torbą na pasku.

Dalej kierownik służby rolnej, niejaki Talarek (chciał zobaczyć, jak gospodarka Świętego wygląda). Za nimi emeryt kolejowy Gorzela - o-

154

piekun społeczny (ojciec Lazuwowicza pracował na kolei - Gorzela znał ojca). Głowaczewska szła obok - opowiadała przez drogę o pijaństwach Świętego, o powrotach nocą, o dzieciach, które bose zimą po śniegu biegały. Emeryt kręcił głową. Dwie urzędniczki z Wydziału Zdrowia, obie młode, szły za komisją. Śmiały się i rozmawiały głośno.

Weszli na podwórze. Pies rozszczękał się zaraz - rzucał na łańcuchu, póki nie weszli do izby. Święty siedział w kałesonach przy stole, pod oknem. Nad nim szmata wetknięta w dziurę po szybie.

- Dzień dobry - odezwała się pani magister - przyjechaliśmy obejrzeć dzieci.

Stacho milczał - patrzył zasepiony w okno.

- Nic nam pan nie powie? - uśmiechnęła się pani magister.

Jolunia i bąk byli pewno na łąkach - kaczęńce kwitły i mała zbierała bukiety. Potem wracała niosąc żółte kwiaty, które wędły na stole w słoikach ze śmietników. Święty zza kaczęńców spojrzał na komisję. Nachmurzony, nie poprosił, żeby usiedli.

- Stacho - powiedział sołtys - wstałbyś, przywitałbyś komisję, jak człowiek.

Lazuwowicz milczał.

Emeryt Gorzela obejrzał kuchnię, zajrzał do pokoju obok. - Wilgoć - powiedział do pani magister. - Brud i smród. Nędza.

Choć półgłosem mówił, Lazuwowicz musiał posłyszeć.

- Gdzie są łóżeczka dzieci? - spytała młoda urzędniczka.

Stacho i teraz nie odpowiedział. Głośno wysmarkał nos w palce. Kurze łajna leżały

na podłodze obok bosych nóg. Urzędniczki zaczęły się śmiać.

- Człowieku - powiedział kierownik Talarek - rusz się, pokaż dom, dzieci. Warunki, w jakich żyjecie.

Wtedy podobno wstał, jakby go uniosło nad stołem. W kalesonach stanął przed komisją. Koszula rozpięta, biały brzuch było widać. Pokazał na drzwi.

Oni stali zaskoczeni. Jeszcze Jałosiński próbował żartować: - Stacho, spodnie przepiłeś?

A on, z białym brzuchem wypiętym, ruszył na nich. Zaczęli się cofać przestraszeni. Pierwsze urzędniczki uciekły, za nimi Głowaczewska, Gorzela, pani magister. Święty cały czas z wyciągniętą ręką. Palce mu nie zdrząły. Kajtek na podwórzu obszczekał komisję - rzucał się, dzwonił łańcuchem, chrypiał.

155

- Wściekły pies, czy co? - powiedział emeryt Gorzela. Odeszli.

W izbie cisza - wiatr tylko pogwizdywał w okiennej dziurze. Za~< pach kaczeńców.

W miesiąc później przyszło wezwanie do sądu - dzień, godzina rozprawy. „O pozbawienie władzy rodzicielskiej”. Stacho jakby lepiej poczuł się w tym czasie - mniej pił, w pole zaczął wychodzić, łąkę kosił, ustawiał kopki siana. Poszedł z wezwaniem do sołtysa Jałosińskiego - go - chciał się upewnić. Sołtys obejrzał papierek, przeczytał. Pokiwał głową: - Doczekałeś się, Lazurówicz.

Kiedy jechali na rozprawę, Święty kazał dzieciom nałożyć buty. Jolunię w najlepszą sukienkę ubrał, małego w spodenki, które kiedyś M ar uszka kupiła. Umyć się kazał przy studni, włosy przycesać. Sam nałożył marynarkę po ojcu, buty kupione przed kilku laty, w których nie chodził nigdy (były za ciasne). W tych butach, jak z wystawy, pojechał do miasta.

Jałosiński i Głowaczewska także dostali wezwania — na świadków. Później Głowaczewska opowiadała. Podobno wszedł z dziećmi na salę ostatni - jak już sprawa się zaczęła. Sędzia poprosił Jałosińskiego, żeby Świętego zawołał. Stacho dzieci trzymał za ręce. Podszedł do stołu, za którym sędzia i ławnicy siedzieli, puścił ręce dzieci i przeżegnał się.

- Usiądźcie - powiedział sędzia. - Proszę. - Pokazał ławkę przed stołem, ale Święty nie chciał siadać. Głowaczewska mówiła, że przez całą rozprawę stał (dzieci przy nim). Głową kiwał, jak go pytali.

- To wasze dzieci? Skinął głową.

- Żona umarła? Skinął.

- Sami wychowujecie dzieci?

- Tak.

- Kochacie dzieci?

- Tak.

Stał pośrodku, nie puszczał rąk dzieci, przestępował z nogi na nogę.

Wszystkich świadków miał przeciwko sobie. Źle ludzie mówili. Talarek i Jałosiński, że choruje. Gorzela, opiekun społeczny, przedstawił dokumenty. Zaświadczenia ze szpitali przywiózł. Jałosiński zeznawał o pijaństwach, jak go na drodze wieczorami widziano i dzieci przy nim. I o tym, że bose, głodne i obdarte biegały, o świni, przy której spały, o szmacie wetkniętej w okno, o Stacha przywidzeniach, o grobie,

156

w którym pustą trumnę znaleźli, i o Maruszcze przykutej łańcuchem. Suchej nitki na nim nie zostawili, a on tylko z nogi na nogę prze-stępował. Milczał.

Aż sędzia huknął na niego: - Człowieku, opiekę rodzicielską chcemy ci zabrać! Małe do domu dziecka pójdą!

- Żal było na człowieka patrzeć - opowiadała Głowaczew-ska - on chyba naprawdę nie wiedział, po co ten sąd nad nim. Może jmyślał, że los mu na lepszy odmienia. Ufny wszedł na salę, jak do ościoła. Ja jedna nie powiedziałam o człowieku źle. Dba o dzieci, jak ie, a czy jego wina, że nie potrafi?

Po przerwie ogłosili wyrok: - Odbiera się władzę rodzicielską La-rowiczowi Stanisławowi, synowi Jana i Marii. Dzieci zostaną umiesz-ne w domu dziecka. - W tym miejscu sędzia przerwał, cisza na sali, tylko z ulicy, przez uchylone okna, gwar było słychać (dzień targowy - okna wychodziły na plac).

- Zrozumieliście? Stacho kiwnął głową.

- Wyrok nie jest prawomocny. Możecie się odwołać. Stacho milczał.

- Weźcie sobie adwokata. Kiwnął głową.

- Tak się skończyła sprawa - mówiła Głowaczewska. - Zgadzał się na wszystko, ale czy rozumiał, co się stało?

A potem miesiąc minął i nic - cisza. Myśleli ludzie, że wziął adwokata, odwołał się po cichu, jeśli mu dzieci nie zabierają. Ale przed Zielonymi Świętami, kiedy poszedł na łąki, blaszaną taksówką pod dom zajechali. Dwóch milicjantów z posterunku w Dobroszycach przybyło i urzędnik nieznany. Pewno od domów dziecka. Obeszli budę pod jabłonkami wkoło, do drzwi pukali, zaglądali w okna. Urzędnik, w garniturze lila, pocił się z gorąca. Milicjanci pozdejmowali czapki, usiedli na ławeczce pod okapem. Nie poszli za Stachem w pole. Czekali koło domu. Kajtek rzucał się na nich, czekał zajadle.

A Święty z dziećmi był na łąkach. Czajki nad nimi krzyczały, niespokojne o gniazda. Lazurówicz szedł pierwszy, w koszuli podartej, bosy. Bąk za nim, z ułamanym skrzydłem motyla (z drewnianej zaba-

157

wki, która po matce została). Jolunia niosła papierową torbę. Gryzła pestki słonecznika i pluła łupinami na ścieżkę.

Ojciec zatrzymywał się czasem - stawał z zadartą głową, patrzył w niebo. Dzieci czekały cierpliwie. Blisko rzeki stanęli na dłużej. Stacho zaczął obracać się w kółko - zakołysał rękami. Może ptaka naśladował? Stopami, szerniałymi od kurzu, deptał trawę. Uniósł ręce.

A wtedy mały tak samo zaczął się obracać w miejscu. Zadarł głowę. Widział, jak niebo i białe obłoki zataczają koła nad nim. Potem łąka zakołysała się pod nogami, zatoczył się i stanął. Patrzył chwilę na brzeg po tamtej stronie - zamglony, jakby smuga dymu zastygła w powietrzu. Wiatr przywiał zapach wikliny.

- To jest ziemia - powiedział ojciec. - To jest świat.

Dzieci milczały. Jolunia gryzła pestki. Pluła łupinami na ścieżkę. Mały czuł, jak łąka przestaje się kołysać i w głowie przestaje się kręcić. Jest prawie tak, jak było, jeszcze przez chwilę - kołysanie, jeszcze przez mgnienie oka, jeszcze - i już było, jak dawniej.

6 xii - 12II

Etylek-metylek

Na bocznicy stała cysterna. Wepchnęli ją tu przetokowi po odczepieniu od składu z drobnicą. Może omyłkowo była podłączona?

Wracając z roboty do wsi (około godziny dziewiętnastej) pracownicy tutejszego tartaku - Jan Bąk oraz Józef Grabarek - podpici jak zawsze o tej porze, zatrzymali się obok wspomnianej cysterny, aby załatwić czynności fizjologiczne. Stojąc na niepewnych nogach Janek Bąk wyczuł ostry zapach spirytusu.

- Ty - powiedział do Grabarka - czujesz?

- Co mam czuć, ropa śmierdzi!

- Ropa!?! - obruszył się Bąk, zgrabiłymi rękami zapinając spodnie (był koniec listopada, temperatura około zera). - Spiryt!

Grabarek nie dowierzał: - Spiryt, spiryt! Gdzie tam spiryt! Chodź, Jasiu. W domu masz dzieci.

- Czekaj - powiedział Bąk. Oparł teczkę o szyny i zaczął obchodzić cysternę naokoło. Grabarek usłyszał jego głos z drugiej strony: - Ty, podaj klucz z teczki!

Obawiając się spotkania z niejakim Borkiem - sąsiadem, z którym toczyli spór o kawałek łąki dzierzawionej przez Borka, a przez Bąka wykupionej od Gminy (kosztowało dwa tysiące łapówek) - towarzysz Grabarka zawsze nosił w teczce klucz dwustronny: siódmkę z piątką.

Grabarek wymacał klucz w teczce, wyjął i poszedł śladem Bąka. Po drugiej stronie cysterny był zawór schowany tuż nad kołami. Bąk bez słowa chwycił klucz.

Przymierzył i aż sapnął z zadowolenia:

- Pasuje'

Pokręcił ostrożnie, uważając, żeby nie odkręcić za dużo. Po chwili, w ciszy, z sykiem pocięła z zaworu jakaś ciecz. Duże krople zabębniły o belkę podkładu. Grabarek pochylił się. - Spiryt - powiedział mlaskając - miałeś rację! - Zdjął czapkę, żeby móc wygodniej podstawić

159

głowę pod kran i zaczerpnąć płynu w usta, ale Bąk gwałtownie szarpnął go za ramię:

- Czekaj, może to metyl? ^

- Etylek! - powiedział z przekonaniem Grabarek.

- Metylek.

- Etylek.

- Metylek!

Spierali się jakiś czas.

- Trzeba sprawdzić, Józiu - powiedział Bąk. - Sprawdzić nie zaszkodzi.

- Ale jak?

Bąk zakręcił zawór i stuknął kluczem o koło cysterny. Zadzwoiło. -Przyprowadź psa.

- Psa? - zdziwił się Grabarek.

- Psa, psa - mówił Bąk. - Napoim i zobaczym. Jak wyżyje, znaczy: etylek. Zdechnie: metyl.

Grabarek wahał się. Był młodszy od Bąka o kilka lat - duży chłop, ale powolny.

Bąkowi wydawało się, że otworzył usta.

- Co się gapisz, Józiu? - zdenerwował się. - Leć po psa. Ja tu poczekam.

- Ale dlaczego na moim chcesz próbować? Masz swego.

- Twój mały, mój duży. No, dawaj, dawaj! - I Bąk z zadowoleniem podzwonił jeszcze raz kluczem o koło. - Wiesz, ile to forsy?

Grabarek bez słowa oddalił się. Mieszkali niedaleko bocznicy, za przejazdem. Z miejsca, gdzie stał Bąk, widać było światła wioski. Czasem, z wiatrem, zaleciało dymem. Tory pachniały po swojemu - tą mieszaniną zapachów smaru, kurzu, węgla. Bąk z kluczem w ręku obchodził cysternę dookoła. Postukiwał o blachę, popluwał i mruczał: - Pełna beczka, pełna beczka!

Po pięciu minutach oczekiwania z hukiem przeleciał obok bocznicy osobowy skład. Załomotały podkłady, przeleciały jasne okna. Fala gorącego powietrza. Bąkowi zakręciło się w głowie, zamknął oczy. I znów pięć minut - nic, zimno, w wiosce czekały psy. Nad torami - gwiazdy.

- Czego ten gad nie wraca? - zaniepokoił się, ale właśnie w tym momencie usłyszał skowyt. GJ nbarek wracał ciągnąc na sznurku psa. Po chwili wyszli z ciemności (nad bocznicą świeciły gdzieś jarzeniówki): duży mężczyzna i mały łaciaty pies na sznurku. Opierał się, kręcił łbem.

160

- Chodź no, Karuś, chodź no! - uspokajał psa Grabarek.

- Co tak długo? - spytał Bąk. - Ja tu marznę, czekam! Dawaj go! - Schylił się, żeby schwycić psa za kark, ale musiał szybko cofnąć rękę. Skowyczący Karuś niespodziewanie zmienił się: warcząc skoczył do Bąka, chciał capnąć za dłoń, później rwał się do nogawki.

- Pójdziesz! - krzyknął napadnięty.

Grabarek poklepał psa, zadowolony: - Widzisz, jaki ostry! Z twoim byłoby mniej kłopotu.

- Człowieku, mego byś nie utrzymał! - powiedział z przekonaniem Bąk. Ruszył pierwszy na drugą stronę torów. Stanęli nad zaworem. - Teraz go chwyć mocno! Karuś wykręcał się rozpaczliwie. Skowyczał. Grabarek przytrzymał psa kolanami. Oburącz chwycił za pysk. Uniósł. Bąk czekał z kluczem na zaworze. Odkręcił. Trochę za mocno. Na pysk psa i ręce Grabarka chlusnęła struga spirytusu. Ostry zapach. Pies rzucił się rozpaczliwie do tyłu, szarpnął. Sznurek owinięty wokół nóg Grabarka wyprężył się - mężczyzna stracił równowagę i runął na kolana. Rękami uderzył o kamienie. Głową w koło. Zaklął głośno. Bąk śmiał się: - Napił się aby, napił? - pytał pomagając wstać potłuczonemu.

Pies znikł w ciemności.

Grabarek jeszcze kłął: - Zabiję, jak wróci. Ubiję!

- Może nie będzie trzeba? - powiedział Bąk, kiedy wracali na tamtą stronę. Schował klucz do teczki. - Zobaczym jutro.

1

Rankiem okazało się, że Karuś żywy śpi w budzie obok kurnika. Grabarkowi przeszła złość. Pogroził tylko psu pięścią i lekko kopnął. Potem poszedł do roboty. Z Bąkiem spotkali się przy bramie.

- No jak?

- Żyje, żyje - powiedział Grabarek.

Na co Bąk zacierając ręce: - Znaczy etylek! Etyl!

Tak się zaczęły złote dni: wieczorami chodzili z wiadrami. Bąk kręcał zawór - spiryt lał się, jakby wesoło parszając. Później sprzedawali. Bąk w swojej, Grabarek w swojej chałupie. Leli ludziom do butelek, do słoików, glinianych garnków, kubków, kanek. Brali tanio - litr dwie setki, mierzony na oko, z dokładką. Rozeszło się po wsi

11 — Dmgie wrota w las

161
szybko, że spirytem handlują. Czystym, gorzelnianym. Skąd mają - nikt nie wiedział. Ludzie zresztą nie pytali - mają to mają, nie moja sprawa. Taniej było niż w melinach u Budkiewicza i starej Garba-tki. Nie było porównania: u nich litr połowę ceny państwowej, u tamtych dwa razy drożej. Zysk ogromny. Szły święta. Przyjeżdżali z drugiej i trzeciej wsi.

Pod koniec tygodnia Bąk wpadł na pomysł: zaczęli jeździć pod cysternę z beczkami na dwukołowych wózkach. Podjeżdżali tyłem, umiejętnie (trochę kamieni wybrali spod podkładów - szara przyzma leżała na śniegu obok). Zawsze starali się pilnować, żeby nikt nie widział. Pod osłoną nocy, późno. W wiosce poszczekiwały psy. Tak było od czwartku do niedzieli. I cały następny tydzień. Pieniądze, mówiono, chowali do worków. Tym kobiety rządziły - one głównie handlowały rankami, niby po cichu, bez rozgłosu. Bąk zacierał ręce. Grabarek milczał.

Z pracy chodzili na wódkę do lokalu „Zacisze”. Zapraszali chętnych - cały tartak, mówiono, pił za ich pieniądze.

Raz Grabarek przeżył ciężkie chwile: jego teść, Wróbel, zaniemógł po wypiciu kubka spirytusu. Wieczorem jęczał, zsiniał - duże krople potu wystąpiły na czoło. Stara Wróblowa wbiegła do pokoju Grabar-ków (mieszkali w jednej chałupie) i mierząc w zięcia zakrzywionym palcem, krzyknęła:

- Morderco!

W nocy zastanawiali się, czy stary umrze. Żona Grabarka siedziała przy łóżku ojca. Sam Grabarek nawet wszczął kłótnię ze szwagrem (starszym bratem żony) o schedę. Pola zostawało dwa i pół hektara - szwagier chciał z tego dwa. Pół ha i spłaty dawał siostrze. Grabarek nie chciał się zgodzić. Siedzieli w kuchni, przy stole, nad poplamioną serwetą. Wiadro spirytusu stało na podłodze. Grabarek nabierał lekkim czerpakiem od mleka - nalewał do szklanek, szwagier dolewał soku z jarzębiny. Pili.

- Dwa wezmę, bo tyle mnie, pierworodnemu, trzeba! - powtarzał szwagier.

- O, tyle! - pokazywał Grabarek zginając rękę w łokciu.

W pokoju obok jęczał stary. Kobiety chodziły zapłakane. Wróblowa napluła w pewnej chwili do wiadra: - Tfu! Metylem, zbój, handluje!

- Widzisz, matko, żem żywy - powiedział Grabarek pojednawczo. Przestraszył się, że kiedy stary umrze, teściowa złoży meldunek.

162

Później posnęli ze szwagrem, tuląc głowy do serwety. Brudna żarówka paliła się nad nimi. Biała plamka śliny pływała w wiadrze po dnie.

Rano okazało się, że Wróbel przeżył. Poczul się lepiej - wstał. Pokasływał. Grabarek, spokojniejszy, poszedł do roboty. I tak złote dni płynęły. Spirytusu ubywało, ale ciągle jeszcze po dwie beczki wieczorami przywozili.

Skończyło się przez psa - sukę Bąka, Żabkę. Nie wiadomo dlaczego, pod koniec tygodnia, Bąk zaczął zabierać sukę. Jeszcze Grabarek ostrzegął: - Nie bierz, Jasiu, po

co? Zwróci uwagę szczeniem. - Ale upartego nie przekonasz: mówił, że wyczuje obcego. Uprzedzi, gdyby ktoś koło cysterny się kręcił.

Sąsiad Bąka, wspomniany Borek, z którym od lat wojowali o łąkę, wiedział o handlu spirytusem. Aparatury Bąk nie miał - sąsiad był pewien. Więc skąd ten spiryt? Nieduży, zarośnięty, w gumiakach mimo mrozu, śledził zawistnie pielgrzymkę interesantów do chałupy Bąka. Co rano po piętnaście, dwadzieścia bab wynosiło pełne butelki. Chowały pod płaszcami, w torbach, teczkach. Borek kręcił się za płotem - widział wszystko. Złożyć meldunek, nie złożyć? - myślał. - Spiryt może mieć w domu, ale aparatury nie ma na pewno. Wyprze się, gad! Muszę wiedzieć, skąd bierze! - postanowił.

Suka Bąka akurat dostała cieczi i pies Borka - Misiek - rwał się przez płot na drugą stronę. Skowyczał przez cały dzień. Stary wypatrzył, że Bąk wieczorami prowadzi gdzieś wózek. Widział także, jak sukę spuszczał z łańcucha. Żabka w podskokach biegła za Bąkiem. To

- wykorzystał Borek.

Była sobota - młodzi urządzali zabawę w świetlicy DK. Żona Bąka obiecała kilku chłopakom z wioski po butelce spirytusu na wie-Iczór. Bąk śpieszył się. Trochę wcześniej wyszli - spuścił sukę, pchał i wózek przed sobą. Szli po zamarznętej grudzie. Na ścieżkach nie było l Śniegu.

Borek odczekał chwilę, potem spuścił swojego psa. Uwiązał na długiej lince Ruszył za Bąkiem zadowolony, że Misiek ciągnie pewnie po śladach.

I tak koło pustej cysterny (akurat tego wieczoru spuścili do beczki Bąka resztę spirytusu) rozegrała się dramatyczna scena przyłapania na

163

gorącym uczynku złodziei mienia społecznego. Bąk z Grabarkiem spierali się o to, jak równo podzielić spirytus. Bąk ulał trochę ze swojej beczki i twierdził, że dosyć.

- Nigdy w życiu się nie zgodzę! - oświadczył stanowczo Grabarek. - Mam o połowę mniej.

- Co ty mi tu, Józek - Bąk użył mocnego słowa. - Przypatrz się dobrze!

Stali nad beczkami - spiryt połyskiwał na dnie. I wtedy usłyszeli niespodziewanie skowyt suki. - Chodź tu, Żabka! - zawołał Bąk rozglądając się. Skowyt powtórzył się. Bąk odszedł od beczki i w tym momencie zobaczył parzące się koło nasypu psy.

Poznał psa sąsiada. - Pójdiesz, cholero! - krzyknął macając za kluczem wetkniętym do kieszeni kurtki. Jednocześnie usłyszał śmiech Borka - sąsiad stał obok beczek, pod zaworem.

- Ładnie to państwowym majątkiem handlować? - śmiał się. - Sprytnie obmyślane!

Bąk, z kluczem w rękę, zbliżył się sapiąc ze zdenerwowania: - Won! - zachrypiał. - Co ci do tego?

Borek odskoczył od beczki. Pobiegł naokoło cysterny.

- Łap gada! - wykrzyknął Bąk biegnąc za nim. Potknął się o szynę, przewrócił. Klucz dzwoniąc potoczył się po kamieniach. Grabarek, z otwartymi ustami, został przy beczkach. Wszystko stało się zbyt szybko: skowyt psów, niespodziewana obecność Borka, upadek Bąka na szyny.

Sprawca zamieszania znikł w ciemności. Tylko jego pies wyżywał się na Żabce.

Obolały Bąk podnosząc się z ziemi wymacał kamień. Klnąc wracał, żeby przegnać

psy. Cisnął kamieniem. Nie trafił. Plując i klnąc zbierał kamienie z nasypu i ciskał w ciemność. Pewno trafił w końcu, bo rozdzierający skowyt zakłócił ciszę.

- Daj pokój, Janek! Daj pokój! - łagodził wzburzenie towarzysza Grabarek.

- Czegoś go nie zaprawił? - aż kipiał z oburzenia Bąk. - Wiesz, co ten gad zrobi?

Jutro poleci z meldunkiem! Dawaj, dawaj! - powiedział nagle i unosząc wózek za dyszel zrzucił beczkę na ziemię. Spiryt chlusnął na śnieg. - Dawaj, dawaj! -

powtórzył chwytając za dyszel drugiego wózka.

- Oszalałeś? - zawołał Grabarek.

- Człowieku, nie mamy z czym wracać! .*-

164

Miał rację. Nazajutrz w obu chałupach przeprowadzono rewizję. Mimo zatartych śladów znaleziono beczki cuchnące spirytusem. Dokonano także oględzin pustej cysterny. Były zeznania świadków: Borka, Bogdanowieża i starej Garbatki. Pierwszy złożył meldunek, tamci poświadczyli. Zawieść ludzka nie zna granic.

Dwaj zatrzymani przyznali się wkrótce do winy. Podobno na pierwsze słowa prokuratora: - Gdzie spiryt? - odpowiedzieli zgodnie: -Sprzedalim.

A na pytanie: - Gdzie pieniądze?

- Przepilim.

Tak się skończyły złote dni.

1980

.

it k

••R

Ostatnie polowanie na grubego zwierza

Milicjant Goryczka z Komendy w Czarnej dyżurował od szesnastej siedząc w rozwidleniu buka na skraju drogi w kierunku wsi Lubczyna. Niewidoczny dla idących i jadących drogą, miał przed sobą rozległy widok: po drugiej stronie wielka polana opadała łagodnym stokiem w dół. Pojedynczo rosnące choiny i sosny gęstniały w dole. Skraj lasu był jakby zatarty. Dalej zbocza wzgórz porastał las liściasty, jak tutaj, nad drogą, gdzie Goryczka miał swoją kryjówkę. Zaopatrzony w lornetkę, służbowy pistolet i pelerynę (od rana dyżurującym funkcjonariuszom nie dawała spokoju mżawka) - Goryczka patrzył sennie na dalekie lasy, na zalegającą w kotlinach mgłę, na góry i myślał zrezygnowany, że do dwudziestej, kiedy miał przyjść zmiennik, pozostały jeszcze cztery godziny.

Od czasu do czasu drogą przejeżdżał samochód (najczęściej byli to wędkarze wracający znad bliskiego jeziora). Goryczka niechętnym okiem odprowadzał dachy wozów. Zwłaszcza większych - dużych fiatów lub zagranicznych, importowanych. Sam od kilku lat odkładał na fiata 126 P. Na książeczce docelowej PKO miał pięćdziesiąt dziewięć tysięcy. Brakowało dziesięciu, ale miał nadzieję, że w ciągu pół roku wpłaci resztę. Potem trzeba tylko kilka lat poczekać, a następnie odebrać samochód z „Polmozbytu”. Goryczka odkładał po tysiąc złotych miesięcznie od czterech lat, a także wszystkie premie i nagrody (na przykład z okazji święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa). Mimo to oszczędności rosły wolno, a w domu ciągle czegoś brakowało. Żona Goryczki stale miała powody do niezadowolenia. Milicjant spojrzął na dach przejeżdżającego fiata 125.

„Skąd ludzie biorą pieniądze na takie wozy? Jak to właściwie jest?” - Podniósł lornetkę do oczu, żeby obejrzeć pasażerów, ale nie zdążył. Przeniósł szkła z drogi na kępę brzoź rosnących u podnóża

166

polany. Był to punkt szczególnie interesujący milicjanta. Patrzył tam co pewien czas, choć prócz białych pni i żółtych liści nic nie widział. Brzozy jak brzozy.

Goryczka ćmił papierosy plując niedopałkami na wilgotną ściółkę, obserwował przejeżdżające samochody i myślał, jakiego koloru będzie jego wóz. Coraz częściej, kiedy nic się nie działo na drodze, musiał walczyć ze snem. Oparł się wygodniej o pień, rozgarnął liście gałęzi. Patrzył na brzozy w dole, zły i senny.

Łańcuch przyczyn, które doprowadziły do dyżuru milicjanta Goryczki w konarach buka podczas nie sprzyjających warunków atmosferycznych, był krótki i prosty. Jego początek miał miejsce przed dwoma tygodniami, kiedy to Zenek Zgódka, zięć niejakiego Daniszewskiego, właściciela taksówki z Dębek Górnych, oraz jego kumpel Janek Słowik wracali z ryb na motorze Zenka, drogą od strony Lubczyny. Była siedemnasta. Po dwunastu godzinach wędkowania nad jeziorem (przyjechali nad wodę o piątej rano), zmęczeni i głodni, z siatką złapanych linów, okoni i leszczy, postanowili wrócić wcześniej, ponieważ o dwudziestej zaczynała się transmisja meczu piłkarskiego, który chcieli obejrzeć. Za Lubczyną i serpentynami prowadzącymi pod górę, na skraju polany, Słowik uderzył prowadzącego motor Zgódkę w ramię i zawołał: - Zatrzymaj, Zenek! Szybko!

Zgódka niechętnie przyhamował, zjechał na pobocze i zgasił motor. Słowik, nie wyjaśniając, o co chodzi, przebiegł z powrotem kilkanaście metrów (widocznie stanęli za daleko) i zatrzymał się przy betonowej barierze nad łąką. Zgódka został przy motorze. Ruszył dopiero, kiedy Słowik kilkakrotnie kiwnął głową na niego: - Ty, chodź tu! Prędejj! - a kiedy Zenek podszedł, powiedział: - Patrz tam. Tylko spójrz!

W dole, między choinami, pasło się duże brązowe zwierzę, znacznie większe od krowy - wielkości sporego byka polskiej rasy czerwonej.

Zenek przyglądał się chwilę: - Krowa?

- Człowieku, to żubr. Mówił mi Marian z OTL-u, wiesz, ten operator, że odłączył od stada w Borkach i trzyma się polany. Chodź - Słowik pociągnął Zenka za rękaw - podejźmy bliżej.

Zenek niechętnie przełożył nogę przez barierę. Stanęli pięćdziesiąt kroków od żubra. Nie zwracał na nich uwagi. Pasł się spokojnie, jak łagodny byk rasy czerwonej.

Wrześniowe słońce, przeświecające przez gałęzie brzoź i olch rosnących dalej, rzucało plamy na wysoką, nie koszoną trawę, w której tonął łeb zwierzęcia i krótkie nogi.

167

- Jezu - westchnął Słowik - góra mięsa. ;-ij.

I pewno wtedy Zenkowi zaświtała ta myśl. Trzepnął Słowika w ramię i powiedział:

- Ty, Janek, a może by go tak? - Kantem dłoni} przejechał po szyi.

Słowik zaśmiał się: - Człowieku, wiesz, co to znaczy? > 3

Rozmawiali do tej pory szeptem, jakby w obawie przed żubrem. Nagle Zenek zaczął mówić głośno: - A co? Jest mięso u rzeźnika? Jest? Matka wstaje o trzeciej w nocy!

Nic nie dowożą. Ja tam nie będę czekał! Jak nie dają, sam będę brał. Może gorszy jestem od tych, co mają potąd?

Słowik milczał.

- Ty, Janek - gorączkował się Zenek - napakuje się do weków, namarynuje, nawędzi. Starczy na rok...

Słowik iszczę nie był pewien: - Mięso ma niedobre.

- Jadłeś? Jadłeś kiedy? "

- No, nie. Nie jadłem - przyznał Janek.

Stali kilkadziesiąt kroków od żubra, obaj w motocyklowych kaskach, których paski odpięli, i przyglądali się, jak szczypie trawę. Jakby ich nie widział i nie słyszał.

„Może oswojony?” - pomyślał Słowik. I wtedy pewno on sam, nieufnie jeszcze, ostrożnie, jak duża ryba, wziął przynętę: tyle mięsa pasie się spokojnie na łące - mięsa niczyjego, bezpańskiego, mięsa, które samo po prostu pcha się pod nóż. Może warto spróbować? Dlaczego nie?

- Wiesz, Zeniu, chyba masz rację. Można by tego... - I tak jak Zenek przed chwilą i on kantem dłoni przejechał po szyi.

Przy kolacji, w domu Daniszewskiego, omówili plan. Oni z Jankiem będą przez tydzień oglądać żubra dojeżdżając na zmianę motorem. O różnych porach dnia. Chodzi o to, czy rzeczywiście trzyma się miejsca. Przyszłej niedzieli, o świcie, pojedą taksówką teścia i wykopią dół. Nieuważnie oglądali mecz.

Daniszewski z początku ociągał się, nawet śmiał: - Co wy, chłopaki? Wariacki pomysł, żubra do dołu zagnać? Jak pierwotni ludzie? Może dzidami go potem chcecie dźgać - i zatrutymi strzałami dobić?

- A co ojciec myśli - oponował Zgódka - jak go inaczej podejść? Wykopie się dół, przykryje patykami, darnią i gotowe. Potem siekierami i czym się da, wykończymy drania. Ojciec wie, ile będzie mięsa? Na dwie zimy starczy. Matka zamarynuje w słoikach. Do weków się wsadzi.

168

f

- Do więzienia pójdziesz, Zeniu - śmiał się teść. - Na państwowe mięso. Za takie bezprzykładne kłusownictwo.

- Już wolę siedzieć, a nie widzieć, jak moja matka i ona - Zenek pokazał palcem swoją żonę Bronisławę siedzącą naprzeciw pod daktylową palmą - męczą się, godzinami wystając przed rzeźnikiem. I co? Wczoraj matka od drugiej w nocy stała. Myślicie, że dowieźli?

Stara Daniszewska westchnęła: - Chłopak ma rację, Staszku. Kiedy to stałyśmy z Bronką na zmianę od siódmej wieczorem? Na wiosnę, przed Wielkanocą. Przywieźli trochę karkówki, nogi wieprzowe i pięć baleronów. Człowiek już nie ma siły!

Janek Słowik, chłopak, którego stary lubił i cenił, powiedział: -Panie Daniszewski, ryzyka wielkiego nie ma. Miejsce jest puste, na uboczu. Wykopie się elegancki dół. Nikt drania nie będzie gonił. Po prostu: na patykach i darni położymy trochę siana. Sam wejdzie.

- O, to to! - ucieszył się Zenek. - Jasiu ma główkę!

- Potem go dobijemy, pokraje się mięso w dołku. Do wora, do piwnicy i szukaj wiatru w polu, tak? Ja myślę tak jak on - pokazał Zenka - mięsa w sklepach nie ma.

Kupić po wsiach ciężko. Patrząc, jak kobiety się męczą, też ciężko. To co: mamy czekać z założonymi rękami? A kto tak powiedział? Oni? Mięsa mają potąd! - I Janek Słowik palcem przejechał po nosie.

- Tak jest, tak jest - mówił Zagódka. - Ojciec nas tylko podwiezie.

O dwunastej, kiedy kobiety poszły spać, Daniszewski wyciągnął drugą półlitrowkę. - Rozlej, Zenek, żytko! Może to jest myśl? Nawet matka się zgadza.

- Tyle mięsa ojciec w życiu nie widział - oświadczył Zenek rozlewając żytniówkę do kieliszków.

Dół wykopali we trzech: dwóch wyrzucało ziemię łopatami, jeden rozrzucał wiaderkiem pod choinami naokoło. Nie chcieli zostawiać kopca obok. Dół elegancki, jak mówił Janek: trzy na trzy, głęboki na dwa i pół. Cały dzień przy tej robocie zszedł. O czwartej rano przyjechali. Miejsce wybrali dobre, za kępą brzoź u podnóża polany. Z drogi niewidoczne. Blisko było do wysokiej trawy, gdzie po raz pierwszy zobaczyli żubra. Przez cały tydzień pał się tu i tam - widzieli go codziennie. Słowik spróbował nawet podejść blisko - powoli, może

, 169

1

dziesięć kroków było. Ale wtedy to wielkie bydlę nagle podniosło łeb - ciężki, jak rudy głaz, i ogonem zaczęło młócić po zadzie. Janek przesil aszył się i cofnął. Nawet podbiegł kawałek w stronę betonowych barier w górze, choć żubr nie ruszył za nim.

- Jakiś strach taki człowieka chwycił - opowiadał potem Zgódce.

Tej niedzieli, kiedy kopali dół, żubra nie było na polanie. - Nawet lepiej - mówili. -

Spokojnie można wykonać robotę! - Darń pocięli na kwadraty. Kopali w miękkim piachu, potem nacięli leszczynowych prętów, na wierzch narzucali gałęzi, na końcu tę darń położyli ostrożnie.

- Jakby nie wiedział, że dół wykopany, toby nie zgadł! - zatarł ręce Zenek.

- Dobra robota - zgodził się teść.

Z bagażnika warszawy, schowanej na bocznej dróżce, przynieśli worek siana.

Kopczyk ułożyli pośrodku zerwanej darni. Odjechali przed zmierzchem.

Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego w Strzelnic, Czesław Mizera, polował najczęściej w sezonie jesienno-zimowym. Najchętniej na dużą zwierzynę - jelenie i dziki. W środę towarzysz Bednarek z Wydziału Ekonomicznego poprosił o krótką rozmowę. Okazało się, że dzwonił nadleśniczy z Czarnej, inżynier Walicki, z wiadomością, że w rejonie wsi Lubczyna krąży chory żubr, przeznaczony do odstrzału.

- Jeżeli towarzysz sekretarz tylko słówko powie, natychmiast zorganizujemy polowanko! - krzyczał do słuchawki w czasie rozmowy z Bednarkiem. Zapraszał serdecznie.

Sekretarz Mizera ucieszył się: - Dziękuję, Józku - poklepał Bednarka po ramieniu. - Może być emocja przy takim byku, co?

W ten sposób sprawa żubra Pasjonata, który odłączył się od stada w Borkach, weszła w stadium końcowej realizacji, jakby podsumował sekretarz Mizera. Kosztowała nadleśniczego z Borek sporo zachodu. Musiał przekonać kierownika ośrodka hodowlanego, doktora Mokrzyckiego, że odstrzał jest konieczny. Pasjonat trzymał się miejsca w pobliżu wsi Lubczyna, przy drodze i mógł być niebezpieczny dla

okolicznej ludności. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że jest stary i nie ma ochoty staczać potyczek z młodszymi bykami o prawa w stadzie. Czy był chory, tego ostatecznie nie stwierdzono (pociski usypiające nie podziałały, a weterynarze bali się podejść bliżej niż na dziesięć metrów). Stwier-

170

ono, że jest osowiały i wygląda na chorego. W protokole główny isk położono na wiek zwierzęcia i na konieczność eliminacji sztuk, które mogą okazać się niebezpieczne dla ludzi. Ostatecznie sprawa oparła się o Departament Łowiectwa, do którego Walicki sam jeździł spodziewając się poparcia u kolegi ze studiów - wicedyrektora. Fakt, że pozwolenie dostał, należało ocenić jako osobisty sukces nadleśniczego. Kolega wicedyrektor prosił tylko, aby sprawie nie nadawać rozgłosu. Po artykule pewnego nieodpowiedzialnego dziennikarza, który ujawnił sprawę eliminacji kilku sztuk w Parku Narodowym (jak wiadomo, na polecenie tamtejszego Komitetu Wojewódzkiego - przed uroczystym obiadem kończącym spotkanie sekretarzy województw wschodnich), obawiano się nowego przeoczenia Urzędu do Spraw Publikacji. Walicki solennie obiecał, że odstrzał będzie przeprowadzony po cichu i dyskretnie. Od dawna myślał o sekretarzu Mizerze, który podczas ostatniego polowania na jelenie byki wypytywał o selekcyjne odstrzały żubrów. - Będę o towarzyszu sekretarzu pamiętał - obiecał wtedy. Po przyjeździe ze stolicy, z pozwoleniem w kieszeni, zaraz zadzwonił do Województwa.

Towarzysze ruszyli następnego dnia, po piętnastej, we dwie wołgi. W pierwszej Mizera z Bednarkiem, w drugiej naganka: sekretarz Komitetu Miejskiego towarzysz Kolankowski, prezes Koła Łowieckiego, do którego należał Mizera - dyrektor szpitala miejskiego doktor Kić oraz naczelny redaktor dziennika wojewódzkiego Suwała. Prezes Kić zabrał na wszelki wypadek psa, wyżła niemieckiego - sukę Klarę. Przez całą drogę Klara wierciła się przeszkadzając w rozmowie.

Wszyscy pasażerowie drugiej wołgi byli dobrymi znajomymi sekretarza, towarzyszami licznych wspólnych polowań. Sekretarz wieczorem dzwonił do kolegów organizując wyjazd.

- Towarzyszu Dedepe - zwrócił się do dyrektora Kicia - polowanie na żubra widział? Zwrot „Dedepe” był żartobliwą aluzją sekretarza do licznych funkcji i godności piastowanych przez dyrektora. - Jak do ciebie mówić, Kić? - pytał w obecności większego grona słuchaczy. - Dyrektor, doktor, prezes? Najlepiej skrótem: „Dedepe”. Obecni reagowali śmiechem na humor sekretarza. Przy stole, po kilku kieliszkach, Mizera lubił rozwijać swój żart na temat dyrektora.

171

Najczęściej mówił głośnym szeptem, do ucha sąsiada lub sąsiadki, ta aby inni słyszeli. Ta druga wersja skrótu „Dedepe” wywoływała żywiołową radość.

- No co, Kić, pojedziesz? - grzmiał wieczorem przez telefon. - Warto, warto! Ostatnie królewskie zwierzę w naszym obozie!

Dyrektor-doktor-prezes z radością przyjął zaproszenie.

Sekretarz zabrał dwa sztucery: mannlichera siódemkę, półautomat, i radzieckiego IŻ-a kalibru siedem sześćdziesiąt dwa. Nie był pewien, który będzie lepszy.

- Na miejscu się ustali z tym nadleśniczym, jak mu tam, Lewackim?

- Walickim - powiedział Bednarek. Siedział obok kierowcy. Po wypadku przed

siedmiu laty, kiedy to samochód z towarzyszem Mizera, który wracał z terenu, wywrócił się kołami do góry i szkło z rozbitej szyby poraniło czoło sekretarza - jeździł zawsze na tylnym siedzeniu. Dlatego Bednarek musiał siedzieć obok kierowcy, przez całą drogę odwrócony bokiem - przeszkadzał trochę przy zmianie biegów. Przyjechali do Borek o siedemnastej.

Nadleśniczy Lewacki-Walicki koniecznie chciał częstować herbatą - w pokoju gościnnym czekał przygotowany stół. Ale sekretarz nie zgodził się:

- Później, później, towarzyszu. Niedługo się ściemni. Bednarek i koledzy z naganki na pewno chętnie napiliby się gorącej herbaty (nie mówiąc o mocniejszych trunkach), ale nie protestowali.

- Tak jest, dzień już krótki! - poparł towarzysza sekretarza Bednarek.

Wołgi ruszyły w stronę Lubczyny. I tak oto, na polanie, nad którą milicjant Goryczka zaczął dyżur o godzinie szesnastej w niedzielne popołudnie, doszło do ostatniego w kraju polowania na grubego zwierza.

Wysiedli z wozów i stanęli nad barierą: sekretarz w otoczeniu naganki. Nadleśniczy Walicki, jako organizator imprezy, powiedział kilka słów. Szerokim gestem wskazał możliwe miejsce pobytu żubra:

- Tutaj gdzieś chodzi, dołem! Najlepiej będzie, jeżeli towarzysz sekretarz zostanie na skraju, ot tam, a my pójdziemy w koło i wyciśniemy byka na strzał. Jak go towarzysz zobaczy, proszę broń Boże, za blisko nie podchodzić. Raczej dać sygnał trąbką. My przybiegniemy. Uciekać nie będzie, natomiast może zaatakować. Złośliwy jak każdy stary byk...

172

1

Sekretarz zażartował: - Oho, uwaga na Kicia! </ Towarzysze z naganki zaczęli się śmiać. Inżynier Walicki obejrzał

sztfczery sekretarza: - Weźmiemy półautomat - zdecydował.

Mizera oddał radzieckiego IŻ-a kierowcy Adasiowi: - W pokro-i do bagażnika! - powiedział. Z tym Adasiem nie rozstawali się się od dziesięciu lat. Jeździli razem, jeszcze jak Mizera był w Powiecie.

- Może towarzysze mają pytankę? - zwrócił się do obecnych nadleśniczy Walicki. Prezes Dedepe chciał wiedzieć, czy może zabrać psa (trzymał niespokojną sukę krótko, przy nodze). Popatrzył na Mizere.

- Mnie pytasz? - zaśmiał się sekretarz i odwrócił do dyrektora plecami.

Walicki skrzywił się: - Nie wiadomo, jak zareaguje na byka. Może być zamieszanie...

- Tak jest, do wozu! - podchwycił Bednarek. Patrzył uradowany, jak dyrektor ciągnie piszczącą Klarę do wołgi.

- Adaś! - zagrział Mizera zacierając ręce (kierowca stał za plecami myśliwych). - Trzymaj oczy otwarte! Wołaj, jak byka zobaczysz!

- Tak jest! - odkrzyknął Adaś. - Już ja go przyuważę, towarzyszu sekretarzu!

- Ostrożnie, Czesiu - powiedział cichym głosem sekretarz Kolan-kowski z Komitetu Miejskiego. - Z żubrami nie ma żartów. Od razu na komorę pakuj.

- Ręka towarzyszowi sekretarzowi nie ma prawa drgnąć! - dodał naczelny Suwała.

- Co mnie straszycie? Co mnie straszycie? - udawał oburzenie Mizera. - Popatrzcie na Bednarka, jaki blady.

Ale z Bednarka, sekretarza ekonomicznego KW, śmiano się mniej niż z dyrektora Kicia.

Towarzysze stali obok samochodów kilka minut. Od czasu do czasu słyhać było śmiech, kiedy sekretarz żartował. Potem nagle naganka przestała się śmiać. Mizera poprawił kapelusz z pędzlem z brody jelenia byka (obok pędzla były zatknięte dwa niebieskie piórka sójki, którą postrzelił kiedyś, a kiedy spadła, podniósł i trzepnął łebkiem o pień), kamizelę z ładownicami, japoński kordelas na pasku, trąbkę. Był dużym tęgim mężczyzną i ochronna kurtka typu „safari” ciasno opinała brzuch pod kamizelą. Przełożył nogę przez barierkę.

173

Ruszyli. Sekretarz pośrodku. Towarzysze z naganki zaraz zaczęli się rozchodzić. Mizera widział chwilę kapelusze i czapki, zielone kurtki, h|Fy sztucerów, słyszał głosy:

- W kólecčko, w kólecčko, towarzysze! - głos Kolankowskiego
- Tak jest, tak jest! - potakiwanie Kicia.
- Ciszej tam, Dedepe! - to był głos Bednarka.

Na górze rosły choiny, te niskie sosny, olchy, jałowce. Niżej, blisko lasu, zaczynały się brzozy. Trawa miejscami była wysoka - mokra po deszczu rosła buty. Mimo że schodzili w dół, sekretarz zasapał się: odgarniał gałęzie idąc, strząsał z igieł deszcz. Towarzysze znikli za choinami - było cicho, spokojnie, parno. Chmury nad doliną płynęły nisko. Sekretarz zwolnił kroku - pomyślał, że ten żubr może stać gdzieś przyczajony lub leżeć pod drzewami. Trzeba zachować ostrożność. Minął kępę młodych brzoź i skierował się w stronę kopczyka siana na małej polance między choinami. Już miał minąć ten kopczyk, gdy nagle ziemia uciekła spod nóg sekretarza. Runął w dół. Kiedy potem, niechętnie, myślał o wypadku, nie mógł przypomnieć sobie żadnego sygnału ostrzegawczego. Nawet bólu. Wszystko zatarło się w nagłym ustąpieniu ziemi pod nogami, usłyszał trzask patyków. Stracił orientację.

- Żubr mnie uderzył! - pomyślał i obejrzał się odruchowo, już siedząc na dnies ciemnego dołu. Ale nie zobaczył nic. Grudki ziemi z darni nad głową sypały się przez chwilę na myśliwski kapelusz i kurtkę „safari”. Mizera wstał. Wymacał leżący pod nogami sztucer. Spojrzał w górę - nad głową świeciła dziura, przez którą zachmurzone niebo wydawało się jasne, jak w słoneczny dzień.

- Co jest? - powiedział do siebie. - Hej! - krzyknął. - Hej!

Ale tylko lawina grudek była odpowiedzią. Sekretarz zaklął.

Próbował na własną rękę wydostać się z dołu: japońskim kordelasem dźgał ściany. Obszedł dół naokoło. Na próżno - wszędzie sypała się ziemia. Do oczu napadało, chrzęściło w zębach. Bał się, że darń runie i przysypie żywego. Co pewien czas trąbił, ale głos trąbki blade i cicho dźwięczał. Na górze nie słyszeli.

- Pogłuchli czy jak? - denerwował się sekretarz. Krzyczał, trzymając dłonie jak tubę, aż ochrypl. I to nie pomogło.

Kiedy ściemniło się i ta j usną dziura nad głową zaczęła tracić kontury, Mizera zdecydował się na strzał. Huk wstrząsnął ścianami dołu, przetoczył się po dolinie. Dopiero wtedy go znaleźli. Usłyszał głosy naokoło, świecili latarką. Szczekanie Klary.

174

- Towarzyszu sekretarzu, towarzyszu sekretarzu! - głos Bednarka.

- Czesiek, Czesiek, odezwij się! - donośny szept Kolankowskiego.

- Tu jestem, do cholery! - zachrypiął Mizera z dołu. - Uważajcie!

O tym, w jaki sposób towarzysza Mizere wyciągnięto i co mówił po wyjęciu, jego towarzysze opowiadali różnie. Kierowcę Adasia zapytał podobno: - Nie słyszałeś, jak wołałem?

- Ani ani - powiedział Adaś. - Ta suka towarzysza dyrektora wyła przez cały czas. Przez to nic nie było słyhać.

Suka Klara istotnie co pewien czas zaczynała wyć, mimo to Adaś słyszał trzask gałęzi i trąbkę. Kierowca wołgi dyrektora Kicia twierdził nawet, że widzieli, jak sekretarz wpadł do dziury. - Nic mu nie będzie - powiedział Adaś podobno. -

Naganka go znajdzie, spokojna głowa! - I dalej rozmawiali z kierowcą dyrektora Dedepe o cenach samochodów na giełdach.

Później sekretarz nie mówił już o tej sprawie i nikt z otoczenia nie pytał. Herbaty ani czegoś mocniejszego nie skosztowano w pokojach gościnnych Nadleśnictwa. Wołgi pomknęły do miasta.

Inżynier Walicki otrzymał po dwóch tygodniach pismo od dyrektora okręgu z wiadomością o rozwiązaniu umowy o pracę z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego. Walicki rzeczywiście skończył niedawno sześćdziesiąt pięć lat, ale był w dobrej formie i liczył, że jeszcze parę lat popracuje.

Nazajutrz po wypadku Mizera zadzwonił do Komendy Wojewódzkiej MO. -

Towarzyszu Łuczyński, kiedy możecie wpaść do mnie? -zapytał komendanta.

Umówili się na dziewiątą. Mizera oględnie opowiedział o wypadku, a następnie, używając ostrych sformułowań, poprosił o wyjaśnienie sprawy: - Bezczelne kłusownictwo. Rozzuchwalone elementy! Trzeba natychmiast ustalić fakty: kto wykopał dół?

- Tak jest, ustalimy - obiecał pułkownik Łuczyński. - Nie będziemy na naszym terenie tolerować kłusownictwa!

Po powrocie do Komendy kazał wezwać porucznika Gajdeczkę z Czarnej. Po dwóch godzinach (tyle potrzebował Gajdeczka, aby z Czarnej przyjechać do Województwa wozem nyską, jadąc od czasu do czasu na sygnale) powiedział do porucznika:

- Sprawa, o której usłyszycie, jest delikatna. Towarzysz sekretarz osobiście prosił o jej wyjaśnienie. Nie chcę na razie uruchamiać wszyst-

175

kich środków i rezerw, jakimi dysponujemy. Czasem, wiecie, łatwiej jest po cichu, dyskretnie, znając oczywiście teren, ludzi, wyjaśnić... /

Gajdeczka zgodził się z pułkownikiem: - Tak jest! Zgadza(m) się z towarzyszem pułkownikiem w całej rozciągłości! - Po wysłuchaniu Łuczyńskiego do końca oświadczył, że najdalej za siedem dni przyśle wiadomość. - Wszystkich miejscowych kłusowników mamy na (oku, towarzyszu pułkowniku. Nie będzie trudności.

Milicjant Goryczka ocknął się z drzemki w chwili, kiedy niebieska warszawa typu garbus zatrzymała się blisko miejsca, gdzie siedział. Z wozu wysiadło trzech mężczyzn - dwóch młodszych, jeden starszy. I oni, i samochód wydali się znani Goryczce, ale jeszcze nie był pewien. Stali chwilę przy betonowej barierze prowadząc przyciszoną rozmowę, potem poszli w dół polany. Goryczka obserwował

scenę przez lornetkę. Mężczyźni szli wolno, przystając i rozglądając się co pewien czas. Dwóch młodszych niosło siekiery i worki. Znikli za kępą brzoź na dole. Wtedy skoczył z bukowego rozwidlenia na ziemię. Sprawdził pistolet w futerale, poprawił czapkę, która przy zeskoku zsunęła się na czoło, i wyszedł na drogę. Obejrzał wóz i zanotował numery. Była to taksówka z Dąbek Górnych.

„Wszystko jasne” - pomyślał chowając długopis. Ruszył śladem mężczyzn, omijając choiny, krzaki głogu i jałowce.

Daniszewski, Zenek i Janek Słowik stali nad krawędzią dołu. Był pusty. Tylko pośrodku bieląco coś w papierze. Naokoło leżała porozrzucana darń, leszczynowe pręty - wszystko przypominało pobojuwisko. Daniszewski pokiwał głową: - Zniszczyli jacyś.

- Kto? - zapytał Zenek.

- Może służba leśna?

Zgódka klęknął, potem ostrożnie, chwytając się krawędzi leszczynowych prętów, zsunął się na dno. Podniósł zawiniątko w białym papierze.

- Co to? - zainteresował się teść.

- Kanapki - powiedział po chwili Zenek. - Z szynką— dodał. Rzucił chleb i papier w ką.

Milicjant pojawił się za plecami Daniszewskiego i Słowika jak duch.

- Panowie kłusownicy przyjechali obejrzyć swoje dzieło? Ładnie to kłusować?

Ładnie? „,, Mężczyźni odwrócili się, zaskoczeni. i

176

- Dzień dobry, panie Daniszewski! - Goryczka wyszedł zza brzo-ych pni. Zauważyli jego ryszunek: polową lornetkę, otwarty fute-z pistoletem.

- Kto tam jest? - zawołał Zenek z dna dołu. Nie widział Goryczki. - Ej, Janek!

Ale Słowik i Daniszewski nie odpowiedzieli. Znikli Zenkowi z oczu.

- Bardzo przepraszam - odezwał się Daniszewski - dziury w lesie nie można obejrzyć?

- Jacy kłusownicy? - dodał Janek Słowik. - Co pan znowu?

- Proszę o dokumenty - powiedział Goryczka oficjalnym tonem.

- Ej, z kim tam gadacie? Pomóżcie wyjść! - wołał Zenek.

- Jacy kłusownicy, panie władzo? - Słowik przybladł trochę. Wymienili spojrzenia z Daniszewskim.

- Tak jest, kłusownicy! - oświadczył milicjant Goryczka dobitnie. Klepnął po otwartym futerale z pistoletem. - I to nie zwyczajni kłusownicy, ale polityczni!

- Pomóżcie wyjść, pomóżcie wyjść! - wołał Zenek, nie rozumiejąc, co się stało.

Jego teść podszedł do Goryczki i, biorąc pod rękę, powiedział: -Panie plutonowy, pan pozwoli na chwilę. - Odeszli na bok. Rozmowa, jaką przeprowadzili ściszonymi głosami, stojąc pod kępą białych brzoź, miała przebieg następujący:

- Co się stało, panie Władku?

Goryczka nadal był oficjalny: - Nie mogę za dużo powiedzieć. Ktoś z aparatu wpadł do waszego dołu. To po pierwsze. Po drugie, wykopaliście dół w celach kłusowniczych, z wyraźnym zamiarem dokonania przestępstwa na szkodę państwowej gospodarki leśnej.

- Skąd pan wie, panie Władku, że to my wykopaliśmy dziurę? - zapytał po chwili

milczenia taksówkarz.

- Panie Daniszewski, przestańmy się czarować, dobrze?

W tym czasie Zenek Zgódka wyszedł z dołu przy pomocy Janka. Chciał podejść do teścia: - Ojciec, ojciec... - zawołał cicho za plecami Daniszewskiego.

Stary zamachał energicznie: - Czeka! - I do Goryczki: - Panie Władku, chyba się dogadamy, co? Obaj znamy życie, prawda? Ja panu, a pan mnie pójdzie na rękę, zgoda? - Wziął Goryczkę za łokieć.

Zgódka i Słowik czekali siedząc na zwiniętych workach nad dołem.

- Drugie wrota w las

177

- Głupia sprawa - mówił Zenek. - Żeby człowiek wiedział, w się pcha, toby się nie pchał, tak?

Janek, zły, palił papierosa. W końcu teść z Goryczką wrócili.

- Jazda, jazda, chłopaki - powiedział Daniszewski - już nas tu nie ma! Pan plutonowy idzie nam na rękę, ale nikomu słowa o/tyrn spotkaniu! Mur, zrozumiano? j

- Tak jest! - odpowiedzieli jak na komendę, podnosząc się z worków.

W kilka dni później milicjant Goryczka wpłacił na książeczkę docelową resztę należności za fiata 126 P. „Sześćdziesiąt dziewięć tysięcy, koniec oszczędzania” - myślał zadowolony, wychodząc z Oddziału PKO. Kilka razy zastanawiał się, jak porucznik Gajdeczka ustosunkuje się do faktu, że kłusowników w ciągu tygodnia nie złapano. „Nie moja w tym głowa - myślał. - Niech się inni martwią, tak?”

Szczęśliwy zbieg okoliczności przyniósł rozwiązanie tej sprawy. Oto do dołu-zasadzki wpadł, zbierając grzyby na polanie, Franek przybędą z Lubczyny, którego nazwiska nikt nie znał. Dyżurujący wówczas milicjant, kolega Goryczki, zatrzymał niemowę, jako podejrzanego o działalność kłusowniczą. Dogadać się z Frankiem w Komendzie nie mogli - bełkotał i udawał, że płacze. Chociaż Goryczka znał Franka, nie wyjaśnił sprawy i nie protestował, kiedy jego kolega podsunął porucznikowi myśl, że to Franek mógł dół wykopać. Ponieważ upływał siódmy dzień od rozmowy pułkownika Łuczyńskiego z Gajdeczka, porucznik poszedł na to rozwiązanie. Do Województwa wysłano telefonogram z wiadomością, że sprawcą czynu kłusowniczego okazał się niejaki Franek, pseudonim Głuchy, mieszkaniec wsi Lubczyna, czterdzieści osiem lat, nigdzie nie pracujący, notoryczny alkoholik i znany kłusownik. Wyżej wymienionego zatrzymano.

Pułkownik Łuczyński zadzwonił do Mizery z wiadomością, że kłusownicy zostali ujęci.

- To potraktujcie ich tam odpowiednio - powiedział sekretarz. Ale chyba zapomniał już o sprawie, złość przeszła, bo nawet specjalnie nie dziękował Łuczyńskiemu.

Głuchoniemego Franka trzymano w Czarnej dwadzieścia cztery godziny, potem wypuszczono Wyspał się przez ten czas, zjadł dwa

178

prze zupy na mięsie i zadowolony, choć nadal nie rozumiejący, czego liego chcieli, wrócił do Lubczyny.

I tak nie skłamałby, gdyby powiedział - j'ak rzekłby pewno Zenek Zgódka - że wszyscy zamieszani w sprawę dołu-zasadzki wyszli na swoje lub w połowie na swoje (z wyjątkiem nadleśniczego Walickiego, oczywiście), gdyby nie krótka notatka w

prasie, którą milicjant Goryczka odczytywał kilka razy nie wierząc własnym oczom: cenę fiata 126P podniesiono do osiemdziesięciu siedmiu tysięcy. Fakt, że przed tygodniem wpłacił całą sumę, nie miał znaczenia: należało podnieść wysokość wkładów do osiemdziesięciu siedmiu tysięcy. Brakowało już nie dziesięciu, ale osiemnastu tysięcy, i Goryczka, po kilkakrotnym odczytaniu notatki, uderzył pięścią w rozłożoną „Trybunę Ludu”.

„Złodzieje - myślał patrząc przez zakratowane okno pokoju-dyżu-rki. - To ja, to ludzie pracy w całym kraju odkładają tyle lat, oszczędzają, nie dojadają, dzieciom odejmują od ust, a oni nagle... Dla kogo te samochody właściwie? Co to w ogóle znaczy? - Przypomniał sobie głuchoniemego Franka i pożałował, że nie wyjaśnił sprawy. - Jak oni tak, to ja tak samo! Oni mnie, to ja ich! Że człowiek nigdy niczego nie może przewidzieć! Że człowiek zawsze taki ciemny!”

Zmiał organ partii w kłęb i cisnął do kosza.

976

Za tych, co rządzą

Niebieski polonez zatrzymał się przed chatą krytą strzechą. Kilka owocowych drzewek kwitło przed małymi okienkami. Dwóch mężczyzn wysiadło z wozu. Kiedy szli przez podwórze, łaciaty pies obszczekał ich brzęcząc łańcuchem. Weszli do chaty chyląc głowy w niskich drzwiach.

Za progiem była obszerna izba.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - powiedział pierwszy: krępy, w granatowym garniturze i białej koszuli, z opaloną twarzą i wielkimi rękami o krótkich kwadratowych palcach. Drugi z mężczyzn był wyższy i cięższy. Miał szary garnitur. Wydawało się, że kołnierzyk koszuli ściska szyję, jak obręcz.

Stali przez chwilę patrząc na obraz Chrystusa z gorejącym sercem: oszklony, w pozłacanej ramie. Wisiał nad drzwiami w głębi izby.

Przy piecu stała kobieta. Nie odpowiedziała na pobożne słowa krępego. Na głowie miała czarną chustę. Wyglądała na jedną z tych wiecznie zatroskanych i zabiedzonych kobiet wiejskich, które nigdy nie uśmiechają się. W drewnianej skrzynce, przykrytej szmatą, popiskiwały kurczęta.

- Jest Czerwiński? - spytał krępy mężczyzna po chwili milczenia. Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła się do pieca. - Gdzieś tam jest.

- Mówił, żeby przyjść pogadać.

Zapadło milczenie. Pies za oknami czekał. Popiskiwały kurczęta. Czuć było parą, ziemniakami gotowanymi w garze. Mężczyzna w szarym garniturze położył rękę na ramieniu krępego: - Chodź, Geniu. Nie chcą nas tutaj.

Krępy nie rezygnował: - Pani Czerwińska! Trzeba zawołać męża. Szwagier specjalnie fatygował się na rozmowę.

Kobieta podeszła do drzwi w głębi i otworzyła je szeroko: - Stasiu! - powiedziała głośno. - Do ciebie jacyś przyjechali.

180

Czerwiński - chudy, drobny chłop w kapciach bez pięt na bosych nogach, w zmiętej koszuli i nie dopiętych spodniach, z białymi tasiemkami kalesonów wyglądającymi spod nogawek - wyszedł z sąsiedniej izby.

- No co, Czerwiński - zaczął od razu krępy - umawiasz się, my tu ze szwagrem

przyjechali, kobieta nierozmowna. Mało brakowało, a poszliby!

- Ja was nie prosiłam - powiedziała Czerwińska, poprawiając czarną chustkę. - I gadać z wami nie będę!

Gospodarz, klapiąc pantoflami, podszedł do mężczyzn i przywitał się. Podali sobie ręce. - Jak człowiek nie dośpi, to potem zaśpi! Chodźcie za mną.

Wszyscy trzej przeszli przez kuchnię, obok chudej kobiety, pieca z garem ziemniaków pod parą i skrzynki z kurczętami. Czerwiński - ostatni - zamknął drzwi, ale wtedy czarno ubrana kobieta podbiegła i otworzyła z powrotem. Stojąc w progu, naprzeciw sadowiących się naokoło stołu mężczyzn, zaczęła mówić:

- Wiem, z czym przyszli. W sprawie tego mordercy - palcem, który wydawał się tak samo czarny, jak chusta i sukienka, pokazała na krępego - twego syna! Ty się z nimi, Stachu, nie wdawaj w żadne układy! Sprawiedliwością chcą handlować! Mordercy i handlarze! - Mówiąc poprawiła czarną chustę i potrząsnęła pogrzebaczem.

- Zosia, daj pokój - powiedział Czerwiński pojednawczo. - Pan sekretarz osobiście się fatygował. Ludzie chcą z nami pogadać spokojnie. Bez krzyku.

- Sekretarz, nie sekretarz! - krzyknęła kobieta. - Prokurator, nie prokurator! Może być sam główny z Warszawy, a ja tak samo powiem: jaka u was sprawiedliwość? Jednych za parę groszy wsadzacie - jak było z Bakalarskim - zwróciła się do męża - pamiętasz? - A innych, morderców, na wolność puszczacie? Za co? Po znajomości?

- Proszę pani - odezwał się szwagier krępego - po co tyle słów? Chrystus miłosierny nad waszą głową!

- Ty, t>: O miłosierdziu będziesz gadał? Co twój siostrzeniec myślał, jak bił synka kołem z płotu? O miłosierdziu?

- Zosia! - Czerwiński wstał i podszedł do żony. Usiłował wypchnąć kobietę za drzwi. Biła go po rękach pogrzebaczem.

- Panie Czerwiński, daj pan spokój - łagodził krępy. - Niech żona się wypowie, prosimy bardzo. Byle spokojnie. Po ludzku.

181

Czerwiński wrócił na krzesło. Tęgi pokręcił kilkakrotnie głową krzywiąc usta.

Wycierał chustką pot z czoła. Miał różową koszulę i krawat w jasne pasy zawiązany w gruby węzeł.

- Co się stało, nie odstanie. Co było, nie wróci. My, ludzie, możemy pogadać. Bez urazy.

- Nigdy w życiu! Syna mi zabił, morderca! - Podbródek czarno ubranej kobiety zaczął drżeć. Rzuciła pogrzebacz na podłogę i oparła się o framugę drzwi. Płakała przyciskając zaciśnięte czarne ręce do oczu. Mężczyźni siedzieli bez ruchu.

- Co się stało, nie odstanie - powtórzył tęgi. - Siostrzeniec bił się z pani synem. Jeden mógł drugiego skrzywdzić. Wyszło na waszego syna. Różnie mogło być.

- Nieprawda! - krzyknęła odrywając pięści od oczu. - Łże, kłamie! Synek wyszedł z klubu samiutenki. Szedł do domu. A ten czekał na niego przed świetlicą. Bił sztachetą. Są świadki, widzieli, ile krwi z mego wylał. Proszę! - Podbiegła do szafy obok okna. Otworzyła drzwi i wyjęła niebieski garnitur na wieszaku. Na materiale widać było ciemne plamy. - Com się namęczyła, za nic nie puści. Krew! - Potrząsnęła niebieskim garniturem. - Krew!

- Pani Zosiu - łagodził krępy - s7-vagier dobrze mówi. Różnie mogło być.

- I buty całe we krwi. Proszę! - Schyliła się. Z dna szafy wyjęła brązowe półbuty na wysokich obcasach. Mężczyźni znów zamilkli.

- Są świadki, są ludzie uczciwi. Opowiedzą, jak było! • •

- Pani Czerwińska - powiedział krępy - świadki mogli nie widzieć. Po co robić szum? Mówię otwarcie: nie będziecie judzić, pisać, chodzić - dam sto tysięcy.

Czerwińska odwróciła się. Pociągając nosem chowała w szafie niebieski garnitur, rzuciła na dno brązowe półbuty. Poprawiła chustkę i podeszła do okna. Stały tam w doniczkach różowe i czerwone pelargonie. Kwitły. Cierpki zapach liści i kwiatów unosił się nad doniczkami.

- Więc jak będzie? - powtórzył krępy. - Mojemu grożą sankcje. Waszego wyrok nie zbawi. My, ludzie, powinniśmy sobie pomagać. Szwagier pomaga, ile może, a!e wszystkiego nie załatwi. Mówię otwarcie: nie będziecie judzić, pisać, głowę zawracać - sto tysięcy na stół.

Kobieta odwróciła się od okna. - Ja tam nie wiem, niech on z wami gada - pokazała czarnym palcem Czerwińskiego. Przeszła obok

182

jtołu i znikła w pierwszej izbie. Nie zamknęła drzwi. Mężczyźni słyszeli, suwała garnkami na wielkim piecu. Popiskiwały kurczęta.

- Posłuchaj, Czerwiński - zaczął krępy półgłosem - pieniądz piechotą nie chodzi.

Pomożecie nam - my wam! Chodzi o lata życia mego Ziutka. Waszego nic nie zbawi, nic. Dobrze mówię? - zwrócił się do szwagra.

- Tak jest.

Czerwiński pocierał nie ogolone policzki. Patrzył w stół.

- Jak wam będzie czegoś trzeba - odezwał się mężczyzna w szarym garniturze - przyjdźcie do mnie. Nie obawiajcie się. Cegła, deski, co chcecie. Może węgiel?

- Ty, posłuchaj - powiedział krępy - za sto tysięcy postawisz nową chałupę.

Tym razem Czerwiński uśmiechnął się: - Chyba na księżycu.

- Możecie zacząć budowę - powiedział szwagier krępego. - Dokończycie powoli. Powolutku.

W drzwiach znów stanęła czarno ubrana kobieta. - Dla kogo, pytam, budować?

Powiedzcie, panowie, tak z ręką na sercu: jest dla kogo? My teraz sami, samiuteńcy.

Starszy na Śląsku przepadł. Ani słówkiem się nie odezwie. Młodszego mi wasz zabił. Biały krzyżyk nad nim. Po co nam nowy dom?

- Pani Czerwińska! - powiedział krępy. Machnął kwadratową ręką. - Jeszcze jesteście młodzi. Jeszcze sobie pożyczycie. Ja was do niczego nie namawiam. Ale gadam jak do ludzi: wy pomożecie nam, my wam! Niech będzie sto dwadzieścia. Pieniądz tanieje,

- Zosia - odezwał się Czerwiński, przysuwając krzesło bliżej sto-- przyniosłabyś kawy, może jeszcze co? Dwaj goście patrzyli na przykryty koronkową serwetą stół.

W pół godziny później, dolewając samogonu do szklanek, Czerwiński mówił: - Czy to możliwe, aby dorosły chłop pomierł od wody?

- Wody? - powtórzył krępy. - Toś ty, Czerwiński, nie wiedział, co on pił?

- Pewni spirytus na kościach - zaśmiał się gospodarz. Bezzębne dziaśła miał różowe.

- A jak myślisz? Przy stole umarł na drugi dzień Zielonych Świątek. Z podłogi go podnosili. Spod stołu.

183

- Jezusie, Mario - powiedziała Czerwińska. Przycupnęła na krześle pod ścianą, za plecami męża.
 - Potem podobno nie chcieli chować na swój koszt. Do Gminy chodzili, to prawda? Krępy śmiał się. — Córki chodziły do naczelnika. Chciały na koszt państwa chować. Stara tak samo.
 - Głupia baba - powiedział jego szwagier. - Na ten spiryt mieli, a na trumnę nie?
 - Jezusie, Mario - powtórzyła Czerwińska. - Ona, panie, niewinna. Córki zameżne. Pijak pomier, a chłopak staje do poboru.
 - I dobrze takim! Jak mają na spirytus, to i na trumnę muszą mieć!
 - Chłopak do poboru, ale dziś wojsko łagodne - oświadczył Czerwiński. - Jeszcze zawodu nauczą. Jak my służyli, panie, to była służba. Deszcz, błoto, mrozy. W najgorszą pogodę szli!
 - Karabin nad głową i przez rzekę! - zaśmiał się krępy.
 - Tak jest! Pamiętam, jak na ćwiczeniach przez tydzień z butów wodę wylewalim. Mundury parowały, jak skóra na koniach. To była służba, nie?
 - Szwagier krępego wypił łyk ze szklanki. Chwilę wycierał chustką pot z czerwonego karku. - Służba ojczyźnie sprawą honoru! - oświadczył.
 - Honor, honor - podchwycił krępy. - Co oni dziś wiedzą o honorze? Ja mówię: dziś młodzi tylko wypić, przepraszam panią - zwrócił się do gospodyni - dziewczyny przelecieć, jak to mówią, w rowie pole-żeć. Honor?
 - Czerwiński śmiał się pokazując różowe dziąsła.
 - I praca sprawą honoru obywatela! - powiedział szwagier krępego.
 - Jak najbardziej. Jak najbardziej - potakiwał gospodarz.
 - Jak zobaczę spracowane ręce, zaraz wiem, co za człowiek.
 - Tak jest. Te spracowane ręce - Czerwiński potrząsnął pięściami nad koronkową serwetą - jak dokument osobisty. Spojrzysz, panie, i wiesz, z kim gadasz.
 - A twoje, Czesiu - krępy mrugnął do szwagra - jakie są: spracowane?
 - O, bardzo przepraszam. Nasza praca inna, ale też się liczy.
 - Jak najbardziej - przytaknął Czerwiński. - Bez tych, co rządzą, byłoby źle.
- 184
- Co jest, że nie ma mięsa? - spytała gospodyni. - Naród tyle żywca odstawia, a kobiety w pustych jatkach stoją. Rankami, przed południem, mówią, że w nocy.
 - Czekają na zmiłowanie boskie - zaśmiał się krępy.
 - Są trudności.
 - Ty ich, Czesiu, nie zaznałeś. Powiedz, tak z ręką na sercu: postałybyś pięć godzin w kolejce?
 - Gdzie tam pięć: dziesięć!
 - Kochani, czy ja mam czas? - Tęgi mężczyzna wycierał chustką gruby kark. Znowu wykrzywił usta.
 - Tak jest, tak jest. Ci, co rządzą, nie mają czasu za wiele.
 - Mięso im dadzą na stół! - zaśmiał się krępy.
 - A co myślisz? A jak ma być? Serdecznie proszę! - Gospodarz podsunął sekretarzowi talerz z ogórkami.
 - No to... - mrugnął krępy - za tych, co rządzą! - Podniósł szklankę. Samogon błysnął niebem zza okienka. Cierpko pachniały pelargonie.

Czerwińska poprawiła chustkę na głowie. Pociągnęła nosem. -A znów sąsiad, Pogorzelski, cały poparzony.

- To prawda, że do szpitala go zawieźli? - zainteresował się krępy.

- Prawda. Wylał na siebie wrzątek, jak prosiaka chciał sparzyć. Od głowy do nóg. Cały mokry. Skóra płatami schodziła.

Czerwiński pokazał różowe dziąsła: - Zamiast świniaka sam na kielbasy się nadawał.

- Idź, ty! - powiedziała gospodyni i westchnęła: - Jezusie, Mario, ile to człowiek się namęczy, nim go w trumience położą.

Krępy śmiał się. Jego szwagier z czerwoną szyją, ściśniętą kołnierzykiem, obracał pustą szklanę w palcach.

- Dolej Czesiowi, bo go suszy - trącił Czerwińskiego krępy. Gospodarz wstał.

Pochylony nas stołem, rozlewając samogon na serwetę, nappełnił puste szklanki.

- No to - powiedział krępy - za zdrowie szwagra!

Kiedy w dwie godziny później wychodzili z krytej strzechą chaty, tęgi zatoczył się za progiem.

- Jak pan sekretarz pojedzie? - zaniepokoiła się Czerwińska. Stała w niskich drzwiach.

185

Krępy, całując jej poczerniałą rękę, powiedział: - Czesio? Milicjan-ty tylko salutują, jak jedziem.

Znów czekał pies chrypiąc i brzęcząc łańcuchem. Wiatr poruszał gałązkami kwitnących drzewek. Czerwiński podtrzymywał sekretarza za łokieć. Spod nogawek wystawały tasiemki kalesonów. Szli zataczając się przez podwórze. Krępy za nimi.

Potem stali chwilę przy polonezie. Gospodarz kłaniał się. Tęgi klepał go po ramionach, coś mówił. Czerwińska nie słyszała słów. Widziała, jak sekretarz kiwa mężowi przed nosem pulchnym palcem. Śmiech krępego. Później wsiedli do wozu. Jeszcze machali przez uchylone szyby. I znów szczekanie psa. I wiatr - białe gałązki jabłonek pod okienkami. Zgięty w ukłonach Czerwiński.

Odjechali. Zawył silnik (tęgi za mocno wcisnął pedał gazu). Chmura szarego kurzu podniosła się na polnej drodze i przykryła niebieski wóz.

1980

tira".

Druciany lis

Z nasypu przed mostem widać było gospodarstwo Piątka - dom mieszkalny, stodołę z oborą, wielką stertę obornika, spod którego brązową strugą ciekła do rzeki gnojówka, a dalej nie ogrodzony sad i łąki, o tej porze roku (był luty) pod śniegiem. Przy betonowej balustradzie stała gromadka dzieci - po lekcjach wyszły ze szkoły - rozkrzyczany drobiazg od pierwszej do czwartej klasy. Kolorowe tornistry ze skaju, bawełniane czapki, szaliki.

Do dzieci zbliżył się nauczyciel z tutejszej szkoły gminnej - magister Miłanowicz: młody brodaty człowiek w okularach, sztruksowych spodniach wytartych na kolanach i granatowej kurtce ze spłowiałego teksasu. Szedł do sklepu po drugiej stronie rzeki. Kiedy zobaczyły go, zaczęły wołać:

- Proszę pana, lis! Proszę pana, lis!

Miłanowicz spojrział w dół na zabudowania Piątka i zobaczył rudą plamę na tle bieli.

Za górą obornika, między pniami jabłonek, szamotał się uwiązany na drucie lis. Słychać było metaliczny szczęk, kiedy zawracał spod jednej jabłonki i wlokąc za sobą kłęb drutu z blaszaną puszką w środku - biegł pod drugą. Kuśtykał. Widać było wyżłobiony w śniegu ślad, pociemniały od grudek ziemi, rdzy i krwi. Mały kundel z ogonem zakręconym w obwarzanek ujadął histerycznie o kilka kroków od lisa, bojąc się podejść bliżej. Dzieci śmiały się.

- Jak rano drogom szli, tak samo szczekał!

- Druciany lis, druciany lis! - podskakiwała najmniejsza z dziew-ynek. W dużym tornistrze coś grzechotało.

Nauczyciel zbiegł ze skarpy. Owiała go fala ciepłego zapachu obor-aika. Za stodołą rozgdakała się kura. Pies, ośmielony nagle, skoczył bliżej lisa. Ochryple ujadanie niosło się nad drzewkami sadu. Lis jakby nie dostrzegął psa. Był omotany kolczastym drutem. Drugi koniec

187

uwiazano do pnia jabłonki. Pośrodku był jeszcze ten splątany kłęb, wewnątrz którego połyskiwała blaszanka. Miłanowicz stał bez ruchu. Być może zastanawiał się: skąd tu lis? Kto go przywłókł? Po co?

Na rudym futrze bliżej łba widać było zakrzepłą krew. Jedno ucho miał naderwane - wisiało jak strzępek czarnej sierści. Zmiażdżoną część pyska, bez oka, które wypłynęło. I nie miał tylnej łapy. Powłóczył kikutem żłobiąc w śniegu widoczną z góry bruzdę, poznaczoną plamkami krwi. Tylko puszysty ogon był nietknięty.

W milczeniu, nie zwracając uwagi na człowieka i psa, kuśtykał trzy metry w jedną, potem trzy metry w drugą stronę. Cierpliwie, z nosem przy śniegu. Jakby spodziewał się, że nagle dojdzie do miejsca, za którym odzyska wolność.

Dzieci zbiegły z nasypu i otoczyły nauczyciela. Mały rudzielec z czwartej klasy rzucił bryłą śniegu. Nie trafił, ale inne dzieci zaczęły lepić kule.

- Nie można - powiedział brodaty nauczyciel. Po chwili zapytał: - Kto wie, czyj to lis?

Zaczęły mówić przekrzykując się:

- Pan Piątek złapał w lesie. '*

- Trzyma, póki nie zdechnie. l*

- Od wtorku, proszę pana. '''

- A Kajtek cały dzień przy nim szczeka. Kajtuś!

- Kajtuś, Kajtuś! - wołały na psa.

- Druciany lis, druciany lis! - cieszyła się najmniejsza z dziewczynek. W tornistrze grzechotało.

- Nie wolno rzucać śniegiem - powiedział. - To nieszczęśliwe stworzenie.

Odwrócił się i poszedł naokoło stodoły, skacząc przez brązową strugę gnojówki i pędząc przed sobą gdaczącą kurę. Kiedy wszedł na podwórze, rozszcekał się pies Piątków. Tęga kobieta wyszła na schodki przed oszklonym gankiem.

- Prosimy, prosimy, panie magistrze - powiedziała.

Miłanowicza tytułowano magistrem, ale nie poważano. Ubierał się jak artysta, brodą straszył dzieci. Był młody: przed rokiem skończył filologię na uniwersytecie i trochę z braku odpowiedniej posady, a trochę kierując się „posłannictwem”, jak czasem (śmiejąc się) mówił, przyjechał do nas, aby w wiejskiej szkółce nieść „kaganek

oświaty". Po pół roku wiedział, że wszystko, c/ego spodziewał się, było złudzeniem.
188

pieci (bite przez nauczycielki) kłamały, rodzice pędzili samogon, naczelnik miejscowej gminy budował dom nad rzeką z materiałów kradzionych z niedalekiej budowy. Do lasu przyjeżdżali dygnitarze na polowania - w leśniczówce za wsią odbywały się huczne libacje. Nocami, na drodze, słychać było wrzaski, pijackie śpiewy, krzyki. Młodzi wracali z gospody.

- Prosimy, panie magistrze - mówiła Piątkowa, prowadząc Miła-nowicza do izby, w której jej mąż siedział nad parującym talerzem. - Może zupki nalać? - Uśmiechała się cały czas.

Ale Miłanowicz (głęboko poruszony) zaczął mówić bez wstępu: - Panie Piątek, co pan z tym lisem wyprawia? Jak można tak męczyć zwierzę? Dzieci patrzą.

Piątkowa przestała się uśmiechać, jej mąż przerwał jedzenie.

- Z lisem? Z tym za stodołą?

Miłanowicz przytaknął. Patrzyli na młodego nauczyciela zaskoczeni, jakby nie rozumieli. Za oknem czekały psy. Miłanowicz wyglądał niepoważnie: z brodą, rozczochrany, grube szkła, sztruksowe spodnie wypchane na kolanach.

- Panie, to największy zbój! - powiedział gospodarz. - Pan wie, ile on kur zabrał?

- Lis to lis! - oświadczyła kobieta.

Piątek zakaszłał. Był niemłodym mężczyzną. Spod rozpiętej koszuli wyglądały siwe włosy. Na policzku miał fioletową plamę.

- Zbój, zbój, największy szkodnik! - powtarzała za plecami Miła-nowicza Piątkowa. - Niech pan usiądzie, magistrze.

- Powinniście go uwolnić - powiedział. Piątkowie zaczęli się śmiać.

- Kochany magistrze, po co?

- Uwolnić tego zbója?

- Mąż go we wnykach znalazł w lesie, przyniósł dzieciom pokazać!

- A dzieci potem same męczą zwierzęta.

Piątek odłożył łyżkę. Piątkowa zaczęła przesuwac garnki na wielkim piecu. W izbie było gorąco. Słyszeli ujadanie małego kundelka za oknem. Krzyki dzieci.

- To ni« po chrześcijańsku - powiedział.

A wtedy Piątek, posepniejąc: - Chrześcijaństwa nie będzie nas uczył.

Na tym rozmowa się urwała. Miłanowicz wyszedł z niczym.

189

Wracając ze sklepu, po godzinie, postać chwilę na skarpie. Uwieszony lis jak przedtem biegał od pnia do pnia. Na śniegu ślady rdzy. Połyskiwała blaszanka. Ujadał mały kundelek. Tylko dzieci nie było. Poszły sobie. Wrócił przygnębiony do kwatery na końcu wsi. **

Rano wszedł do klasy z pytaniem: - Co to znaczy: dobry człowiek?

Miał zwyczaj zadawania niezwykłych pytań. Dzieci lubiły go za to - często pół lekcji zbiegło na rozmowach (później kierowniczka szkoły strofowała Miłanowicza w obecności koleżanek-nauczycielek). W górę powędrowały ręce.

- Proszę - powiedział wskazując na chłopca, który wczoraj pierwszy rzucił grudą śniegu. ,

- Jak kto służy Bogu.

- A ty? - wskazał dziewczynkę przed nim. a
- Jak kto nie przeklina. ^
- Ty? - pytał - ty? - podczas gdy one mówiły: - Jak kto kocha bliźniego, jak siebie samego.
- Nie pije. , , , . «,fj
- Nie bije żony i dzieci.
- Kiedy oddaje co ma innemu. =1
- Gdy kocha ludzi.

Później zamilkły i czekały, co nauczyciel powie. Miłanowicz, w grubym swetrze golfie, stał przy piecu i patrzył w okno, za którym widać było pola i lasy na horyzoncie. W klasie pachniało dymem. Było zimno - dzieci siedziały w płaszczach. Błyskały spod pieca szkła okularów.

- A zwierzęta? - spytał. - Co myślicie o zwierzętach?
- Nie mają duszy - powiedziało któreś z końca klasy.
- Proszę pana - wstała dziewczynka z pierwszej ławki - Grabarek z Grześkiem Cubalą złapali psa i powiesili w lesie.
- To prawda? - zapytał.

Grabarek, ten sam mały rudzielec, który rzucił bryłą śniegu, stał z opuszczoną głową. Dzieci umiały się.

Wieczorem poszedł do sołtysa. Idąc spotkał księdza, który od kilku dni chodził po kołędzie. Chłopiec w krótkiej komży, naciągniętej na

190

1

płaszcz, szedł obok niosąc na plecach worek. Ksiądz, w czarnym płaszczu i przydługiej sutannie zamiatającej śnieg, spojrzał zaskoczony. Wiedział, że nauczyciel nie chodzi do kościoła („niedowiarek" mówiono o magistrze). Stali przed domem sołtysa w świątłach padających z okien. Na drodze hulał mroźny wiatr. Zaczynała się zadymka.

- Proszę księdza - powiedział - tu, koło mostu, gospodarz Piątek trzyma w sadzie lisa. Ten lis poraniony, bez nogi, a on go uwiązał na drucie kolczastym. Tak już od kilku dni. Bez wody, bez jedzenia...

Chwilę trwało milczenie. Potem ksiądz spytał ministranta:

- Który to Piątek?
- Ten koło mostu. My tam już byli.
- A może inny? Ilu tych Piątków jest?
- Czterech - wyjaśnił chłopiec. - Ale to ten przy moście. On ma lisa. Miłanowicz przytaknął. - Może ksiądz mu przemówi do sumienia?
- Na most nie możemy wracać, panie nauczycielu. Za daleko.
- Ale - zaczął Miłanowicz - ten lis...
- Chyba że o innego Piątka chodzi. Na pewno o tego przy moście?
- Przy moście, przy moście - potwierdził ministrant.

Powiało mocniej. Chłopiec patrzył na Miłanowicza. Otworzył usta.

- To nie w porządku - powiedział nauczyciel. - Nie po chrześcijańsku. - Przez grube szkła starał się spojrzeć w oczy księdzu (miał minus pięć dioptrii). A wtedy proboszcz, poważniejąc, powiedział tak samo jak Piątek:

- Chrześcijaństwa nie będzie nas uczył!

U sołtysa pili. Przyjechał akurat zięć z wojska - na dwa dni urlopu.

- Witamy magisterka! - rozłożył ręce sołtys. Był podпиты, oczy świeciły, na czole błyszczał pot. W izbie gorąco - przy stole kilka osób. Pośrodku butelka samogonu. Miłanowicz nie lubił pić, ale oni zaraz zaczęli namawiać:

- Na takie zimno, magistrze, zdrowo!

- Choć pół kieliszeczka! " R - Sto gram, sto gram! l(- Prosimy, prosimy, pan nie odmówi!

191

Usiadł z wypiekami na twarzy. Pomyślał, że nic gorszego nie mogło się stać.

Zięć sołtysa opowiadał o służbie: - Służba, magisterku, nie druźba. Jak każą skoczyć do wody, skaczem. Jak w ogień iść, idziem. Tak jest!

- Nie gadaj za dużo, ty głupi! - mówiła córka gospodarzy. Krępa dziewczyna z grubymi nogami. Śmiała się głośno. Później zaczęły się śpiewy.

Po godzinie Miłanowicz wymknął się pod pretekstem pójścia za potrzebą. O lisie wspominać nie było kiedy. Zresztą: po co?

Poszedł w stronę mostu. Zapadając się w śniegu zszedł ze skarpy i zbliżył do sterty obornika. Usłyszał brzęk. Lis, tak jak wczoraj, krążył od pnia do pnia. Miłanowicz wyjął z kieszeni małe kombinerki. Obracał chwilę w zmarzniętych palcach. Kiedy znów chciał ruszyć z miejsca, potknął się o sterczący kołek i upuścił obcęgi. Upadły bezszelestnie. Klęknął i zgrabiałymi rękami, po omacku, usiłował szukać w śniegu. Musiały zapaść głęboko. Długo pełzał w kółko na kolanach, macał, rozgarniał śnieg. Tylko ból w zgrabiałych palcach był coraz większy. Wstał zrezygnowany. Schował obolałe ręce do kieszeni. Przytupywał. W ciemności, od czasu do czasu, zabrzączała puszcza, skrzypnął drut. I nic - cisza. Szelest śniegu. Nad drzewkami w sadzie przelatywał wiatr. Na brodzie i okularach osiadał śnieg. Postać chwilę i wrócił na drogę.

W niedzielę, pod wieczór, jeszcze raz poszedł do Piątków. Nad łąkami zachodziło czerwone słońce. Był mróz - wiało chłodem od zamarzniętej rzeki.

Lis krążył między drzewkami wlokąc druciany kłęb. Miłanowiczowi zdawało się, że widzi z góry czerwony odbłask na blaszanej puszcze. Wyżłobiony ślad wydawał się ciemniejszy, jakby głębiej wryty w śniegu. Ciemniało. Dzieci nie było ani małego psa. Pusta droga.

Piątek spał w izbie za kuchnią - jego żona uchyliła drzwi, żeby nauczyciel mógł przekonać się na własne oczy: - Wrócił w południe pijany, panie magistrze. Od 'ego czasu śpi.

Słyszeli w kuchni chrapanie.

- Pani Piątkowa, niech pani namówi męża, po co ma męczyć zwierzę. Lepiej zabić.

192

ff

- Znowu o tego lisa przyszedł? Myślałam, że zapomniał.

Miłanowicz usiadł pod ścianą. Piątkowa stała przy piecu. - To zbój, zbój! Takiego zwierzęcia nie żal. Pan go żałuje?

Nie odpowiedział.

Patrzyła na niego chwilę, ręce trzymała splecione na wielkim brzuchu. Uśmiechnęła

się: - Zgoda, bierz, magistrze, siekiere. Mój śpi, nie będzie wiedział. Powiem, że zdechł, kiedy on pił!

Poszła w stronę drzwi. - Niech pan idzie. Tu w sionce stoi.

Miłanowicz siedział bez ruchu. Piątkowa obejrzała się w drzwiach: -Panie magistrze, niech pan idzie!

Wtedy uderzył pięścią w kolano i wstał. W ciemnej sionce wziął od gospodyni siekiere. Otworzyła drzwi na ganek. Pies przed domem zaszczekał. Poszli naokoło stodoły do sadu. Idąc ścisnął zimne drzewce. Może myślał, jak uderzyć: w głowę, w grzbiet? Obuchem, ostrzem?

Znow usłyszał głos Piątkowej: - Nie trzeba, magistrze. Niech pan spojrz!

Lis leżał w bruździe. Nosem zarył w ponowę. Leżał na boku, na zmiażdżonej stronie pyska. Zdrowe oko patrzyło nieruchomo na ciemne drzewa w sadzie. Tuż za nim kłęb kolczastego drutu z puszką po konserwie. Plamki zakrzepłej krwi na rudym futrze wydawały się czarne.

Drogą, w stronę mostu, przejechał samochód. Zapachniało spalinami.

Piątkowa zaczęła się śmiać: - Co tak nad nim stoi? Modlitwę odmawia?

Wtedy rzucił siekiere i odszedł bez słowa.

- Panie magistrze - zawołała - będzie kołnierzyk!

Nauczyciel nie obejrzał się. Potykając się i zapadając w śniegu wchodził na skarpe. Na drodze stanął i spojrzał w dół. Piątkowa odchodziła z siekiere. Lis leżał w bruździe - ruda plama pod jabłonkami. Od rzeki powiało i biały tuman zakreślił się naokoło magistra Miłanowicza. Sypnęło po okularach i obraz w dole znikł.

1981

Drugie wrota w las

Rano poszli zwiedzać miasto. Nadzieja zwlókl się z hotelowego łóżka i poszedł z nimi, nie ogolony i niewyspany, pociągając od czasu do czasu z płaskiej piersiówki ze srebrną nakrętką. Była niedziela. Radzieccy projektanci spali po przepitej nocy. Poszli pod murami kremla nad Dniepr - tam usiedli na ławce. Patrzyli na ogromną przestrzeń za rzeką. Linia horyzontu zacierała się we mgle. Gołębowicz opowiadał, że nad rzeką krążyło dużo białych ptaków - słyszeli daleki skwir. Nad nimi błyszczwały złote kopuły cerkwi Matki Bożej, w której popi przechowywali podobno glejt z podpisem Lenina. W czasie rewolucji chronił cerkiew przed spalaniem, a później przed zamianą na magazyn pasz. Niżej stał pomnik Kutuzowa.

Mówił, że było ich trzech: on sam, Gołębowicz, lat dwadzieścia dziewięć, absolwent Wydziału Budownictwa Przemysłowego PW (od dwóch lat na budowie w Związku Radzieckim); zastępca kierownika bazy magister inżynier Dąbrowski - tłusty czterdziestolatek z brzuchem, który wypadł ze spodni; oraz technik Nadzieja - operator ciężkiego sprzętu, lat pięćdziesiąt parę. Mówili, że powstaniec warszawski. Do miasta przyjechali z ekipą radzieckich projektantów (w sprawie nowego odcinka rurociągu).

Gołębowicz robił zdjęcia aparatem „zenit”. Siedzieli na zielonej ławce. Upał był coraz większy. Nadzieja ścierał pot z twarzy i karku, pluł na ścieżkę, kaszłał. Łyk po łyku opróżniał piersiówkę.

- Dałbyś pan trochę - mówił Dąbrowski. - Sam ciągnie jabłecz-nyj napitok, a kolegom zasycha w gardle.

- Jaki tam napitek! - kaszlał Nadzieja. Zalaływało wódką. Gołębowicz opowiadał, że to Nadzieja zapytał: - A może tak pojechać do nich?

- Do kogo, panie Janku?

194

- Oni tu leżą niedaleko. W lasku, wiecie jakim. Wtedy zamilkli. Słyszeli tylko skwir ptaków krążących nad Dniep-. Patrzyli w jasnoblękitną dal za miastem. Wiał ciepły wiatr. I znów jdezwał się Nadzieja: - Kwiaty zawieziemy. Zmówimy pacierz. Gołębowicz mówił, że kiedy szli ulicami w stronę mostu, wiatr pędził tumany kurzu. Na moście pachniało rzeką. Gdzieś z łoskotem przejeżdżały pociągi. Dworzec autobusowy był po tamtej stronie Dniepru. Minęli pawilon meblowy z pustymi witrynami, dalej był nieczynny dom towarowy i kołchoźniczy rynek. W hali targowej kupili kwiaty: czerwone i białe mieczyki. Nadzieja wytargował dwie butelki po mleku od kołchoźnicy kwiaciarki. Owinęli mieczyki w „Prawdę”, „Prawdę” w marynarki. Gołębowicz schował w kwiatkach aparat.

Dąbrowski rozglądał się niespokojnie, kiedy kupowali bilety. Przedtem patrzył za siebie idąc przez most. Sapał - męczył się łatwo - brzuch przeszkadzał w marszu. - Panowie, z nimi nie ma żartów! - ostrzegał kilka razy.

- Nu czto, w les na progulku nie rozrieszajetsia? - mrużył oko Nadzieja.

Autobus linii sto jeden - przez Gniezdowo i Kozi Góry - odjeżdżał dwunasta piętnaście. Poszli na ostatnie stanowisko i czekali w tłumie kołchoźników wracających z miasta. Gołębowicz twierdził, że wyglądali obco. Może jeden Nadzieja - z piersiówką sterczącą w kieszeni i butelkami po mleku - wyglądał zwyczajnie? Przestali rozmawiać.

Tu Gołębowicz opowiedział o starej kołchoźnicy - babce w dziurawej chuście, która boso wędrowała drogą. Stanęli przy niej, żeby zapytać, jak jechać (zapędzili się w bok od szosy). A ona, kiedy zauważyła obcy wóz z polską rejestracją, pośpiesznie, śliniąc kopiowy ołówek, który wysuwała z kieszeni spódnicy, zapisała na dłoni numery.

- Po co jej nasze numery? - zapytał, kiedy pojechali dalej (było to w pierwszych dniach pracy na budowie). Rosjanie milczeli, tylko Nadzieja wyjaśnił krótko: - Żeby donieść, jasne.

Odetchnęli, kiedy ikarus podjechał na stanowisko. Ludzie zaczęli tłoczyć się przy drzwiach. Wsiadli na końcu.

W środku cuchnęło potem, smarami i pachniało świeżo upieczonym chlebem (pewno ktoś wiózł w torbie kilka bochenków). Kiedy wyjechali za miasto, zakołysało na nierównej drodze. Za oknami widzieli ugory

195

lub pola, na których żyta stały w ostach. Milczeli przez cały czas. Chcieli wysiąść w Gniezdowie i pójść trasą czarnych wron z oknami zamazanymi wapnem. Taki spacer zaproponował Nadzieja: - To niedaleko, dwa, trzy kilometry.

Gołębowicz opowiadał, że już zaczęli się niepokoić: nie było Gniezdowa. Autobus stawał, ruszał - ludzie wysiadali i wsiadali, a oni byli coraz bardziej niespokojni.

Mówił, że zapytał półgłosem starą kobietę, nad którą stali: - Izwienitie, mamasza, Gniezdowo daleko?

A wtedy ta skulona stara, od której zalaływało czosnkiem, pilnująca jak kwoka

swoich biednych tobołków (przeszkadzały swobodnie stać), bezzębna, w czarnej chustce, jak kropla krwi w środku szarego tłumu, uniosła pomarszczoną twarz i śmiejąc się głośno (zwracając śmiechem uwagę pasażerów), odpowiedziała:

- Nie bezpokojcieś, rebiata, nie bezpokojcieś! Kak nada wychodit', ja wam skażu!

- A wy, rebiata, kuda? - zapytał mężczyzna w kolejarskiej kurtce (stał wciśnięty między Nadzieję i brzuch Dąbrowskiego).

Ale oni milczeli, pochyleni, patrząc w okna, choć ten człowiek spytał jeszcze dwa lub trzy razy: - A wy, rebiata, kuda?

- I tak - opowiadał Gołębowicz - w tłoku, z mieczykami w marynarkach, podzwaniając butelkami, doczekaliśmy chwili, kiedy stara tak samo głośno zaczęła powtarzać: - Wot i astanowka Gniezdowo! Wam nada wychodit'. Wot i astanowka Gniezdowo!

I w Gniezdowie wiatr bił kurzem po twarzach. Szukali staq'i kolejowej i bocznicy, na której stawiano wagony. Placu, którego pilnowali funkcjonariusze w czapkach z błękitnymi otokami. Zapewne niewiele zostało z tamtych dni. Tak samo szyny świeciły w słońcu. Wzdłuż nasypu rosły chwasty, kury uciekały spod nóg. Pachniało smołą.

Przeszli po niewielkim moście nad strumieniem. Za przejazdem, po lewej stronie były zakłady produkcji keramzytu. Po prawej stronie, na wzgórzu, stały nie otynkowane bloki. Podchodzili do wiaduktu nad drogą w kierunku Witebska. W lewo szła szosa na Briańsk.

Dąbrowski mówił co pewien czas: - Zwiną nas za chwilę, zobaczycie. Nawet okiem pan nie mrugnie, panie Janku! - Szedł sapiąc, z wypiętym brzuchem. „Sfj

- Nie bezpokojcieś, nie bezpokojcieś! - powtarzał Nadzieja. »,

196

Gołębowicz mówił, że szli pod wiatr, a mimo to lekko było iść. Nieśli kupione na kołchoźniczym rynku mieczyki - wiatr rozwiewał płachty „Prawdy" i kwiaty wyglądały ze środka. Gołębowicz opowiadał, że idąc myślał, czy któryś z tamtych - przez rysę na szybie zamazanej wapnem lub przez mały odprysk - widział pola i łąki? Jak wyglądali ci ludzie w polskich mundurach? Zieleń była świeża, na łąkach stały w wodzie kaczeńce. Ten sam wiatr wiał od Dniepru.

Ciężkie ziły przejeżdżając wzniecały kurz. Trzeba było uciekać za rowy. Dąbrowski chciał wracać, kiedy zobaczyli między filarami wiaduktu posterunek GAJ-a - milicji drogowej. Dawał głowę, że ich widzieli. Zatrzymał się za kępą drzew (chyba topoli lub brzóz).

- Po co ryzykować? Deportacja murowana. Bez zezwolenia, poza strefą pobytu!

- Nu czto, w les na progulku nie rozrieszajetsia?-mrugnął Nadzieja.

- Coś pan, dziecko? - Gołębowicz mówił, że Dąbrowski tylko pot [ścierał z twarzy.

Wcisnął przepoconą koszulę do spodni. Zaproponował, f żeby głosowali.

Gołębowicz był zdecydowany iść, nawet gdyby tamci cofnęli się. I Ale Nadzieja uprzedził go: - Niech pan wraca sam, inżynierze. - Po-| wiedział jeszcze o bracie matki, który tam może leżeć. Dlatego musi (pójść. - Major Dąbrowski to pana krewny? - spytał.

Magister inżynier nie wiedział. - Mało to Dąbrowskich?

Po tej rozmowie postali jeszcze chwilę, a potem, jakby jej nie jbyło - poszli dalej.

Skęcili na Briańsk, później na polną ścieżkę. Prowadziła pod górę. iChcieli obejść łukiem posterunek GAJ-a. Gdzieś wyżej technik zaproponował, żeby pójść w stronę Dniepru.

- Brzegiem dojdziemy do dachy. Znajdziemy choć fundamenty, fcegły, gruz. Oni rozstrzelowali obok.

Gołębowicz mówił, że weszli na moczary, w grzęzawiska porośnięte iwysokimi trawami. Droga na Witebsk i linia lasu, do którego chcieli |dojść - zaczęły się oddalać. Przed nimi otworzyła się przestrzeń za eką - siwa dał. Obłoki, ptaki. Musieli zawrócić.

To wtedy, idąc na przełaj przez pola, trafili na żwirowisko, przy którym dwóch młodych robotników stało koło ciężarówki - ziła 555. Ie mogli się cofnąć - nie było dokąd.

- Zdrastwujcie!

197

- Zdrastwujcie!

Podali sobie ręce. Nadzieja podsunął paczkę papierosów: - Po-próbujecie nasze cigarety? Kakuoj wkuś...

Wzięli chętnie. Zapalili odwracając twarze od wiatru (zapalki gasły, przypalali papierosa od papierosa). Później spytali: - A wy otkuda?

- Iz Polski.

- Polaki! - uśmiechnęli się przyjaźnie. Gołębowicz mówił, że mieli błękitne oczy.

Niedbale ubrani (stare koszule z podwiniętymi rękawami, lepkie od smarów spodnie), stali obok ziła nad żwirowiskiem. W głębokim dole świeciły kałuże wody. Wiatr rozwiewał dym papierosów.

Nadzieja zapytał: - Wy znajecie, gdzie w lesu kładbiszczce polskich oficerów?

- Da, da, my znam - odpowiedzieli zgodnie. A potem wyższy, wskazując drogę i skraj lasu: - Idicie přímo dorogoj. I budut pierwyje worota w les i drugije worota w les. Warn nada w drugije.

Tak było, mówił Gołębowicz. Poszli przez pola do traktu na Witebsk. Później poboczem drogi. Brzęczało w telegraficznych drutach. Na skraju lasu zapachniało igłami. Las był ogrodzony płotem. Płot stał od strony pola i ciągnął się wzdłuż szosy. Zielone sztachety na podmurówce przedzielono betonowymi słupkami. I były dwie bramy: pierwsza, którą minęli, i druga, uchylona, z dużym znakiem zakazu wjazdu. Gołębowicz opowiadał, że wyglądało na teren wojskowy. Spodziewał się, że zaraz zobaczą tablice zabraniające wstępu lub żołnierza z karabinem Kałasznikowa. Ale nikogo nie było. Przez uchylone wrota weszli między młode sosny rosnące po dwóch stronach asfaltowej ścieżki. Obok przystanku Kozi Góry.

Minęli przybite do drzew tablice; „Zakaźnik! Spór cwiętow strogo zaprięchen!” Dalej był zakaz rozpalania ognisk. Mówił, że zapamiętał ciszę. Nie było ptaków. Drzewa stały bez ruchu, jakby wiatr tamtędy nie wiał. Kiedy odchodzili od szosy asfaltową ścieżką, zdawało się, że im dalej idą, tym większa cisza.

Przeszli dwieście, może trzysta metrów i zobaczyli w dole płytę z czerwonego kamienia. Leżała między drzewami, naokoło rosły kwiaty. W dół prowadziły kamienne stopnie, dalej ułożono chodnik z szarych płytek. Po dwóch stronach uformowano symboliczne mogiły, na których także rosły kwiaty. Były to begonie.

Schodzili powoli po stopniach.

198

Za płytą, na tle lasu, widać było biały mur przedzielony kratą. Nieduże czarne tablice z napisami przystawały do kraty. Stanęli na chwilę.

Nadzieja podszedł pierwszy, za nim Dąbrowski, Gołębowicz na końcu. I znów stanęli. Potem uklękli na szarych płytkach. Gołębowicz mówił, że klęczeli przez kilka minut. Słyszał tylko bicie serca.

Na czarnych tablicach były napisy. Z lewej wyryto po rosyjsku: „Ziertwom faszizma - polskim oficerom rozstrielanym gitlerowcami w 1941 godu”. Po prawej po polsku: „Ofiarom faszyzmu - oficerzom polskim rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku”.

- Oficerzom - powtórzył Nadzieja.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym - powiedział Dąbrowski.

To wszystko. Cztery młode sosny rosły blisko białego muru zasłaniając niektóre słowa. Nadzieja podniósł się pierwszy. Powiesili marynarki na gałęziach i zaczęli chodzić między drzewami. Gołębowicz robił zdjęcia. Zmiótł chustką igły z czerwonej płyty. Zastanawiali się, gdzie nabrać wody do butelek.

- Może pójść do Dniepru? - spytał operator.

- Nie bądź pan dzieckiem! - sapnął Dąbrowski.

Gołębowicz mówił, że nagle poczuł znużenie. Odszedł na bok i usiadł pod sosną. - Ta cisza, ta cisza - powiedział. Bezwiednie spojrzął za białym motylem, który przeleciał obok, omijając pnie, i zobaczył chłopca. Stał nad dużą czubajką-kanią (rosła pod drzewem). W nogach postawił koszyk z grzybami. Patrzył na inżyniera.

- Zdrastwuj, malczik - powiedział Gołębowicz. Podniósł aparat i zrobił zdjęcie. Mały wyglądał na dwanaście lat. Na bosych nogach miał męskie gumki. Uszy odstające i niebieskie oczy.

- Zdrastwujcie. - Głos miał cienki (chyba zaczynał mutację).

- Nu, czto, mnogo gribow sobrał?

Chłopiec zbliżył się człapiąc kaloszami i pokazał koszyk pełen eurek i maślaków.

Czubajka-kania leżała na wierzchu. Kucnął obok inżyniera.

- Malczik - mówił o nim Gołębowicz (imienia nie zapamiętał). Mieszkał w Gniezdowie. Ojciec pracował w zakładach produkji keram-ytu.

Podeszli Nadzieja z Dąbrowskim. Operator pogładził chłopca po głowie. Magister inżynier pochylił się i strącił palcem czubajkę-kanię (spadła na mech - nóżka odleciała od kapelusza).

199

- Wot ty, Wasia, za gribami zdieś priszoł, a znajesz, pocziemu my prijechali?

- Wy Polaki. Wy priwiezli cwiety polskim oficerom - odpowiedział cienkim głosem mały. Uniósł głowę.

- A znajesz, kto ich ubił?

- Faszisty.

- Niet - powiedział Dąbrowski. Stał nad chłopcem sapiąc i wypinając brzuch.

- Da, da, faszisty!

- Niet!

- Dajże pan spokój - odezwał się Nadzieja - z dzieckiem chcesz dyskutować?

Gołębowicz opowiadał, że Dąbrowski podniósł głos: - A niech wie, niech opowiada w szkole! Jak im ręce wiązali drutem, strzelali w kark i kopali w plecy. Jego bracia! Tam ma być czterdziesty rok, rozumiesz?

Malczik patrzył na Dąbrowskiego niebieskimi oczami. Chyba nie zrozumiał. Znow przeleciał biały motyl omijając pnie.

- Dajże pan spokój - powtórzył Nadzieja. Poklepał małego po ramieniu: - Niczewo, niczewo.

Gołębowicz chciał rozładować sytuację, zapytał, co z wodą? - Kwiaty zaraz zwiędną. Za duży upał.

Mały zrozumiał. Podniósł się z kucek. - Woda tam! Niedaleko.

Poszli na asfaltową ścieżkę (magister inżynier kilka kroków z tyłu). Nadzieja zabrał po drodze butelki. Chłopiec człapał kaloszami po asfalcie. Gołębowicz mówił, że za drugim zakrętem wyszli na bajorko - czarne oko. Korony sosen odbijały się w wodzie, jak w ciemnej szybie. Malczik zsunął się ze skarpy razem z lawiną piasku.

Wyciągnął rękę po butelkę - nabrał do jednej, potem do drugiej i podał Nadziei. Stali chwilę patrząc na nieruchomą wodę. Zapachniało bagnem.

Operator zaproponował, żeby pójść kawałek dalej: - Może daczę znajdziemy?

- Coś pan tej daczy się uczeplił? - fuknął Dąbrowski, ale poszedł za nimi.

Malczik nie zdążył wygramolić się po stromej skarpie (ciężkie kalosze przeszkadzały). Kiedy wyszedł na brzeg, zawołał: - Tam nie-Izia! Nie rozrieszajetsia! Gołębowicz opowiadał, że biegł chwilę człapiąc kaloszami. Później stanął i patrzył, jak odchodzili. Mówił, że niedaleko zaszli: za następ-

200

oym zakrętem była tablica przybita do sosny: „Wchód zapieczen”. Dalej był ten sam las, pusto - ścieżka nikła między drzewami. Nie chcieli ryzykować. Zawrócili.

Malczik czekał koło czerwonej płyty. Przyglądał się, jak układali bukiety z biało-czerwonych mieczyków i ustawiali w butelkach. Na płatkach kwiatów zaszklity się krople wody z bajora. Jeden z bukietów postawili pod tablicą z polskim napisem, drugi na czerwonej płycie.

Potem stali w milczeniu.

Mały podszedł do Gołębowicza. Pociągnął za rękaw: - Ja eto naszoł w lesu! - Na małej dłoni leżał guzik z orłem w koronie. Gołębowicz opowiadał, że błysnął w słońcu. Wziął go i chwilę oglądał obracając w palcach. Wewnątrz wypukłości widoczne były plamki rdzy, także metalowa wypustka była zardzewiała, ale orzełek błyszczał, jakby guzik przed chwilą oderwano z munduru. Podał Nadziei.

- Za żuwaczku otdasz? - spytał operator. Zaczął przeszukiwać kieszenie.

Malczik potrząsnął głową. - Niet. - Wyciągnął rękę.

Nadzieja oddał guzik. Patrzyli, jak owijał w kawałek bibułki.

Gołębowicz mówił, że stali jeszcze nad czerwoną płytą, kiedy usłyszeli warkot.

Niespodziewanie przejechały asfaltową ścieżką dwa wozy: ziguli 2103, a za nią mikrobus riga. Wyłoniły się zza sosen, minęły ich i znikły wśród drzew, tam gdzie była tablica „Wchód zapieczen”. Gołębowicz twierdził, że w obu siedzieli radzieccy oficerowie w okrągłych czapkach z czarnymi otokami. Patrzyli na nich, ale samochody nie zatrzymały się. Kiedy znikły, Dąbrowski, trzęsąc brzuchem, podbiegł do sosny, na której powiesił marynarkę.

- Już pan wiesz, panie Janku, gdzie jest dacza.

Nadzieja poprawił kwiaty w butelkach. Gołębowicz owinął aparat w marynarkę. Mały podniósł koszyk z grzybami. Weszli po schodach na altową ścieżkę i poszli w kierunku drogi.

r:

Na przystanku Kozi Góry czekali piętnaście minut. Chłopiec nie odchodził.

Rozmawiał z Nadzieją. Stali naprzeciw tej drugiej bramy, obok słupa z rozkładem jazdy. Brzęczało w telegraficznych drutach. Gołębowiczowi zdawało się, że mały spytał:

201

- Pociemu wasz drug skazał, czto nie faszisty? iv:

Nie dosłyszał odpowiedzi Nadziei (później zapomniał zapytać).

Kiedy autobus zbliżał się do przystanku, zjechał na pobocze i wszystko znikło w kurzu: szara chmura przykryła tablicę „Kozi Góry”, bramę, znak zakazu wjazdu, zielony płot, Nadzieję i Dąbrowskiego. Operator mówił jeszcze do małego - chyba „nie bojsia, pomni...”} Gołębowicz źle słyszał. Malczik chciał żegnać się z nimi - zdaje się, że biegł z wyciągniętą ręką, ale grzyby posypały się z kosza. Kucnął, żeby je pozbiierać, a oni wsiedli do zatłoczonego autobusu Gniezdowo - Ka-tyń - Smoleńsk, w zaduch i ścisk. i-

Gołębowicz mówił, że od razu stracili małego z oczu. .41.,

1981 - 1982

,tk;

4i.

L)Vf

Stań pod murem

Za rogiem Krakowskiego natknęli się na patrol.

- Dokumenty!

Studenci - dziewczyna w wełnianej czapeczce z pomponikiem i chłopak w zielonej kurtce - stanęli naprzeciwko żołnierzy z automatycznymi pistoletami o rozkładanych kolbach. Był to jeden z krążących po ulicach patroli. Żołnierze mieli czapki uszanki i gumki podobne do rosyjskich walonek. Wydawali się zmarznięci. Dowódca patrolu wyróżniał się wzrostem. Dwóch żołnierzy za nim było niskich. Jednemu czapka zasłaniała czoło spadając na oczy. Drugi żuł kawałek chleba z kromki, którą chował w kieszeni.

Dowódca - bladooki, z sinymi od mrozu rękami - zaczął oglądać dowody osobiste.

Dziewczyna uśmiechała się. Chłopak, w kurtce podobnej do żołnierskich, przestępował z nogi na nogę. Był bez czapki. Ludzie k przechodzili obok obojętnie. Po drugiej stronie jezdni, pod pomnikiem astronoma, kilku żołnierzy stało naokoło koksowego piecyka.

- Czy okazać akt urodzenia? - spytała dziewczyna. Chłopak roze-liał się, ale żołnierze milczeli.

- Tylko bez wygłupów, dobrze? - ostrzegł bladooki.

- Ty, Stasiek - powiedział do niego żołnierz w czapce spadającej la oczy - pójdziem się ogrzać. - Nie czekając na zgodę odszedł stronę koksownika. Ten, który żuł chleb, poszedł za nim.

- Co jest w tej torbie? - zapytał wysoki z sinymi rękami. Chłopak miał przewieszoną przez ramię lekką torbę na parczanym f pasku.

Bładooki zwrócił dowody i dotknął sinym palcem płóciennej kła-|y. - Co jest w tej torbie?

- Szukaj - powiedział student odwracając się bokiem.

203

Bładooki zgrabiętymi palcami odpiął metalowe guziki i wsunął rękę do torby. Wyjął włóczkową czapkę, podobną do tej, jaką miała na głowie dziewczyna, dwie złożone kromki chleba, owinięte w zielone serwetki, pęk kluczy. Kładł przedmioty na przedramieniu wolnej ręki i dalej grzebał w torbie. Była tam jeszcze stara gazeta, dwa zeszyty i maskotka - pluszowy niedźwiadek. Z dna wyjął złożony papier. Trzymając ręce oparte o automat na pasie, wrzucił wyjęte przedmioty z powrotem. Potem zaczął niezdarnie rozkładać kartkę papieru.

- Panie dowódco - odezwała się dziewczyna - my nie mamy za wiele czasu.

Bładooki nie zwracał uwagi. Powoli, poruszając wargami, odczytał fragment maszynopisu: „Protestujemy przeciwko brutalnemu łamaniu strajków robotniczych przez ZOMO, przeciwko internowaniu tysięcy ludzi, gwałceniu praw ludzkich. Apelujemy do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o energiczne działanie w celu zniesienia stanu wojennego w naszym kraju”.

Pod tekstem były podpisy: Jan Meleszka - student, Marek Nowa-cki - student, Ewa Kwiatek - studentka. I tak dalej. Dwadzieścia podpisów.

- Ulotka? - zapytał bładooki.

- Jaka tam ulotka - zaczęła mówić dziewczyna - to nasz protest. Każdy ma prawo nie zgadzać się z „wroną”. Ty musisz, bo jesteś na służbie, ale my nie musimy. Można myśleć i mówić, co się chce. Tak jest napisane w prawach człowieka.

- Ale nie można rozpowszechniać - oświadczył wysoki żołnierz. Spojrzał z góry na dziewczynę.

- Coś ty taki gorliwy? - zdenerwował się chłopak. - Oddaj! - Wyciągnął rękę.

- Nie tak prędko, cwaniaku!

- Oddaj!

- Oddać to wiesz! - Bładooki machnął kartką. Zgiął rękę w łokciu.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem student sięgnął po papier i wyrwał ze zgrabiętych palców żołnierza. Schował do torby. Dziewczyna zaczęła odchodzić. Chł-pak nie zdążył.

- Stój! - krzyknął bładooki. Cofnął się na sztywnych nogach i stając w rozkroku odbezpieczył broń. Szczęknął zamek automatycznego pistoletu. - Pod mur!

204

Żołnierze koło piecyka odwrócili głowy. Wysoki zamachał do [nich: - Chodźcie tu! - trzymał lufę automatu skierowaną na studenta.

- Puść go! - krzyknęła dziewczyna w czapce z pomponikiem. Za-zymała się po kilku krokach i przycisnęła dłonie do policzków.

- Człowieku, opamiętaj się - powiedział chłopak. Jeszcze stał 'miejscu. Torba zsunęła się z ramienia i zawisła na przegubie dłoni.

Dwaj żołnierze z patrolu podeszli i stanęli obok. Ten w czapce "spadającej na oczy powiedział do bładookiego: - Nie rób hecy, Stasiu. - Tamten nie dosłyszał. Po jezdni z

hukiem przejechał autobus.

- Rzuć torbę! - krzyczał bladooki. - Ręce do góry! Twarzą do ściany!

Patrzył nad głową chłopaka w mur narożnej kamienicy. Trzęsły mu się wargi. Student upuścił torbę na chodnik. Potem odwrócił się i podszedł do ściany. Powoli uniósł ręce. Poczuł pod palcami szorstką powierzchnię.

- Weź torbę - powiedział bladooki do niskiego żołnierza.

Tamten schylił się i ostrożnie ujął za parciany pasek. Powiesił torbę na ramieniu.

Trzeci z żołnierzy żuł chleb i nic nie mówił.

Ludzie zatrzymywali się, żeby popatrzeć. Dziewczyna we włóczkowej czapce podbiegła do bladookiego: - Co wy robicie? Jak wam nie wstyd?

- Panienko - powiedział żołnierz w uszance spadającej na oczy - to jest wojna.

Starszy człowiek z laską krzyknął do żołnierzy: - To wasz brat!

Nie obejrzel się. - Idziem! - rozkazał wysoki. - Na komendę. - Zbliżył się i trącił chłopca lufą: - Tylko nie próbuj uciekać, cwaniaku. Możesz opuścić ręce.

Poszli w kierunku placu Zamkowego. Trzej żołnierze z pistoletami gotowymi do strzału i chłopak z gołą głową. Szedł wyprostowany, ale dziewczyna w czapeczce z pomponikiem widziała, że jest blady i że drżą mu wargi.

- Trzymaj się, Janek! - zawołała.

Chłopak nie odpowiedział. Dziewczyna pobiegła za patrolem. Ludzie odwracali głowy. Przystawali, wrzuszali ramionami i szli dalej. Jechały autobusy i samochody. Na chodnikach leżały pryzmy śniegu. Wiał mroźny wiatr. Pod pomnikiem astronoma grzali się żołnierze. Tamci minęli Królewską i znikli w bramie Komendy Garnizonu.

205

W dwie godziny później cywil, który przesłuchiwał chłopca, powiedział uśmiechając się: - Będziesz sądzony w trybie doraźnym przez sąd wojskowy. Wniesiemy oskarżenie z artykułu czterdzieści sześć ustęp dwa i czterdzieści osiem ustęp dwa. Organizowanie protestów i rozpowszechnianie fałszywych wiadomości. Najmniej pięć lat. Masz pytania?

Chłopiec milczał. Patrzył w jasne okno za plecami funkcjonariusza. Cywil odczekał chwilę. Przed nim, na biurku, leżała parciana torba. Pluszowy niedźwiadek siedział oparty o zeszyty. Obok leżały klucze, włóczkowa czapka, kanapki owinięte w zielone bibułki i stara gazeta. Cywil uderzył dłonią w zmiętą kartkę papieru z tekstem protestu.

- Dowód jest, nie masz co podskakiwać. Chyba że podpiszesz to, co trzeba, i jazda do domu! Chłopiec milczał.

- Więc jak? - zapytał jeszcze raz uśmiechnięty cywil, ale chłopak patrzył w okno za jego plecami i milczał.

Luty, 1982 ;«-

Nie przechodź na czerwonym

Starszy palacz zmianowy Czesław Kloc - siedemdziesiąt lat, czerst-[wy, o rumianej twarzy - oraz jego zmiennik Kropiwnicki Józef - chu-fdy czterdziestolatek - siedzą i czekają na Jalochę. W kotłowni osied-jwej gorąco, temperatura około trzydziestu stopni. Palacze dorzucają czasu do czasu koksu, sprawdzają manometry i rozmawiają o wojnie, okienkami - grudzień. Kloc wyjaśnia Kropiwnickiemu, co to znaczy F„stan wojenny".

- Strajki, Józiu, strajki! Czy tak miało być? Kto szanuje robotę, nie [.strajkował, a inni doczekali się. Generał uderzył pięścią w stół: doi syć! - I Kloc sam bije pięścią o kolano. - Musi być porządek, inaczej w diabły pierony to wszystko pójdzie! Czy nie jest tak? - patrzy na siedzącego obok Kropiwnickiego.

Józek popija kawę ze starego termosu i bełkotliwie przytakuje. Jakby się zgadzał i nie zgadzał jednocześnie.

- Czy nie mam racji?

Jest dwudziesta trzecia zero pięć. Jałocha spóźnia się. Kloc przypomina sobie o godzinie policyjnej i klnie głośno. Ciężko wracać przez miasto, kiedy co parę kroków kontrolują. Wprawdzie palacze mają przepustki wystawione przez komisariat na Barskiej, ale puste miasto sprawia przykre wrażenie: przypominają się czasy za Niemca.

Kropiwnicki gulgocze, powieki opadają - senność, żar bucha z pieców. Mija czas. Nareszcie wpada Jałocha - zdyszany, blady, bez czapki. Żelazne dizwi z hukiem biją o ścianę. Kloc i Kropiwnicki zrywają się z ławeczki. Jałocha zamyka drzwi i biegnie pod stertę koksu. Rzuca na beton hydrauliczną torbę, z którą nie rozstaje się nigdy.

- Co jest, Janek? - woła Kloc.

207

Jałocha, ciężko dysząc, pada na kolana i rozgarnia koks. Wygrzebuje pośpiesznie dziurę. Potem wyciąga z hydraulicznej torby dwie półlitrowki samogonu (pewno tego, który pędzą na działce szwagra) i zagrzebuje byle jak, aż koks dzwoni o szkło.

- Co jest, Janek? - powtarza pytanie Kloc.

- Gonia mnie - mówi Jałocha. Krztusi się, kaszle i ciężko dyszy. Klęczy przed stertą koksu.

- Kto goni? -

- Milicja.

- Coś przeskrobał?

Jałocha nie może złapać tchu. Podnosi się z klęczek, kiedy słyhać na schodach łoskot. Idą. Idzie kilku i zaraz wałą do drzwi. Kopia. Słyhać głosy: - Tutaj, tutaj! Żelazne drzwi po raz drugi biją o ścianę ciężko, aż drży fundament. Wtacza się trzech. Czwarty, z automatem do strzału, zostaje na progu. Ci trzej od razu z krzykiem: - Który uciekał?

Orzełki bez tarczy na czapach i mundury ciemniejsze - ZOMO. Zaczynają biegać od ściany do ściany - zaglądają w kąty, pod piece, za koks. W tunele zsypów. Chodzą między palaczami z pistoletami o kolbach z żelaznych prętów, białe pałki na brzuchach. Zdyszani (nieźle ich Jałocha przegonił!).

- Który uciekał?

Palacze milczą. Kloc z Kropiwnickim stoją nad ławką - Kropiwnicki ścisną termos z nie dopitą kawą. Pot ścieka po twarzach. Jałocha, blady, nad kupą koksu. Tamci stają przy nim.

- Tyś uciekał? - krzyczy najniższy. Ten na progu składa się z PM-u.

- Panie władzo - słyhać głos Jałochy - nie ruszałem się z miejsca. Jak Boga szczerze kocham!

- Tyś uciekał! — krzyczy mały zomowiec i lufą ciśnie Jałochę w brzuch.

- Przyflekuj mu, Stasiu - radzi wysoki funkcjonariusz.

- Panowie - odzywa się starszy palacz Kloc - o co wam chodzi? Wykonujemy pracę zmianową, spełniamy obywatelski obowiązek.

Zomowcy jak na komendę odwracają się. Biegną do niego: - Tyś uciekał? - Niski jakby zeza dostał ze złości. Patrzy na ścianę za plecami palaczy. - No, który uciekał? Gadaj! - Lufę automatu pcha w brzuch Kłoca.

208

Stary palacz cofa się o krok - dalej jest ławka. Traci równowagę i siada na niej.

- Synkowie, spokojnie. My wszyscy Polacy...

Wysoki, z rudym zarostem na policzkach, ciągnie małego za rękaw:

- To ten! - trąca lufą Kropiwnickiego. - Ten!

Kropiwnicki zaczyna się jąkać: - Panowie, nigdy w życiu. Ja tu siedzę od rana. - Także cofa się o krok. Niski łokciem wybija żółty termos. Brzęk - termos toczy się po betonie. Rudy kopie kawałek szkła.

i - Gadać, gadać!

l - Synkowie - zaczyna znowu Kloc.

f Synkowie stoją nad palaczami (Kloc z Kropiwnickim siedzą na j ławeczce). Zalatuje wódką. Jakby wiało od nich: chłodem metalu, mrozem i czystą Trzeci, który został obok Jałochy, krzyczy nagle: - Stasiu, i to ten! Był bez czapki! Uszy ma czerwone!

l Niski z rudym biegną z powrotem. Chwyatają za pałki.

l - Panowie, nie bijcie! - Jałocha kuli się i cofa. Tamci idą za nim.

l - Gdzie torba? - krzyczy niski.

Jałocha pokazuje na kupę koksu. - Tam! Obok.

i Niski wraca - chwyta za pas. Idzie pod lampę i wysypuje na beton zawartość. Leci kilka śrub, nakrętki, papier ścierny, dwa kolanka od rur - głośno dzwonią (Jałocha pracuje po godzinach jako hydraulik).

- Gdzie ulotki? - odwraca się mały zomowiec. Kucnął nad torbą.

- Panie - mówi Janek - żadnych ulotek nie miałem.

- To po coś uciekał?

- Panie, gdzie mi tam w głowie ulotki!

- Bierzem go - mówi niski do rudego. Kiwa na Jałochę trójpal-czastą rękawicą. - Zbieraj!

Kloc i Kropiwnicki milczą. Jałocha klęka na betonie. Zbiera rozrzucone nakrętki, śruby, papier ścierny. Dwa kolanka. Wstaje ciężko.

- Synkowie, jak wy traktujecie prostego człowieka? - pyta starszy palacz Kloc. - Ja przeżyłem dwie wojny, walczyłem za Niemca...

- Co się nie podoba? - odwraca się mały zomowiec. | - Z człowiekiem tak nie można. l, - Amen - mówi mały zomowiec. I do Jałochy: - Idziemy!

- Ja z wami - decyduje się Kloc. Pośpiesznie nakłada ocieplaną kurtkę. Na głowę wciska czapkę podobną do uszanek milicjantów (służbowe sorty).

14 - Drugie wrota w las

209

- Jak pan chcesz - niski rusza w kierunku żelaznych drzwi. Miał węglowy chrząści pod butami.

- Ty, Józek, dorzuć parę łopat! - wydaje polecenie Kloc. - Zaraz wracamy.
Kropiwnicki podniósł przed chwilą rozbity termos. Szkło grzecho-cze w środku. Stoi przy ławce, obraca termos w palcach i milczy.

Przed blokiem czeka łazik-suka. Ze środka słychać głosy - gra radio. Kiedy rudy otwiera drzwi, widać czerwone punkciki papierosów. Zalatuje dymem i ciepłym zaduchem.

- Ty - zwraca się niski zomowiec do funkgonariusza w środku - wezwij oficera z placu. Mamy ptaszka.

Stoją obok łazika. Wieje mroźny wiatr. Płatki śniegu topnieją na policzkach, lecą do oczu. Niski z wysokim przytupują. Jałocha trzęsie się z zimna.

- Zapnij płaszcz, Jasiu - radzi Kloc, ale do Jałochy nic nie dociera. Dzwoni zębami. Dwóch z patrolu odchodzi: trzeci i ten, który ubezpieczał przy drzwiach. Niski postawił torbę na masce łazika. Ulica pusta. W blokach naokoło dużo ciemnych okien. Tramwaje i autobusy nie kursują. Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Wymarłe miasto.

Nagle zza węgła słychać krzyk: - Chodź tu, skurwysynie! Ja cię nauczę!
Zomowcy odwracają się jednocześnie. Widzą babę jak piec, w rozpiętym kożuchu, krępego mężczyznę i chłopaka z ogoloną głową. Mężczyzna z kobietą ciągną chłopca w kierunku suki. - Idziesz, idziesz?

Niski zainteresował się - rusza naprzeciw: - O co chodzi?

Tamci przywlekli chłopaka bliżej. Czternastolatek - nieduży, wątlý jak palacz Kropiwnicki. Dygoce z zimna i zdenerwowania.

- Co jest? - pyta niski.

Baba jak piec (Kloc zna ją z widzenia: mieszka w bloku nad kotłownią) krzyczy: - Panowie, zabierzcie chuligana! Przychodzi do mnie z propozycją „ja się z tobą prześpię!” Łobuz, uciekł z poprawczaka!

Chłopak usiłuje oswobodzić ręce: - Mówiłem „czy można się przespać u pani?”

- Ze mną chciał spać, drań! Ze mną!

210

Krępy mężczyzna szarpie małodatkę za ramię: - Mówiłeś tak? Mówiłeś? . ;f

- U pani.

- Z panią!

Wysoki i niski śmieją się. Niski mówi: - Weźmiemy, a jakże!

- Za co, panowie? Ja tutaj meldowany! - woła chłopak.

- Z poprawczaka uciekł, chuligan! - wykrzykuje kobieta.

- Mówiłeś tak? Mówiłeś? - Krępy mężczyzna popycha chłopca i w kierunku wozu.

- W celu wyjaśnienia - mówi niski zomowiec i kiwa rękawicą {o trzech palcach.

Kloc dostrzega pod okiem smarkacza niebieską kropkę. Z ogoloną [głową, w drelichowym ubraniu i za dużych butach, stoi przed niskim ^i dygoce.

- Panie władzuniu, ja u nich meldowany! To mój dom. Moja lodzina.

Niespodziewanie mały zomowiec gnie się w głębokim ukłonie. -fProsimy pięknie! -

Automat dynda na pasie. Dłoń w trójpalczastej [rękawicy wykonuje szeroki gest. I nagle, z tego pochylenia, jak kot \ skacze do przodu. Kloc z Jałochą nie widzą dobrze, gdzie bije pięścią (w l brzuch, w krocze?). Cios musi być silny, bo chłopak pada na chodnik. Słychać jęk i skowyt:

- Jezuniu!

- Masz parę, Stasiu! - mówi z podziwem rudzielec. Po chwili podnoszą chłopca za ręce i wloką do suki. Za duże buty szorują po chodniku. Widać gołe łydki.

- Otwierać! - woła niski. - Jest pacjent.

Kobieta w rozpiętym kożuchu i krepy mężczyzna odchodzą szybko. Jałochą przestępuje z nogi na nogę. - Mój Boże - mówi palacz zmianowy Kloc. - Mój Boże. Po dziesięciu minutach podjeżdża nyska. W środku przestronnie, pusto. Przez uchylone drzwi wygląda oficer. Okrągła czapka, krawat, na kołnierzyku srebrne naszywki. Tylko twarz wydaje się szara jak popiół. Pyta lak samo jak przed chwilą niski: - Co jest?

- Obywatelu poruczniku - recytuje mały zomowiec - ten z torbą przechodził na czerwonym świetle. Zatrzymywaliśmy głosem. Zaczął uciekać. Ujęty po krótkim pościgu. Mógł przynieść ulotki.

211

- Panie poruczniku - niespodziewanie wpada mu w słowa Czesław Kloc (podchodzi do nyski) - palacz zmianowy Jałocha Jan nie miał żadnych ulotek! Cechuje go obywatelska postawa oraz zrozumienie dla stanu wojennego. Jako spóźniony o pięć minut pracownik, nie zważając na światło przebiegł ulicę. To całe wykroczenie! - Kloc przerywa na chwilę, potem mówi dobitnie: - Przeżyłem dwie wojny, walczyłem za Niemca... - Zaczyna kasłać.

Porucznik z szarą twarzą patrzy na niego zdziwiony, jakby chciał zapytać: a ten skąd się urwał? Wyciąga rękę do Jałochy: - Dowód!

Przez uchylone drzwi pada światło na pryzmę śniegu obok koła nyski. Kloc stoi po kostki w śniegu, rękę położył na masce.

Jałocha wyciąga z wewnętrznej kieszeni płaszcza ceratowy portfel. Widać, jak trzęsącymi się palcami szuka w przegródkach dokumentu. W końcu podaje porucznikowi. Z wozu wieje ciepłem. Słychać radio z łazika obok.

- Nazwisko? - pyta porucznik.

- Jałocha. ń

- Imię.

- Jan.

- Urodzony?

Jałocha mówi: - Dwunasty, szósty, tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, w Grodzisku Mazowieckim.

- Imiona rodziców?

- Szymon i Rozalia.

• Ł8

- Miejsce zamieszkania?

- Ulica Wery Kostrzewy.

- Co jest w torbie? - pyta porucznik. \$ł|

Niski zomowiec kiwa na wysokiego: - Torba!

Rudy przynosi. Oficer zagląda do środka. Krzywiąc się wyjmuje kolanko, kilka śrub, papier ścierny. Wrzuca z powrotem do środka. Niski zabiera torbę.

- Zwolnić - mówi porucznik. Macha ręką. Nie pyta o nic więcej. Zatrzaszkuje drzwi.

Nyska odjeżdża znad pryzmy śniegu. Tylko Czesław Kloc kaszle chwilę.

Mały zomowiec rzuca hydrauliczną torbę pod nogi Jałochy (kolanka dzwonią w środku). - Masz szczęście! Gdyby trafiło na majora... - Chyba klnie, ale nie słycać słów.

212

j Jałocha podnosi torbę, z którą nie rozstaje się nigdy. Jednocześnie | z Klocem wracają na chodnik.

- Jedziem na Barską - mówi niski do rudzielca. Podchodzą do [łazika. Kiedy drzwi są otwarte, widać chłopaka z ogoloną głową (świat-|lo latarni oświetla wnętrze suki). Leży przyciskając twarz do stalowej [podłogi. Na ławeczkach nad nim siedzą funkcjonariusze w rozpiętych •kurtkach. Jarzą się punkciki papierosów. Niski z rudym wsiadają do l wozu. Automaty zarzucili na plecy. Palacze patrzają, jak łazik odjeżdża, [potem idą w kierunku bloku.

- Na drugi raz nie przechodź na czerwonym, Jasiu - pokasłuje f Czesław Kloc. - Władza tego nie lubi. Jałocha milczy.

- Nic się nie martw, chłopie - pociesza go stary palacz - samego-| nu nie wzięli! Jałocha pluje na chodnik. - Daj pan pokój, panie Czesławie. Same j suki na ulicach i te patrole, patrole! Czego oni chcą od ludzi?

Starszy palacz zmianowy Czesław Kloc nie odpowiada. Stają na [chwilę przed wejściem do kotłowni. Czerwone światełka radiowozu | gasną za rogiem. Naokoło ciemne okna bloków. Tylko wiatr hula nad miastem.

1982

Wszystkiego najlepszego

•i

r t-

Za Białą Piską jechali jakby przez czarny step. Koła monotonnie stukały na złączach szyn, wagonem kołysało - Miłanowicz słyszał trzaski, jęki, świst wiatru w szparach oszronionego okna. Siedział w pustym przedziale ostatniego wagonu, w swojej zielonej kurtce i wełnianej czapce naciągniętej na czoło i uszy. Dygotał z zimna. Grzejniki pod siedzeniami były ledwo ciepłe. Przyćmione światło pod sufitem gasło co pewien czas. Na korytarzu hulał wiatr.

Zdrzemnął się: śniło mu się, że są jeszcze święta Bożego Narodzenia i matka nakrywa do stołu wigilijnego. Zbudził go wrzask.

W otwartych drzwiach przedziału zobaczył dwóch wojskowych. Niższy, chwiejąc się, przytrzymał drzwi i mierzył w Miłanowicza z pistoletu. Wyższy wychylił się zza mniejszego i przekręcił kontakt nad drzwiami. W sinym świetle jarzeniowej lampy Miłanowicz zobaczył, że obaj są pijani. Niski - major, blondyn, podobny do znanego aktora - zakreślił w powietrzu kółko lufą pistoletu i trochę jękając się powiedział:

- A-ani słów-ka. Wstać! Miłanowicz posłusznie wstał.

- Na-na korytarz - zakomenderował niski. Cofnął się, aby zrobić przejście. Kiedy młody człowiek był w drzwiach, major powiedział: - Stanać przy ok-nie. Plecami. Przestraszony Miłanowicz wykonywał polecenia w milczeniu. Zobaczył, że na korytarzu stało już kilkanaście osób - białych i milczących, wszyscy wyrwani ze snu i wypędzeni z przedziałów.

Piętnastoletnia dziewczynka tuliła się do matki popłakując:

- Ci-cicho tam! - machną? pistoletem major. Wąsaty mężczyzna, zapewne stary

chłop, stał przytrzymując się chromowanej poręczy i patrzył skamieniałym wzrokiem na dwóch pija-

214

Inycji oficerów. Od tęgiej kobiety w różowym swetrze z puszystej wełny Ipowialo zapachem mocnych perfum. Dwie starsze pasażerki stały obok siebie trzymając oburącz torebki. Jedna była w czapce z lisa. Miłanowicz zobaczył jeszcze zarośniętego mężczyznę w starej ortalionowej kurtce, zbrązowiałym i świecącym kołnierzu, z widocznymi cerami na łokciach. Przygarbiony, zanosił się chrapliwym kaszlem.

Major podobny do aktora i kapitan - wysoki, w rozpiętej kurtce lundurowej i w czapce zsuniętej na tył głowy, także z pistoletem, którego kolbą łomotał w drzwi przedziałów - ruszyli dalej.

Za przedziałem Miłanowicza były jeszcze dwa - dalej już tylko jdrzwi na ostatni pomost, poruszające się w takt kołysania wagonu, jakby ktoś stał na pomoście i popychał z drugiej strony. Ale pomost był pusty, tylko światło czerwonych latarni na końcu pociągu rzucało słaby odbłask na ściany.

Stojąc plecami do okna, słuchając trzasków i jęków w wiązaniach, Miłanowicz miał wrażenie, że płyną statkiem przez wzburzone morze. Naokoło czarna noc.

- A-ani słów-ka! - słyszał komendy małego majora. - Wy-wyjdź. Plecami do okna.

Z sąsiedniego przedziału wyszły dwie dziewczyny w czerwonych kurtkach z kapturami. Obie rozespane i przestraszone. Za nimi stara kobieta w wełnianej chustce na ramionach. - Jezu, Jezu - mówiła zegnając się. - Czy panowie Niemce?

- Ani słówka! - komenderował aktor. - Albo rączka, nóżka, mózg na ścianie, babciu!

- Jezu, Jezu! - biadolila kobieta.

Ostatni przedział był pusty.

Major z kapitanem zawrócili. Idąc wzdłuż korytarza i przeciskając się obok stojących plecami do okien pasażerów, mały major szturchał pistoletem brzuchy i łokcie powtarzając: - Stać spo-okoynie, a-ani słówka!

Kiedy przechodzili obok, Miłanowicz zauważył białe plamki śliny w kącikach ust majora. Powiało czystą, tytoniem i słodkawym zapachem spoconego ciała. Widział, jak doszli do końca po drugiej stronie wagonu. W półmroku przygasających jarzeniówek nie było widać, kto tam stał. Miłanowicz domyślił się, że oficerowie wracają. Posuwali się wolno wydłuż przedziałów. Gasły i zapalały się światła. Mały aktor

215

wrzasnął w pewnej chwili: — Stać! Ko-komu pozwoliłem wcho-odzii do środka? Cze-czekać na koniec uroczystości!

Kiedy byli bliżej, Miłanowicz zorientował się, że składają noworoczne życzenia.

- Paniusiu - mówił major do kobiety w czapce z lisa - oby nam się dobrze żyło w tym no-nowym roku. I wam niech dobrze le-leci! Buzi! - objął kobietę.

Druga śmiała się: - Panowie, panowie, ale z was weseli ludzie!

Nastrój na korytarzu poprawił się. Pasażerowie szeptali i śmieli się.

- I wam, panowie, życzę zdrowia - mówiła paniusia. - I wam wszystkiego najlepszego, niech Pan Bóg błogosławi.

- Dziękujemy serdecznie, paniusiu.

Dalej stał kaszłący mężczyzna w ortalionowej, pocerowanej kurtce.

- Ty jesteś chyba gaz-majster, co-o? - zaśmiał się mały major. Pogroził pistoletem kaszłacemu. Mężczyzna milczał.

- Ale nie bój nic, gwardia się trzyma. Wiesz, jak jest. Dobrze mówię?

Ponieważ mężczyzna nie odzywał się, tylko ponownie zaniósł się chrapliwym kaszlem, major zdenerwował się: - MÓ-ówię do ciebie, gaz-majster! Buźka!

- Tak jest - powiedział cicho mężczyzna. ;

- Wszystkiego do-obrego! ;

- Wszystkiego dobrego.

Aktor zachwiał się, ale milczący towarzysz za jego plecami -w rozpiętej kurtce i czapce zsuniętej na tył głowy - podtrzymał go łapiąc za łokieć. Ruszyli dalej.

- Malutka, cze-czego płaczesz? - rozczulił się przy piętnastoletniej dziewczynce obejmującej tęgą matkę. - Pa-pani wytłumaczy córeczce, że nie ma po-powodu do łez!... Wszystkiego dobrego życzę, zdrowia, szczęścia, pociechy z męża i dzieci... - Chwiejąc się i balansując pistoletem schylił się, aby ucałować dłoń kobiety.

- Ojciec - ucieszył się na widok starego mężczyzny z wąsami, który kamiennym wzrokiem patrzył na oficerów, kurczowo trzymając się chromowanej poręczy. - Ojciec! Zdrowia so-sobie życzymy. Pociechy z pola i z krówek.

Kobieta w puszystym swetrze roześmiała się głośno. Śmiały się także dwie kobiety-paniusie i dziewczyny w czerwonych kurtkach za Miłanowiczem. Tylko babcia szeptała: - Jezu, Jezu!

216

v

\

Mężczyzna w ortalionowej kurtce kaszłał. Stary chłop milczał.

- Ojciec! - powtórzył major. - Ojciec! - Rozłożył ręce. Miłanowicz widział bladoniebieskie oczy oficera - patrzył ponad siwą głową starego w czarne okna, za którymi szalała śnieżycą. W kąci-|kach ust białe plamki śliny.

- Bu-buzi! Kobiety śmiały się.

- Dziadku, odezwij się, pan major składa życzenia!

- Ech, baby - odezwał się cicho stary, tak że słyszał tylko Miłano-ricz - nie widziały prawdziwego majora!

Aktor zobaczył kobietę w różowym swetrze. - Pro-oszę! - ucie-|jszył się - Ja-Januszkę, tu-tu są piękne kobiety! Pani Krysia?

- Gabriela - powiedziała młoda kobieta. - Ale jak wy, panowie, l^achowujecie się? Nie wstyd to? Oficerowie wojska polskiego?

- Pani Gabrysiu, pani Gabrysiu, niech się pani na nas nie gniewa! Wszystkiego najlepszego, buzi...

Usiłował objąć kobietę, ale ona, odchylając się, odpychała mężczyznę ze śmiechem. Paniusie wtórowały. Dziewczyny w czerwonych kurtkach z kapturami śmiały się najgłośniej.

- Panowie, panowie, dosyć już!

- Buzi, Gabrysia, buzi! - wołał mały major. Usłyszeli mlaśnie-; cię - głośny pocałunek wyciśnięty na policzku kobiety w różowym swetrze. Milczący Januszek

kapitan, chwając się, ucałował jej pulchną ' dłoń. - Wszystkiego najlepszego z nowym rokiem - powiedział.

Kiedy stanęli koło Miłanowicza, mimo woli wyprostował się. Poczł silny zapach alkoholu.

- Student? - zapytał aktor. Miłanowicz skinął głową.

- Uważaj, student, u-uważaj! - pogroził pistoletem major. -Wszystkiego dobrego! - wyciągnął rękę.

Miłanowicz podał mu swoją. Dłoń oficera była miękka i wilgotna. Pistolet trzymał w lewej, balansując lufą na wysokości metalowej poręczy. - Najlepszego, stu-udent! Buźka!

Miłanowicz starał się patrzeć w oczy małego majora. Milczał.

- No? Co-oś tak za-zaniemówił? Coś taki sztywny, chło-opak? Mężczyzna w ortalionowej kurtce zaniósł się kaszlem. Za oknami ił wiatr. Trzeszczało w wiązaniach. - Jezu, Jezu! - biadoliła babcia chustce.

217

- Niech pan się odezwie - powiedziała kobieta w różowym swetrze. - Wszystkiego najlepszego! To wystarczy.

- Buźka! - sapał major zionąc Miłanowiczowi w twarz wódką. - Z-z nowym rokiem!

- No, powiedz coś! - krzyknęła dziewczyna w czerwonej kurtce. - Co ci zależy?

Usłyszał głos paniusi: - Jaki źle wychowany!

- Lekce mnie ważysz? - sapał major. - Po-opatrz, Janusz, on nie chce składać życzeń.

- Chchch... - wychrypiał za plecami aktora wysoki kapitan. - Chchch... z nim.

Aktor patrzył chwilę w czarne okno. Zmarszczył czoło. Miłanowicz czuł, jak zelzał uścisk wilgotnej ręki. Major puścił jego dłoń. - Ma-asz rację, Ja-anusz, on dla mnie jest: O! - zgiął rękę z pistoletem. Lufa skoczyła do góry. - O!

Potoczyli się dalej. Tam stały już tylko dwie dziewczyny i babcia szepcząca: - Jezu, Jezu! - Dziewczyny chichotały.

- Babciu, zdrowia, żeby babcia była wesola. Wszystkiego najlepszego - major objął starą kobietę i pocałował. Znów mlasnęło. Dziewczyny w czerwonych kurtkach zachichotały głośnie.

- Januszek, zobacz, jakie fa-ajne panienki. Pierwsza klasa! Panienczki bu-uzi!

Pisk dziewczyn zagłuszył na chwilę łoskot kół, skrzypienie drzwi kołyszących się na dwóch końcach korytarza, wycie wiatru za oknami.

Major odwrócił się: stojąc na rozkraczonych nogach, chwając się i przytrzymując ramienia towarzysza, zawołał: - Ko-oniec uroczystego składania życzeń. Do-o przedziałów! - Machnął pistoletem.

Szybko, w milczeniu, pasażerowie oderwali się od okien, chromowanych poręczy i znikli. Miłanowicz widział, jak przez chwilę zapalały się i gasły światła. Pociąg zwalniał przed stacją lub opuszczonym semaforem.

Wszedł do pustego przedziału ostatni. Usiadł w swoim kącie, nacisnął włóczkową czapkę głębiej na oczy i usiłował zasnąć. Trząsł się i dygotał. Obok, za cienką ścianą, major z kapitanem zalecali się do dziewcząt w czerwonych kurtkach. Słyszał było piski i śmiechy. Później zaczęły się śpiewy.

Kiedy po godzinie wyrzwał na korytarz, mały major tańczył w otwartych drzwiach sąsiedniego przedziału.

- Moja luba, ja cię kocham!... - Kołysał się trzymając ręce na biodrach. Pod rozpiętą kurtką widać było koszulę i przekrzywiony krawat. Nie dopięty ostatni guzik spodni na wypiętym brzuchu błyszczał [jak wylot lufy pistoletu. Na widok Miłanowicza major przerwał taniec, chwycił za framugę drzwi i marszcząc czoło wpatrzył się w młodego człowieka.

- Ty, stu-udent! Czego ty od człowieka chcesz? Miłanowicz cofnął się do przedziału. Znow usiadł przy ciemnym oknie. Pociąg nabierał rozpędu. Wagonem kołysało, jęczały i trzeszczały 'wiązania, stukały koła, wył wiatr. Jakby płynęli statkiem po wzburzonym morzu.

1986

Krzyż powstańczy

Maćkowi

Pod koniec osiemdziesiątego drugiego ojciec poczuł się gorzej. Wyraźnie widziałem zmianę: chodził drobnym krokiem, oddech miał szybki, z poświstem, coraz rzadziej bywał na spacerach. Najczęściej leżał. Mało czytał - skarżył się, że coraz gorzej widzi i czytanie męczy go. Skończył osiemdziesiąt sześć lat.

Zawiozłem ojca do doktora Molendy, do przychodni, gdzie leczył się od przejścia na emeryturę, korzystając z uprawnień kombatanta. Doktor Molenda zapisał nowe leki: retiazid na nadciśnienie, coś na odwodnienie, digoxin od serca, pastylki pod język, i tak dalej. Jak zwykle po wizycie poszedłem do apteki na róg Odyńca i wróciłem z torbą leków. Ojciec siadał wtedy przy stole w swoim pokoju i systematycznie segregował lekarstwa, notując w zeszycie wskazówki doktora Molendy. Na stole coraz więcej miejsca zajmowały buteleczki, kartoniki z kolorowymi pastylkami i tekturowe pudełka.

Święta Bożego Narodzenia przeszły szybko - smutne i szare. Nie można było zapomnieć o codzienności. Stan wojenny, wprowadzony przed rokiem, jeszcze nie był zniesiony. Mówiono o zawieszeniu. W słuchawkach telefonów do niedawna brzęczały natrętne głosy: „rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana”. Nie pamiętam, czy był śnieg. Na choince w mieszkaniu rodziców błyszczały złote bombki i migotały anielskie włosy, odbijając światło lampy. Po Wigilii zapachniało świeczkami.

Pod koniec grudnia przyszło pismo z Zarządu Dzielnicowego ZBO-WiD-u, do którego ojciec należał. Było to zawiadomienie o uroczystym wręczeniu krzyży powstańczych żołnierzom zgrupowania „Zaręba-Pio-run”.

220

Nie wytrzymałem i powiedziałem, co o tym myślę: - W chwili : obecnej - mówiłem podniesionym głosem - nie należy przyjmować za- [dnych odznaczeń ani krzyży. Komuniści robią to celowo, aby stworzyć {wrażenie, że nic się nie stało i wszyscy zapomnieli o stanie wojennym! Ci .sami ludzie, którzy wydawali rozkazy, aby internować i aresztować [tysiące działaczy „Solidarności”, teraz chcą rozdawać krzyże. Jakim [prawem?

Ojciec był innego zdania. - To są dwie różne sprawy. W czterdziestym czwartym walczyliśmy z Niemcami. To krzyże za tamtą walkę. ' Należało je dać znacznie wcześniej, to prawda, ale jeśli już przypomnieli sobie i dają, nie można odmawiać. Z

jakiego powodu?

Patrzył na mnie błękitnymi oczami spod krzaczastych brwi. Okulary położył na stole. W koszuli w kratę, którą kiedyś kupiłem w prezencie imieninowym, siedział na foteliku z nogą założoną na nogę. Usiadłem na krześle pod ścianą.

- Człowiek, który firmuje blankiety tych odznaczeń, podpisał dekret o stanie wojennym - powiedziałem. - Oni odpowiadają za śmierć górników z kopalni „Wujek”, za wszystkie skrytobójstwa. Nie można przyjmować odznaczeń, kiedy cały kraj jest przeciw.

- To nie tak. Nie o to chodzi - powtarzał ojciec. - Jeśli nie chcesz pomóc, zamówię taksówkę - zagroził.

Zaczęliśmy dyskutować w chwili, kiedy poprosił, żebym siódmego stycznia zawiózł go do sali NOT-u na Żurawia, gdzie miała się odbyć ; uroczystość.

- No jakże! - zachnąłem się. - Oczywiście, że zawiozę. Wypowiadam tylko swoje zdanie.

Na razie spór zakończyliśmy.

Ojciec wyraźnie ożywił się i jakby zapomniał o dolegliwościach. Mniej leżał na tapczanie. Pisał krótkie wspomnienia o przebiegu swojej służby w zgrupowaniu „Zaręba-Piorun” i o udziale w Powstaniu. Nieznajomy z Zarządu, zapewne jeden z organizatorów uroczystości, zadzwonił niespodziewanie pytając, czy przyjdzie siódmego stycznia. Spytał także, czy nie napisałby sprawozdania dla Sekcji Historycznej. Miał po nie zająć po kilku dniach - przed uroczystością.

- Badają nastroje - starałem się wytłumaczyć dziwny tele-; fon. - Nie są pewni, czy ludzie przyjdą. Ojciec, oczywiście, nie wierzył. Zadzwoniłem do ciotki Anieli, zwanej przez rodziców Anielcią, kuzynki ojca - łączniczki w czasie Powstania, po wojnie związanej

221

z WIN-em. Po ucieczce przez okienko w łazience na dach sąsiedniego domu, podczas pierwszej rewizji, ukrywała się przez dwa lata przed UB. Później aresztowana i skazana na dziesięć lat. Wyszła z więzienia w Inowrocławiu w pięćdziesiątym szóstym.

Powiedziałem, że ojciec chce przyjąć krzyż, i spytałem, czy potrafi odwieść go od tego zamiaru? - Przecież żadnych odznaczeń nie należy teraz przyjmować, to chyba jasne.

Ciotka Aniela zgodziła się ze mną. Jej telefoniczna rozmowa z ojcem była burzliwa i szczerą, jak zorientowałem się później z relacji obu stron.

Ciotka powtórzyła moje argumenty dodając kilka od siebie. - To przecież podstępna gra. Oni dobrze wiedzą, że krzyże powstańcze są najcenniejszym odznaczeniem dla wszystkich, którzy walczyli w Powstaniu. I umiejętnie manipulują. Dlaczego przyznali właśnie teraz? Czy nie potrafisz zrozumieć prostego faktu?

Ojciec powtarzał swoje argumenty: walka z Niemcami to jedno, komuniści co innego. - Mnie dotyczy udział w Powstaniu. Oni do tego nic nie mają.

- Jak to nie mają? - wołała przez telefon ciotka Aniela. - Kto prześladował AK-owców po wojnie? Kto wsadzał do więzień i wysyłał do łagrów? Kto wymyślił zaplutego karła AK? Przesiedziałam sześć lat. Ty także byłeś przesłuchiwany. Zapomniałeś?

Ojciec milczał posapując w słuchawkę. - Nie wiem - powiedział w końcu - dlaczego was to tak irytuje? Krzyż należy mi się. Wszystko jedno, kto daje.

- Dostałeś przecież z Londynu.

- Ale tu, w kraju nie dostałem. Ten z kraju jest ważniejszy.

- To była rozmowa trochę jak z dzieckiem - powiedziała później ciotka Aniela. - Chyba musisz dać spokój. Nie przekonasz go.

Machnąłem ręką. Podobnie jak przed laty, kiedy ojciec zapisał się do ZBOWiD-u. Było to jeszcze w czasach moczarowskich lub w pierwszych latach rządów Gierka. I wtedy usiłowałem tłumaczyć: - Oni tę organizację stworzyli specjalnie, żeby ludzi podzielić. Ci, którzy męczyci AK-owców, będą o wszystkim decydować. Tym ludziom nie należy podawać ręki.

- AK-owcy też strzelali do komunistów - mówił ojciec nie zwracając uwagi na moje argumenty Trzeba widzieć zawsze dwie strony A

222 ;ł

medalu. Jeśli chcą zmazać swoje winy i zapomnieć o prześladowaniach, należy to docenić.

Nie rozumiałem ojca i on nie rozumiał mnie. Był ufny i podatny na propagandę, jak sądziłem - zawsze wierzył w dobre intencje władzy. Dlatego machnąłem ręką. Jego wstąpienie do ZBOWiD-u wkrótce spowszedniało. Należał do koła przy Ministerstwie Leśnictwa. Po przejściu na emeryturę działał w Sekcji Historycznej. Pamiętam, że ogłosili konkurs na wspomnienia z czasów wojny, które później ojciec redagował, przed oddaniem książki do druku. Udział leśników i drzewiarzy w wojnie 1939 - 1945 - chyba taki tytuł miała książka. Zostało kilka zdjęć ze spotkań członków koła.

Myślałem o tym teraz, kiedy wyplłynęła sprawa krzyża. Dochodziłem do wniosku, że, być może, ojcu pomieszało się wszystko: kiedy i kto z kim walczył, za co wsadzali do więzień, kiedy Polska byk niepodległa, a kiedy rządzona przez komunistów.

Myślałem, rozgoryczony, że to wstyd i że nie potrafię przekonać ojca.

Był na froncie cztery razy. Pierwszy raz w dziewiętnastym roku, kiedy toczyły się walki z Ukraińcami o Lwów i kresy wschodnie. W dwudziestym roku walczył z Kozakami Budionnego w Radziwiłowie, o czym wiele razy opowiadał. Cudem uniknął śmierci. W trzydziestym dziewiątym roku, jako oficer rezerwy, dostał przydział do pułku zmotoryzowanego przy Sztapie Naczelnego Wodza. W pierwszych dniach wojny jeździł z transportami amunicji do Torunia i Radomia. Później, z drużyną żołnierzy, przewoził miny zarekwirowanym autobusem warszawskiej komunikacji miejskiej - szukali sztabu Armii „Dorota”, zbierając po drodze rannych. Historia tego autobusu, ze skrzynkami min i rannymi żołnierzami, narażonego na niemieckie bombardowania, mogła stać się kanwą sensacyjnego filmu. Ojciec, póki był jeszcze w formie, mówił o tym śmiejąc się: - Coś takiego, jak Cena strachu. Ten film z Yves Montandem, pamiętacie?

Powstanie Warszawskie przeżył najmocniej. Kiedy w listopadzie czterdziestego czwartego roku uciekł z transportu i przyszedł do Rawy Mazowieckiej, gdzie spodziewał się zastać matkę i mnie u krewnych, był chudy i obdarty.

Wyglądał jak włóczęga - mówiła mama wspominając moment powrotu ojca. - Nie poznałam go.

Później, nocami, rzucał się w czasie snu. Niekiedy siadał na łóżku. Wyjaśniał, że śnią mu się wybuchy pocisków z niemieckich dział kolejowo-

223

wych, którymi ostrzeliwano Warszawę: „latających krów” czy „szaf”, jak mówił. Długo po wojnie śniły mu się „latające szafy”.

W sprawozdaniu dla nieznanego działacza Sekcji Historycznej pisał: Przez pewien czas prowadziłem tzw. Ordre de bataille batalionu, czyli okresowe informacje o stanie ludzi i uzbrojenia. Wypełnione arkusze owego Ordre de bataille składałem majorowi o pseudonimie Konwalia.

Wydaje mi się, że w pierwszej połowie września, jako oficer inspekcyjny batalionu, otrzymałem rozkaz udania się do pewnej kamienicy przy ulicy Kruczej, blisko Alei Jerozolimskich, aby w imieniu dowódcy powitać oddział powstańców, który przybył kanałami ze Starówki. Odszukałem ich — dziesięciu, może dwunastu ludzi. Byli bardzo brudni, mokrzy i zmęczeni. Powitali mnie serdecznie. Poczęstowali kieliszkiem wódki i kostką cukru na zakąskę. Przyprowadziłem ich do ośrodka batalionu.

Brałem udział w końcowych odprawach w październiku. Pamiętam nastrój przygnębienia i smutku, jaki zapanował, zwłaszcza gdy rozkazano rzucić na stos posiadaną broń. Jakże było tego niewiele, może 20 — 30 karabinów, 5 pistoletów maszynowych, kilka erkaemów. Potem na podwórku kamienicy Poznańska 12 spalono wszystkie ważniejsze dokumenty, a na zapleczu kamienic w kierunku Marszałkowskiej zakopano w ziemi, dość głęboko, archiwum. Miejsce zakopania może wskazać sierżant „Janek” lub „Saper”, który brał udział w tych czynnościach. Człowiek, który zadzwonił wtedy, nigdy po sprawozdanie nie przyszedł.

Siódmego stycznia pojechaliśmy na Żurawią, samochodem stryja Jerzego -

młodsze brata ojca, lotnika. Wojnę spędził w Anglii, latając jako nawigator w trzysta siódmym dywizjonie „Lwowskich Puchaczy” - nocnych myśliwców.

Chyba padało, jezdnie były śliskie, na chodnikach leżały przyzmy brudnego śniegu.

Przed domem na Żurawiej nie było miejsca na parkowanie. Wysadziliśmy ojca naprzeciw bramy, stryj ujął go pod ramię, a ja odjechałem w stronę parkingu. Kiedy wszedłem po kilku minutach do hallu - stali obaj przy barierce, za którą szatniarz wieszał palta. Obaj z laskami - stryj niższy i chudszy (siwy język, lotnicza „gapa” przypięta do marynarki), ojciec w czarnym garniturze, który wkładał tylko na wyjątkowe okazje, ze znaczkiem Szkoły Głównej Gospodarst-

224

wa Wiejskiego w klapie - orłem w wieńcu z srebrnych gałązek. Czekali na mnie.

Wziąłem ojca pod rękę i poszliśmy ostrożnie po schodach na pierwsze piętro, gdzie była sala NOT-u. Przyszliśmy za wcześnie - w hallu przed salą czekał tłum byłych żołnierzy zgrupowania „Zaręba-Piorun”. Byli to mężczyźni po sześćdziesiątce, na ogół podobni do siebie - tak jak ojciec odświętnie ubrani (garnitury, krawaty, muszki), niektórzy z baretkami odznaczeń w klapach marynarek, z miniaturami krzyży wojskowych i cywilnych. Dym papierosów, gwar rozmów. Głośne powitania. Zaczęliśmy oglądać powstańcze pamiątki w gablotach ustawionych pod ścianami.

Leżały tam opaski z literami „AK” z czarnej tasiemki, furażerki z orzełkami lub małymi, biało-czerwonymi proporczykami, atrapy granatów produkcji powstańczej,

tak zwane filipinki. Pistolety wisy. Niemieckie hełmy z biało-czerwonymi opaskami. Plakaty, ulotki, legitymacje. Powstańcza legenda pod szkłem.

Ojciec szedł podpierając się laską. Długo się rozglądał, nim weszliśmy do sali. Może szukał znajomych? Majora „Konwalii”, Janka, kapitana Kamlera?

Ludzie w hallu byli prawdopodobnie żołnierzami oddziałów liniowych zgrupowania - walczyli na barykadach. Ojciec przed Powstaniem skończył czterdzieści osiem lat. Czekaliśmy na początek uroczystości siedząc jak w kinie, w skąpo oświetlonej sali. Nad stołem prezydyjnym, ustawionym na podium, wisiał żyrandol ze szklanych paciorków. W paciorkach odbijało się światło kilku żarówek — migotały różowo, pomarańczowo i niebiesko.

Nie pamiętam, jak wyglądał przewodniczący zebrania ani kto zasiadał w prezydium. Ani treści przemówień. Ilu mówców przemawiało -o czym? Pamiętam, że zaczęli wywoływać po dziesięć osób - według alfabetu. Wywołani wchodzili na podium, gdzie któryś z działaczy przypinał krzyże. Wszyscy ustawiali się w rzędzie, czekając na swoją kolejkę.

Ojciec siedział koło mnie trzymając ręce złożone na rączce laski, jak na szabli.

Patrzył na tę scenę. „Czy nie wygląda to żałośnie?” - myślałem. - Partyjny funkcjonariusz, być może dawny UB-ek, który po wojnie polował na AK-owców, teraz wręcza im krzyże! W jakiej sytuacji, kiedy? Tak niedawno strzelali do ludzi i zamykali w więzieniach. Kto dał im prawo? Kipiałem z oburzenia.

15 - Drugie wrota w la:

225

Patrzyłem z ukosa na ojca, ale nie widziałem, aby przejrzał nagle i zrozumiał swój błąd. Wpatrywał się w podium, na którym korowód powstańców przesuwiał się posłusznie, według alfabetu. Uściski dłoni, uśmiechy. Nowe nazwiska. W końcu wywołano ojca: - Podporucznik „Brzost” - usłyszeliśmy pseudonim. Potem nazwisko.

Podprowadziłem ojca do podium. Szedł pewniejszym krokiem, prawie nie podparł się laską, tylko oddech nie zmienił się - był jak przedtem krótki, z poświstem.

Pomogłem mu wejść po kilku stopniach i zostałem pod kolumną podpierającą strop sali. Patrzyłem, jak stoi wśród dziesięciu wywołanych - najstarszy, z laską, przygarbiony, w czarnym garniturze, ze znaczkiem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w klapie. Człowiek, który wręczył odznaczenia, podszedł do niego. Przez chwilę przypinał krzyż, potem wymienili uścisk dłoni.

Podaliśmy ojcu rękę, kiedy schodził z podium. Na czarno-niebieskiej wstążeczce (z biało-czerwonym paskiem pośrodku) wisiał przypięty powstańczy krzyż. Wydawał się poczerniały w przyćmionym świetle, ale był - jak później przekonałem się - jaśniejszy, o srebrzystym połysku. Wróciliśmy na miejsca.

Nikt nie zabrał głosu - uroczystość wkrótce zakończono. Tylko jedna kobieta, siedząca niedaleko nas, zadała w pewnej chwili pytanie, zwracając się do sąsiadów: - Dlaczego dopiero teraz dają nam krzyże? Dlaczego tak długo czekali?

Nikt nie odpowiedział.

Zeszliśmy na dół, do szatni. Wyszedłem na ulicę po samochód stryja Jerzego. Padał mokry śnieg.

Po kilku miesiącach - pierwszego października - ojciec poczuł się źle. W nocy dostał

zawału, jak okazało się później. Wezwaliśmy lekarza z „Eskulapa”, potem pogotowie. Przewieźli go do szpitala na Goszczyń-skiego - na oddział intensywnej terapii. Przez kilka dni leżał na łóżku pod aparaturą z tlenem.

- Stan jest ciężki - powiedziała dyżurna lekarka - wystąpił rozległy zawał.

Chodziłem na rozmowy z ordynatorem oddziału. Szukałem lekarstwa o nazwie salucin, które produkowała firma austriacka. Mieli przedstawicielstwo w wieżowcu „Intraco” przy ulicy Stawki. Długo czekałem na przedstawiciela firmy, patrząc na panoramę Warszawy z okien poko-

226

ju na piętnastym lub siedemnastym piętrze. Nie dostałem saluci-nu - akurat nie mieli. Stan ojca pogarszał się z godziny na godzinę. Kiedy przyszedłem piątego października wieczorem, chyba tracił przytomność.

W dyżurce obok sali, w której leżał, dwie młode pielęgniarki paliły papierosy i rozmawiały. Okno było uchylone - wydmuchiwały dym przez szparę. Na ekranach monitorów przesuwali się impulsy uderzeń kilku serc - pacjentów intensywnej terapii. Przypominały biały ścieg lub linię rysowaną zygzakiem białą kredką. Który z impulsów notował uderzenia serca ojca? Nie spytałem o to.

Wszedłem do sali pochyliłem się nad łóżkiem. Był spocony, włosy nad czołem miał zlepione, oddech krótki. Drzemał. Kiedy otworzył oczy, powiedziałem, że przyniosłem grzebyk, o który prosił, i portfel z drobnymi banknotami na napiwki. Przerywanym głosem powiedział, że już się cesał. Coś jeszcze mówił, ale nie zrozumiałem słów.

Matka opowiadała później, że tamtego wieczoru, przed zawałem, ojciec recytował Lermontowa po rosyjsku. Usiadł na kanapie w dużym pokoju, kiedy skończyli kolację. Nie pamiętała, które wiersze.

Zanikający biały ścieg na ekranie monitora. Coraz słabsze impulsy, coraz rzadziej biegną od krawędzi do krawędzi matowej szyby. Rozmowa pielęgniarek obok. Dym papierosów wydmuchiwany przez szparę w oknie.

- Jest bardzo źle - powiedziała dyżurna lekarka, kiedy zadzwoniłem po jedenastej. Pierwsza, druga w nocy? Tunel. Koniec. Rano przyszła depesza.

Wtedy, przed wyjściem ze szpitala, kiedy jeszcze raz pochyliłem się nad łóżkiem, nagle oprzytomniał i uśmiechnął się do mnie. Uniósł rękę, którą uściśnałem ostrożnie. Ojciec lekko potrząsnął moją dłońią. Tak jak zawsze, kiedy chciał mi dodać otuchy.

Wyjąłem z szafy odświętny garnitur. Wsunąłem do kieszeni powstańczy krzyż. Z garniturem, białą koszulą, krawatem i parą znoszonych półbutów w torbie pojechałem ostatni raz na ulicę Goszczyńskiego.

1989

W?

Wyspa koników polnych

Po pracy chodziliśmy nad zalew kąpać się. W odległości około pół kilometra od brzegu była mała wyspa - szczyt łagodnego wzgórza porośniętego trawą. Ta wyspa stopniowo malała w miarę piętrzenia wody. Wszystkie przepusty na zaporze były już zamknięte i codziennie można było zobaczyć, ile centymetrów jeziora przybyło.

Wbijaliśmy patyki w trawę i mierzyliśmy następnego dnia.

Sierpień był upalny - chodziliśmy zaraz po pracy na brzeg zatoki schowanej za cyplem, do którego przylegała zaporą. Schodziliśmy ścieżką między drzewami na łąkę, na której - z góry - widać było kolorowe ręczniki i koce plażowiczów. Zwykle pływaliśmy z Bertem lub Witkiem na tamtą wyspę, coraz mniejszą z upływem dni. Pod koniec lata była już tylko zieloną kępą trawy na niebieskim jeziorze.

Czasem pływałem sam.

Blżej brzegu, w czystej wodzie, widzieliśmy zatopione krzaki i łąki, po których przebiegały refleksy słońca. Czasem cienie ptaków i ryb.

Dopływaliśmy do wyspy. W bujnych trawach można było brodzić, jak w zbożu. Te trawy rosły coraz wyżej i bujniej, im mniej ziemi było i bliżej podchodziła woda.

Dopiero pod koniec lata, kiedy pozostał już tylko mały skrawek, zauważyłem, że w trawie roi się od koników polnych. Uciekając przed postępującą wodą cofały się coraz dalej, aż tu, na szczyt tonącego wzgórza. Chodziłem ostrożnie płosząc koniki. Uciekały na wszystkie strony - rozpryskiwały się jak zielone drzazgi.

Później, leżąc w trawie, słuchałem ich głosów nie milknących ani na chwilę.

Nieustanne cykanie przypominało grającą naokoło orkiestrę. Patrzyłem na obłoki, na wysokie niebo. Słońce rozleniwiało, morzył sen. Gęsia skórka na rękach i nogach znikła w miarę upływu minut. Czasem unosiłem się na łokciu i patrzyłem na daleki brzeg, na szary

228

masyw zapory. Słyszeć było głosy plażowiczów, szczekanie psa, śmiech, muzykę z radia. A potem, kiedy chowałem głowę w trawie, tamten odległy świat na brzegach zniknął i znowu słyszałem tylko nie milkący chór koników polnych. Zapadałem w półsen - często budziłem się o zachodzie słońca. Trzeba było płynąć z powrotem. Podnosiłem się z ciepłej trawy i szedłem w kierunku wody. Spod nóg uciekały koniki polne.

Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że wyspa niedługo zatonie. Wodę piętrzone nadal. Jeszcze dzień, jeszcze dwa. Coraz mniej ziemi, coraz więcej jeziora. Nie ma dokąd uciekać. Tylko niebo wysoko. Białe obłoki. Zimny błękit. Jeszcze gra orkiestra. Jeszcze nie milknie. Ostatnie centymetry suchej przestrzeni, tonące trawy, tonące źdźbła. Coraz ciszej, już tylko pojedyncze głosy, już tylko szelest. Błękitna woda naokoło. Refleksy słońca. Cienie ptaków i ryb. Nic nie ma.

1989

Spis treści

Dziewczyna z łódki	5
Narzeczony Rozalii	10
Polowanie	17
Pokój	22
Koniec zabawy	26
Dziecko Ojca i Matki	36
Gałązki klonu	50
Upał	54
Samotność mężczyzny	62
Staszek Nędza	65
Ciemne drzewa	73

Między ludźmi	80
Chłopiec z gołębiem	94
Otwórz i zamknij drzwi	100
Żona cieśli	102
Drzewo Pana Jezusa	108
Nauczyciel muzyki	122
Czerwone kalosze	124
Pragnienie	128
Gałązka bzu	134
Świeci tańczą na łąkach	138
Etylek-metylek	159
Ostatnie polowanie na grubego zwierza	166
Za tych, co rządzą	180
Druciany lis	187
Drugie wrota w las	194
Stań pod murem	203
Nie przechodź na czerwonym . . .	207
Wszystkiego najlepszego	214
Krzyż powstańczy	220
Wyspa koników polnych	228

c

.00

Printed in Poland

Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1992 ;

Wydanie I.

Skład i diapozytywy: Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” w Łomży.

Druk i oprawa: Pabianickie Zakłady Graficzne.

Zam. nr 169/1101/92